

**RUTH RENDELL**

**RZEŹ NIEWINIĄTKA**

**Przełożyła: Beata Staniszevska**

**Wolf to the Slaughter**

**Wydanie oryginalne: 1967**

**Wydanie polskie: 1992**



## ROZDZIAŁ I

Wyglądają na parę morderców.

Tak właśnie pomyślałby policjant zatrzymując ich samochód za zbyt szybką jazdę. Do tego fakt posiadania przez nich broni, z którego musiałby wytłumaczyć się mężczyzna, ponieważ ona nie znalazłaby żadnego logicznego wyjaśnienia. W zapadającym zmierzchu, obserwując krople deszczu spływające ciurkiem po szybie, pomyślała, że płaszcze przeciwdeszczowe, które mieli na sobie, wyglądały na przebranie – gangsterski ciuch. I jeszcze ten nóż gotowy do użycia...

– Po co ci to? – spytała odzywając się po raz pierwszy, odkąd opuścili Kingsmarkham i światła miasta rozmyły się w drobnym, mżącym deszczu. – Możesz mieć przez to nieprzyjemności. – Jej głos był nerwowy, ale nie z powodu noża.

Wcisnął przycisk uruchamiający wycieraczki.

– Przypuśćmy, że starucha zaczęłaby jakieś wygłupy... – powiedział. – Gdyby na przykład zmieniła zdanie? Byłbym zmuszony postraszyć ją trochę. – Mówiąc to przejechał po płaskiej klindze noża.

– Niezbyt mi się to wszystko podoba – powiedziała dziewczyna i tym razem nie mając na myśli wyłącznie noża.

– Może wolałabyś zostać w domu narażając się na jego wejście w każdej chwili? Cudem wydaje mi się fakt, że przynajmniej pozwolił ci korzystać ze swojego samochodu.

Zamiast mu odpowiedzieć na pytanie, powiedziała ostrożnie:

– Nie chcę się widzieć z tą kobietą, tą Ruby... Poczekam na ciebie w samochodzie.

– W porządku. Załatwiłem już wszystko w sobotę. Ona wyjdzie tylnymi drzwiami.

Stowerton zobaczyli najpierw jako pomarańczową plamę, kępkę światła płynących przez mgłę. Wjeżdżając do centrum mijali zamknięte sklepy. Jedyne pralnia była wciąż czynna. Kobiety pracujące w ciągu dnia siedziały przed pralkami obserwując wirujące bębny. W ostrym, neonowobiałym świetle ich zmęczone twarze nabrały zielonkawej barwy.

Na rogu, przy skrzyżowaniu ulic, garaż Cawthorne'a pogrążony był w ciemnościach, ale wiktoriański dom położony z tyłu promieniał światłem. Od strony otwartych frontowych drzwi słychać było dźwięki tanecznej muzyki. Dziewczyna zachichotała. Szepnęła swojemu towarzyszowi coś na temat przyjęcia u Cawthorne'ów, nie wspominając jednak nic o ich wspólnych planach. Mężczyzna obojętnie kiwał głową i spytał:

– Która godzina?

Skręcili właśnie w boczną ulicę. Ujrzała zegar na wieży kościelnej.

– Prawie ósma.

– Doskonale – zwrócił twarz w stronę świateł i dobiegającej ich muzyki. Podniósł dwa palce w ironicznym geście. – To dla starego pryka Cawthorne'a – powiedział. – Pewnie chciałby być teraz na moim miejscu.

Mijane przez nich ulice były szare i mokre. Wszystkie wyglądały tak samo. Skarłowaciałe drzewa rosły w niewielkich od siebie odstępach przy chodnikach, a ich stłamszone korzenie wypaczały asfalt jezdni. Mijane domy, przed którymi zaparkowane były samochody, były brzydkie i przysadziste.

– No, jesteśmy na miejscu. Charteris Road 82. To ten dom na rogu. Na dole pali się światło, to bardzo dobrze. Obawiałem się, że może z nas zakpić i wyjść z domu. Nie podobałoby mi się to – powiedział mężczyzna chowając nóż do kieszeni.

Dziewczyna, obserwując znikające w trzonku noża ostrze, cicho, lecz z wyczuwalnym podnieceniem w głosie dodała:

– Mnie też nie.

Z powodu deszczu wcześniej zapadł zmrok i w samochodzie było ciemno, zbyt ciemno, aby mogli widzieć się nawzajem. Ich dłonie spotkały się, kiedy próbowali jednocześnie zapalić małą, złotą zapalniczkę. W jej świetle zobaczyła jego śniadą, błyszczącą twarz i wstrzymała oddech.

– Jesteś śliczna... – powiedział. – Boże, ale jesteś piękna.

Dotknął jej szyi i przesunął palce wzdłuż policzka. Siedzieli w milczeniu patrząc na siebie, a płomień rzucał na ich twarze delikatne cienie. W chwilę potem mężczyzna zgasił zapalniczkę i otworzył drzwiczki samochodu. Dziewczyna obracała w rękach złoty przedmiot próbując przeczytać wygrawerowaną pod spodem dedykację: „Dla Ann, która opromienia moje życie”.

Lampa uliczna oświetlała miejsce między krawężnikiem a furtką. Mężczyzna otworzył bramkę i przez krótką chwilę jego ciemny i ostry cień wyraźnie zaznaczył się na niewyraźnym, zamazanym tle. Dom, do którego się zbliżał, wyglądał dosyć nędznie, a ogródek przed nim był zbyt mały nawet na trawnik. Jedynie niewielki, otoczony kamieniami wzgórek przyciągał uwagę, może dlatego, że swoim wyglądem przypominał grób.

Podszedł do drzwi i stanął po lewej stronie schodów, tak aby kobieta otwierająca drzwi nie zobaczyła więcej niż powinna, jak chociażby tyłu zielonego, błyszczącego w świetle

lampy samochodu. Czekał niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę. Krople deszczu spływające po parapetach okiennych wyglądały jak szklane paciorki.

Usłyszawszy odgłos kroków za drzwiami wyprostował się i przełknął ślinę. Zapaliło się światło i przez małą szybkę w drzwiach ujrzał pomarszczoną, mocno umalowaną twarz kobiety, rzeczową, chociaż odrobinę zaniepokojoną, okoloną włosami koloru miedzianego. Mężczyzna włożył ręce do kieszeni i palcami prawej ręki bezwiednie gładził rękojeść noża.

Wszystko odbyło się jednak nie tak, jak zakładał. Kiedy sprawy przybrały zupełnie inny obrót, miał straszne uczucie nieruchomości losu. Wiedział, że prędzej czy później i tak doszłoby do tego. Zarzucili na siebie płaszcze. Szalikiem próbował zatamować upływ krwi.

– Jedźmy do lekarza... – jęczała dziewczyna – albo do szpitala.

Była to ostatnia rzecz, na jaką by się w tej chwili zgodził. Wolał, o ile to możliwe, uniknąć takiej ewentualności. Nóż znajdował się z powrotem w jego kieszeni. Jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej znaleźć się na powietrzu, poczuć wilgotne krople deszczu. Śmiertelne przerażenie malowało się na ich twarzach. Mężczyzna nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy – wytrzeszczone ze strachu i czerwone, tak jakby to krew odbijała się w jej źrenicach. Chwiejąc się i potykając dobrnęli do samochodu. Otworzył drzwiczki i dziewczyna opadła na siedzenie.

– Usiądź – powiedział – i weź się w garść. Musimy się stąd wydostać. – Jego głos był słaby i odnosiło się wrażenie, że dochodzi z bardzo daleka; tak jak do niedawna daleka mu była myśl o śmierci.

Samochód gwałtownie szarpnął i ruszył. Ręce dziewczyny trzęsły się, a głos łamał.

– Wszystko będzie dobrze. To nic... tylko lekkie draśnięcie.

– Jak to się stało? Dlaczego?

– Ta kobieta, Ruby... Już za późno...

Rzeczywiście było za późno. Kiedy przejeżdżali koło stacji samochodowej, usłyszeli muzykę dobiegającą z przyjęcia u Cawthorne'ów. Nie jakieś żałobne zawodzenia, ale ogniste, taneczne rytmy. Drzwi wejściowe otwarte były na oścież, tak że padające z wnętrza domu światło odbijało się w ulicznych kałużach. Samochód wolno sunął wzdłuż sklepów. Przestało padać i wszystko dookoła spowite było gęstą mgłą. Droga była tunelem pomiędzy drzewami, z których cicho skapywała woda; niczym ogromne, mokre usta wsysała wóz swoim śliskim, asfaltowym językiem.

Zabawa u Cawthorne'ów, częściowo za sprawą niektórych z gości, przeniosła się na ulicę. Młody mężczyzna trzymający w ręku kieliszek stał przy schodach i sprawiał wrażenie, jakby wyczerpał już wszystkie możliwości tej imprezy. Próba nawiązania kontaktu z innym pijanym gościem siedzącym w samochodzie spełzała na niczym. Dokończył więc drinka i odstawił puste szkło na jedną z pomp paliwowych. W pobliżu nie było nikogo, z kim mógłby pogadać, oprócz dziewczyny o ostrych rysach wracającej do domu po zamknięciu baru.

Zatrzymał ją głośno deklamując:

”Czerpmy radość z życia ze wszystkich swoich sił,  
Nim ciała nasze rozpadną się w pył”

Uśmiechnęła się.

– Masz rację kochasiu. Póki co, baw się dobrze.

Mężczyzna stwierdził, że nie jest w stanie prowadzić samochodu, a poza tym jego wóz zastawiony był sześcioma innymi, których właściciele bawili się w najlepsze na przyjęciu. Ruszył więc pieszo, z nadzieją, że spotka po drodze jakąś bratnią duszę. Znowu zaczęło padać. Deszcz przyjemnie chłodził jego rozgrzaną twarz. Droga do Kingsmarkham stała przed nim otworem, zachęcając do marszu. Szedł nią szczęśliwy, nie czując zmęczenia. Widząc w oddali światła nieruchomego samochodu, głośno rzekł:

”Jakiejż lampy przeznaczenia jest prowadzić  
swoje dzieci zagubione pośród ciemności nocy?”

## ROZDZIAŁ II

Ostry, wschodni wiatr wiejący w ciągu dnia wysuszył ulicę. Zanosiło się na deszcz, chwilowo jednak nie padało i niebo było szaroniebieskie. Przez środek miasta płynął wartki strumień poruszając gładkie kamyki, a woda wzbijała się w niewielkie fale. Wiatr był na tyle silny, że można go było nie tylko czuć, ale i słyszeć. Poświstywał w alejkach oddzielających stare sklepy od nowych bloków mieszkalnych i z odgłosem przypominającym krzyk sowy uderzał bezlistnymi gałęziami drzew o dachówki i ściany domów. Ludzie czekający na autobus do Stowerton i drugi, jadący w przeciwnym kierunku, do Pomfret, podnieśli kołnierze chowając w nich zmarznięte twarze. Przejeżdżające samochody miały szczelnie zamknięte okna. Motocykliści zatrzymywani siłą wiatru na szczycie mostu przystawali na chwilę, a potem chwiejnie i ostrożnie zjeżdżali w dół mijając bar „Olive & Dove”.

Jedynie obecność żonkili w oknie kwiaciarni wskazywała na to, że to już kwiecień, a nie na przykład grudzień. Kwiaty za szybą swoim nieskazitelnym wyglądem upodabniały się do tych wszystkich, którym udało się nie spędzać tego wietrznego poranka na zewnątrz. Jednym z takich szczęściarzy, przynajmniej chwilowo, był inspektor Micheal Burden obserwujący właśnie ulicę z okna swojego biura na High Street.

Z posterunku policji w Kingsmarkham rozciągał się widok na niemal całe miasto. Ten niezwykle nowoczesny budynek, nie sąsiadujący bezpośrednio z innymi gmachami, odgradzony był od nich dość szerokim pasem trawy. Tego ranka na trawniku stał koń. Uwiązany na postronku wyglądał na tak zziębniętego i nieszczęśliwego, jak wchodzący do biura dziesięć minut wcześniej Burden. Teraz inspektor próbował ogrzać sobie nogi ciepłym strumieniem powietrza płynącym od strony grzejników. Burden, w odróżnieniu od swojego szefa – głównego inspektora Wexforda, nie miał daru przytaczania znanych cytatów i powiedzonek, jednak tego przeraźliwie zimnego, czwartkowego ranka zgodziłby się z tym, że kwiecień powołując do życia w martwej, zmrożonej ziemi kwiatki, jest najokrutniejszym miesiącem w roku. Szafirki rosły kępkami w kamiennych donicach na dziedzińcu posterunku, nękane wiatrem i zimnem. Ktokolwiek je tam posadził, pragnął, aby kwitły błękitnie, przynosząc radość oczom. Niestety, zbyt długa zima pokonała je. Inspektor miał wrażenie, że patrzy raczej na tundrę, a nie na pierwsze, symboliczne znaki angielskiej wiosny. Przelknął ostatni łyk gorzkiej herbaty przyniesionej przez sierżanta Camba. Herbata była bez cukru, nie

dlatego, że musiał dbać o linię, ale taką po prostu lubił pić. Inspektor był szczupłym mężczyzną o charyzmatycznej, ascetycznej i chudej twarzy. Ubierał się zawsze starannie i elegancko. Tego dnia miał na sobie nowy garnitur. Zdawało mu się, że wygląda w nim jak biznesmen na wakacjach. Z pewnością nikt, zobaczywszy Burdena w jego schludnym biurze, z porządną wykładziną, zasłonami i szklaną rzeźbą na biurku, nie pomyślałby, że jest detektywem. Wyglądając przez okno odstawił filiżankę na spodek z czarnej porcelany i utkwiał wzrok w osobniku stojącym na sąsiednim chodniku. Sam aż do przesady skrupulatny w sprawach dotyczących ubioru, prawie z obrzydzeniem obserwował długowłose, przedziwnie ubrane indywiduum. Szyba zaczęła pokrywać się mgiełką pary, więc Burden dokładnie przetarł ją ściereczką i przybliżył twarz. Czasami zastanawiał się, do czego jeszcze może dojść w modzie męskiej... Detektyw konstabl Drayton był jednym z przykładów tego nowoczesnego niechlujstwa i niedbałości. No, ale ten tu przeszedł już wszystko: wydłużone, ciepłe futro jak u Eskimosa, długi fioletowo-żółty szalik nie kojarzący się Burdenowi z barwami żadnego znanego mu uniwersytetu czy klubu sportowego, jasne wytarte dżinsy i do tego zamszowe buty. Właśnie przechodził przez ulicę lekceważąc wszelkie przepisy ruchu. Kierował się w stronę frontowych drzwi posterunku. Kiedy schylił się i zerwał kwiat do swojej niby to butonierki, Burden chciał otworzyć okno, aby na niego krzyknąć, ale powstrzymał się w porę nie chcąc wypuścić z pokoju ciepłego powietrza. Zobaczył jeszcze fioletowe frędzle szala znikające za drzwiami. Jak na Carnaby Street – pomyślał przypominając sobie ostatni pobyt z żoną w Londynie. Bardziej interesowali ją dziwacznie ubrani ludzie niż sklepy. Postanowił, że po powrocie do domu powie jej, że nie ma potrzeby jechać 50 mil w zatłoczonym pociągu, kiedy ma się takich cudaków we własnym mieście. Nawet ten zakątek Sussexu już niedługo zaplewi się nimi... – rozmyślał. Zasiadł przy biurku, aby przeczytać raport Draytona dotyczący kradzieży szkieł z Waterford. Nieźle, wcale nieźle. Biorąc pod uwagę jego młodość i brak doświadczenia, Drayton radził sobie coraz lepiej. Ale w jego raporcie były luki, braki oczywistych faktów. Jeżeli człowiek chce, aby wszystko było dobrze załatwione, musi robić to sam – pomyślał z goryczą. Zdjął z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy – swoje palto oddał do czyszczenia, w końcu był już kwiecień – i zszedł na dół. Po kilkudniowym okresie strasznej chlapy, kafelkowa podłoga w holu była tego dnia wyjątkowo starannie wyczyszczona, do tego stopnia, że Burden widział na jej powierzchni odbicie swoich perfekcyjnie wyglansowanych butów. Całe wnętrze, włącznie z okropnymi czerwonymi, plastikowymi krzesłami, sprawiało wrażenie chłodu i sterylności. Ktoś jeszcze kontemplerował swoje odbicie w lustrzanych, świecących czystością kafelkach. Z kościstymi rękoma zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała, siedział mężczyzna, którego Burden widział wcześniej przez okno. Na odgłos kroków podniósł głowę i błędnym wzrokiem spojrzął w kierunku rozmawiającego przez telefon sierżanta Camba. Najwyraźniej potrzebował czyjejś pomocy. Nie przyszedł tu, jak to Burden sądził, zebrać śmieci, naprawić bezpieczniki czy też wciskać sierżantowi Martinowi jakieś mętne informacje. Wyglądało na to, że był po prostu niewinnym



członkiem społeczności znajdującym się w kłopotach. Inspektor zastanawiał się, czy zgubił psa, czy też może znalazł czyjś portfel. Twarz tego człowieka była chuda i blada, a spojrzenie niespokojne. Gdy Camb odłożył słuchawkę, mężczyzna podszedł bliżej z widocznym wyrazem poirytowania na twarzy.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał sierżant.

– Nazywam się Margolis. Rupert Margolis.

Miał dziwny głos. Burden spodziewał się, że usłyszy jakiś lokalny slang, coś pasującego do ubrania, a nie miły, kulturalnie brzmiący głos. Po przedstawieniu się, Margolis przerwał, najwyraźniej spodziewając się żywiołowej reakcji. Przechylił głowę na bok jakby czekając na westchnienia pełne podziwu albo wyciągnięte w jego stronę dłonie. Camb jednak zaledwie kiwnął głową. Margolis lekko chrząknął i zwilżył językiem wargi.

– Zastanawiałem się – rzekł – czy mógłby mnie pan poinformować, jak mogę znaleźć sprzątaczkę.

Żadnych psów ani portfeli, bezpieczników ani tajnych informacji. Ten człowiek chciał mieć po prostu posprzątany dom. „Nieoczekiwane zakończenie”, pomyślał Burden. „Dobra lekcja na przyszłość, aby nie wysnuwać pochopnych wniosków”. Uśmiechnął się do siebie. „Czy ten człowiek sobie wyobrażał, że to Biuro Porad Obywatelskich albo pośrednictwo pracy?”

Sierżant Camb, rzadko dający wyprowadzić się z równowagi, uśmiechnął się łagodnie do Margolisa, co wyraźnie dodało tamtemu odwagi. Burden wiedział, że pod tym uśmiechem kryje się filozoficzne stwierdzenie, że świat składa się z przeróżnych typów.

– Biuro pośrednictwa pracy znajduje się pięć minut drogi stąd. Proszę udać się prosto York Street, minąć sklep jubilerski „Joy Jewels” i znajdzie pan to biuro obok stacji benzynowej Red Star. Może pan tam zapytać. A co by pan powiedział na ogłoszenie w miejscowej gazecie albo kartkę w sklepie Grovera?

Margolis skrzywił się. Miał bardzo jasne, zielonkawo-niebieskie oczy, z brązowymi plamkami na tęczęwce, wyglądem przypominające ptasie jaja.

– Słabo sobie radzę z takimi praktycznymi sprawami – powiedział niewyraźnie, oczyma błędząc po ścianach. – Widzi pan, zazwyczaj takimi sprawami zajmuje się moja siostra, ale ona wyjechała we wtorek, tak mi się przynajmniej wydaje... – westchnął ciężko, całym ciałem opierając się o kontuar. – I to jest kolejny problem, bo zostałem kompletnie pozbawiony opieki.

– Powinni panu pomóc w pośrednictwie – powiedział Camb stanowczo.

Wzdrygnął się łapiąc papiery w momencie, gdy detektyw Drayton wchodził do budynku.

– Trzeba coś zrobić z tymi drzwiami. Straszne marnotrawstwo ciepła.

Nie ruszając się z miejsca, Margolis obserwował policjanta próbującego naprawić drzwi.

– Zastanawiam się, co zrobiła Ann... – powiedział bezradnie – to do niej niepodobne tak wyjechać i zostawić mnie w tym bałaganie.

Burden, stojący przez cały czas z boku, stracił nagle cierpliwość i rzekł:

– Jeżeli nie ma dla mnie żadnych wiadomości, sierżancie, to jadę do Sewingbury. Możesz ze mną jechać, Drayton.

– Nic nie ma, inspektorze – odpowiedział Camb – ale słyszałem, że Monkey Matthews wyszedł.

– Tak też myślałem – odparł Burden.

Grzejnik w samochodzie działał doskonale i Burden pomyślał, że chciałby, żeby Sewingbury oddalone było nie o pięć, a pięćdziesiąt mil.

Szyby w samochodzie zaczęły zaparowywać od ich oddechu, kiedy Drayton skręcił w Kingsbrook.

– Kim jest Monkey Matthews? – spytał, jak tylko minęli granicę miasta i znak pozwalający na zwiększenie szybkości.

– Niezbyt długo u nas jesteś, co? Monkey to łajdak, złodziej i oszust małego kalibru. W zeszłym roku poszedł siedzieć za próbę wysadzenia kogoś w powietrze bombą domowej roboty. Coś się słabo przyłożył, nie do końca obmyślił szczegóły... Ma pięćdziesiąt lat; dziwak, brzydki i do tego ma wiele ludzkich słabostek, włączając słabość do kobiet.

Bez cienia uśmiechu Drayton odparł:

– Nie wydaje się być bardzo ludzki.

– Wygląda jak małpa – Burden odparł krótko – jeżeli to masz na myśli.

Nie było powodu, aby prosta, oficjalna odpowiedź przerodzić się miała w konwersację. „To wina Wexforda”, pomyślał Burden „tego, że tak lubił Draytona i w dodatku okazywał to. Jak tylko zaczniesz żartować z podwładnymi i okazywać im sympatię, zaraz chcą to wykorzystać”. Odwrócił się plecami do Draytona i zaczął obserwować krajobraz za oknem mówiąc chłodno:

– Pali jak komin i w związku z tym ma gruźliczy kaszel. Często kręci się koło baru „Piebald Pony” w Stowerton. Trzeba mieć na niego oko, bo nigdy nie wiadomo, co nowego wymyśli.

Burden wolał, żeby chłopak usłyszał jego zdanie, niż wielce sentymentalną i przejawskrawioną opinię Wexforda. Szef lubił często podkreślać ten szczególny rodzaj zażyłości łączący go z typami rodzaju Monkeya, lecz pokazywanie Draytonowi zabawnej strony medalu nie miałyby sensu, nie wiadomo natomiast, dokąd mogłoby go zaprowadzić. Rzucił okiem na ostry, ciemny profil młodego mężczyzny. „Wszyscy tacy cwaniacy są do siebie podobni”, pomyślał, „kłębki nerwów i masa kompleksów ukryta pod maską twardziela...”

– Czy zatrzymać się najpierw u Knobbiego Clarka, sir?

Burden przytaknął. Jak długo jeszcze Drayton pozwoli rosnąć swoim włosom? Czy chce upodobnić się do muzyka rockowego? Wexford miał rację twierdząc, że gliniarz nie powinien wyglądać na policjanta, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka, ale ten workowaty płaszcz to

już była pewna przesada. Jeżeliby postawić Draytona w jednym rzędzie z bandą kryminalistów, to chyba nikt nie potrafiłby odróżnić owieczki od wilków.

Samochód podjechał pod mały, wyglądający raczej nędznie i brudno sklepik jubilerski.

– Nie na żółtej linii, Drayton – ostro powiedział Burden, nim jeszcze hamulec ręczny został zaciągnięty.

Weszli do środka. Niski, krępy mężczyzna, z fioletowym znamieniem na czole i łysą głową, stał za oszklonym stołem, trzymając w ręku bransoletkę i pierścionek.

– Okropnie zimny ranek – powiedział inspektor.

– Rzeczywiście nieprzyjemny, panie Burden – Knobby Clark, jubiler i okazjonalnie paser, przesunął się krok do przodu. Był zbyt niski, aby widzieć, co się dzieje w sklepie ponad ramieniem kobiety, której świecidełka właśnie wyceniał. Kiedy kobieta odsunęła się, dało się zauważyć jego masywną głowę, przypominającą jakieś warzywo – rzepę lub kalarepę, a wrażenie to potęgowała nierówna plama znamienia.

– Nie trzeba się spieszyć – rzekł Burden – mamy przecież cały dzień.

Przerzucił wzrok na wystawę przenośnych zegarów. Kobieta, z którą rozmawiał jubiler, wyglądała na osobę godną szacunku. Mimo iż była raczej młoda, miała na sobie niemodny, gruby, tweedowy płaszcz sięgający za kolana. Torebka, z której wyjmowała biżuterię opakowaną w cienką, białą chusteczkę, wyglądała na niegdyś wartościową. Trochę trzęsły jej się ręce i Burden zauważył na każdej z nich po jednej obrączce. Drżenie można by przypisać zimnu panującemu we wnętrzu sklepu, ale jedynie nerwy tłumaczyły łamiący się głos; nerwy i naturalna niechęć kobiety jej pokroju do faktu znajdowania się w takim miejscu. Po raz drugi tego dnia zaskoczył go ton i akcent

– Zawsze dawano mi do zrozumienia, że ta bransoletka jest rzeczą przedstawiającą dużą wartość – mówiła wyglądając na zawstydzoną. – Wszystkie prezenty, które otrzymywałam od męża, były bardzo cenne.

– Zależy, co pani rozumie przez „cenne”.

Burden znał ten przymilny ton, tę służalczość, za którą kryła się jedynie chęć zysku.

– Cóż, mogę pani dać dziesięć funtów za wszystko.

W tym lodowatym pomieszczeniu jej westchnienie zawisło nad ladą niczym obłok dymu.

– Nie, to niemożliwe... – wygięła palce, które nadal drżały. Bransoletka spadła na stół.

– Jak pani sobie życzy – powiedział Knobby Clark. Obojętnie obserwował zamykającą się torebkę.

– W porządku, Burden, co mogę dla pana zrobić?

Burden przez moment nie odzywał się. Doskonale wyczuwał upokorzenie tej kobiety, rozczarowanie przypominające bardziej zranioną miłość niż okaleczoną dumę. Przeszła obok niego z uprzejmym „przepraszam”, mocując się, z rękawiczkami, z osobliwym wyrazem w oczach, świadczącym o dyscyplinie. Zbliżała się do czterdziestki, ale jej uroda już dawno przeminęła.

Przytrzymał dla niej drzwi.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziała tonem, w którym wyczuć można było nie tyle wdzięczność, co niegdysiejsze przyzwyczajenie do takiego jej traktowania.

– Więc nie widziałeś żadnej z tych rzeczy? – rzucił szorstko Burden podsuwając listę skradzionych szkieł pod bulwiasty nos Knobbiego.

– Mówiłem już pańskiemu chłopakowi, panie inspektorze.

Drayton wyprostował się i ściągnął usta.

– Chyba jednak rzucę okiem...

Knobby otworzył usta, aby zaprotestować, ukazując przy tym złote wypełnienia zębów.

– Nie żądaj nakazu rewizji, jest za zimno...

Przeszukanie sklepu nic nie dało. Ręce Burdena były czerwone i aż sztywne, gdy wyszli z zaplecza.

– W porządku, to tyle na razie.

Knobby Clark był nie tylko paserem, ale również od czasu do czasu ich wtyczką. Burden włożył rękę do wypchanej lekko przez portfel wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Masz dla nas coś ciekawego?

Jubiler nachylił się lekko do przodu.

– Monkey Matthews wyszedł... – powiedział z nadzieją w głosie.

– Powiedz coś, o czym jeszcze nie wiem – przerwał mu Burden.

Gdy wrócili, drzwi posterunku były już naprawione, do tego stopnia, że z trudem można je było otworzyć. Sierżant Camb siedział przy maszynie do pisania, tyłem do kontuaru, zamyślony i jakby oszołomiony.

– Przed sekundą się go pozbyłem! – powiedział z nutką gniewu i wyczerpania w głosie, gdy tylko zobaczył inspektora.

– Kogo?

– Tego komedianta, który tu przyszedł, nim wyszliście.

Burden uśmiechnął się.

– Może okazywałeś mu za dużo współczucia?

– Spodziewał się chyba, że im dłużej będzie tu siedział, tym szybciej wysłę grupę policjantów, aby posprzątały mu tę jego chatę. Mieszka w Quince Cottage z siostrą, która związała i zostawiła go na pastwę losu. Pojechała we wtorek na przyjęcie i, jak dotąd, nie wróciła.

– A on przyszedł tu dlatego, że szuka sprzątaczkę? – Burden był lekko zaintrygowany, ale mimo to nie chciał na razie, póki nie było takiej konieczności, dodawać do listy osób poszukiwanych.

– „Nie wiem, co począć” – mówił – „Ann nigdy nie wyjeżdżała bez zostawienia informacji”. Ann to, Ann tamto; trwało to strasznie długo.

Sierżant Camb był człowiekiem gadatliwym i Burden zastanawiał się, w jakim stopniu to

jego gadulstwo przyczyniło się do przydługiego pobytu Ruperta Margolisa na posterunku.

– Czy szef jest u siebie? – spytał.

– Właśnie idzie.

Wexford miał na sobie okropny, szary płaszcz, który zawsze był brudny w czasie nawrotów zimna i brzydkiej pogody z tej prostej przyczyny, że nigdy nie był czyszczony. Kolor płaszcza i niesamowicie wygnieciony materiał wpływały na umocnienie wrażenia słoniowatości, jakie sprawiał główny inspektor, krocząc ciężko po schodach z rękami wypychającymi kieszenie.

– Ma pan ochotę na lunch w „Carousel”? – spytał go Burden.

– Może być – Wexford pchnął drzwi, które z trudem otworzyły się. Zadowolony z siebie Camb wrócił do papierkowej roboty.

– Jest może coś nowego? – spytał Burden, gdy wyszli przed budynek.

– Nic ciekawego – odparł Wexford wciskając mocniej kapelusz na głowę. – Monkey Matthews wyszedł.

– Naprawdę? – spytał Burden czując pierwsze krople lodowatego deszczu.

## ROZDZIAŁ III

To, że w piątkowy poranek główny inspektor Wexford siedział przy swoim wykonanym z różanego drewna biurku i czytał sobotni dodatek do „Daily Telegraph”, było znakiem, że w Kingsmarkham nic się nie działo. Miasto było nawet bardziej ospałe niż zazwyczaj. Na biurku stała filiżanka herbaty, ogrzewanie działało bez zarzutu, a szare, eleganckie zasłony były w połowie zaciągnięte. Wexford przeglądał artykuł zachęcający do spędzenia wakacji w Grecji, dokładnie studiując informacje i przeglądając fotosy. Chociaż sam wcale nie przywiązywał wagi do własnego wyglądu, z zaciekawieniem oglądał reklamy eleganckich ubrań i mebli. Jego garnitur był szary, z niemodnymi klapami, wypchanymi rękawami i zniekształconymi kieszeniami. Przewracał strony czasopisma. Nie interesowały go płyny po goleniu, perfumy, kremy na porost włosów ani diety. Korpulentny i ciężki, zawsze był i będzie tęgi. Miał brzydką twarz, z perkatym nosem i szerokimi ustami. Był podobny do mitologicznego Sylenusa, bliskiego towarzysza Bachusa, ale oprócz wyglądu niewiele miał z nim wspólnego – czasami pozwalał sobie na małe piwo w towarzystwie inspektora Burdena w pobliskim barze. W połowie lektury natrafił na artykuł dotyczący rozwoju kultury w ich mieście. Zawsze interesował się sprawami kultury i nowa moda inwestowania w obrazy ciekawiła go. Oglądał właśnie zdjęcia przedstawiające dwa obrazy i ich twórcę, kiedy do jego pokoju wszedł Burden.

– Najwyraźniej wszystko w porządku – powiedział, rzucając okiem na gazetę i kupkę nieposegregowanej korespondencji.

Stanął za szefem i przez jego ramię spojrzął na otwartą stronę czasopisma.

– Jaki świat jest mały... – westchnął, a Wexford podniósł oczy i spojrzął na niego wyczekująco.

– Ten typ był tutaj wczoraj – powiedział wskazując palcem na fotografię.

– Kto? Rupert Margolis?

– Czyżby rzeczywiście był malarzem? Sądziłem, że to jakiś świrnięty hipis.

Wexford uśmiechnął się.

– Tutaj jest napisane, że to dwudziestodwujętny geniusz, którego obraz zatytułowany „Świt niczego” został niedawno zakupiony przez Tate Gallery.

– „Margolis, autor „Obrazu z brudu”, używa w swoich pracach pyłu węglowego, fusów

herbacianych i innych dziwnych substancji na równi z farbą. Fascynuje go niesamowita różnorodność powierzchni przedmiotów umieszczonych w nieodpowiednich miejscach” itd., itp. – Inspektor przeczytał umieszczony pod zdjęciami napis. – Dobra, dobra, Mike, nie patrz na mnie w ten sposób. Spróbujmy zostać przy zdrowych zmysłach. Co on u licha tutaj robił?

– Szukał pomocy domowej.

– Aha, jesteście więc teraz agencją pośrednictwa pracy?

Śmiejąc się Burden przeczytał na głos fragment artykułu znajdujący się obok grubego palca głównego inspektora.

– „Niektóre z najlepszych prac Margolisa są owocem dwuletniego pobytu malarza na Ibizie, lecz przez ostatni rok mieszka on wraz z siostrą w Sussex. Margolis tworzy w szesnastowiecznej pracowni na Quince Cottage, w Kingsmarkham i tam właśnie, w cieniu krwistoczerwonego drzewa pigwowego, urodziło się, po sześciu miesiącach ciężkiej pracy, jego arcydzieło – obraz kapryśnie nazwany przez artystę – Nic”

– Cholernie położnicze – powiedział Wexford. – Cóż, my nie możemy sobie pozwolić na rodzenie „niczego”...

Burden rozsiadł się w fotelu z czasopismem na kolanach.

– Interesująca sprawa – powiedział. – „Anita, ex-modelka, często widywana jest na głównej ulicy Kingsmarkham podczas robienia zakupów. Jeździ białym, sportowym wozem marki alpine...” Nigdy jej nie widziałem, to dziwne... Proszę posłuchać dalej: „Dwudziestotrzyletnia brunetka o zielonych oczach, wykwinna i elegancka, jest pierwowzorem Anny z portretu namalowanego przez Margolisa, za który pewien południowoamerykański kolekcjoner proponował artyście dwa tysiące funtów. Poświęcenie Anity interesom brata inspiruje go do tworzenia rzeczywiście wybitnych dzieł, było również, jak się można domyślić, powodem zerwania jej zaręczyn z pisarzem i poetą Richardem Fairfaxem.”

– Dlaczegoż sam sobie nie kupisz tej gazety, skoro tak szalenie cię to zainteresowało? – warknął Wexford.

– Czytam to tylko dlatego, że dotyczy spraw z naszego podwórka. To zabawne, że tyle się dzieje naokoło, a my nic o tym nie wiemy.

Wexford skonkludował:

– „Jak wiele klejnotów promieniujących czystym blaskiem ukrywają jaskinie w oceanach ciemności.”

– Niewiele wiem o ciemnych jaskiniach... – Burden był czuły na punkcie krytyki swojego rodzinnego miasta. Zamknął czasopismo.

– Niezła jest, to pewne. Wykwinna brunetka o pociągających, zielonych oczach. Wychodzi na przyjęcia i nie wraca do domu...

Wexford nagle ożywił się. Ostro i gwałtownie spytał:

– O czym ty mówisz?

Burden, zdziwiony, podniósł wzrok.

– Powiedziałem, że chodzi na przyjęcia i nie wraca do domu.

– To słyszałem. – W jego głosie można było wyczuć ciekawość i niecierpliwość. Rozdrażniony wyraz jego twarzy w trakcie czytania artykułu ustąpił miejsca nagłemu, czujnemu zaciekawieniu. – Wiem, że to powiedziałaś. Chcę się jeszcze dowiedzieć, skąd o tym wiesz?

– Jak już powiedziałem, geniusz przyszedł polując na sprzątaczkę. Później wdał się w rozmowę z Cambem i poinformował, że jego siostra była na przyjęciu we wtorek wieczorem i od tamtej pory jej nie widział.

Wexford wstał powoli z krzesła. Jego ciężko ciosana twarz była zamyślona. I można było wyczuć coś jeszcze... Wątpliwość? Strach? Obawę?

– Wtorek wieczorem? – zmarszczył brwi. – Jesteś pewien, że chodzi o wieczór wtorkowy?

Burden nie znosił takiej zagadkowości.

– Proszę pana, on nawet nie zgłosił jej zaginięcia. Po cóż więc ta panika?

– Cholerna panika! – prawie krzyczał. – Mike! Jeżeli ona ma na imię Ann i zniknęła we wtorek, to już jest poważna historia. Nie ma tutaj jej zdjęcia?

Wexford prawie wyrwał gazetę z rąk Burdena i szybko przerzucał kartki.

– Żadnego zdjęcia – rzucił rozczarowany. – Założę się, że brat również nie ma jej fotografii.

Burden zapytał cierpliwie:

– Odkąd to tak strasznie przejmujemy się tym, że jakaś przystojna, prawdopodobnie bogata dziewczyna ma kaprys wyrwać się gdzieś ze swoim chłopakiem?

– Od teraz – rzucił Wexford. – Od dzisiaj, od tego ranka.

Korespondencja, poranna poczta Wexforda, wyglądała jak kupka śmieci, ale on nieomylnie wyciągnął właściwą kopertę i pokazał ją Burdenowi.

– Wcale mi się to wszystko nie podoba – wytrząsnął ze środka kartkę grubo złożonego papieru. W tej samej chwili przez szklaną figurkę w kolorze indygo stojącą na biurku Wexforda przeszedł promień światła rzucając na papier refleks, który swoim kształtem przypominał mały niebieski bąbelek atramentu.

– Coś się jednak zaczyna dziać!

To był anonimowy list, pisany ręcznie, czerwonym długopisem.

– Dobrze wiesz, jakie ilości takich liścików dostajemy – powiedział Wexford. – Ten też zamierzałem cisnąć do kosza.

Pismo było pochylone do tyłu, duże litery, na pierwszy rzut oka wyglądało na umyślnie zmienione. Papier nie był brudny ani słowa nieprzyzwoite. Niesmak, jaki poczuł Burden, spowodowany był raczej tchórzostwem autora listu:



”Dziewczyna imieniem Ann została zabita w tej okolicy pomiędzy ósmą a jedenastą wieczorem we wtorek. Mężczyzna, który to zrobił, jest niski, młody i ciemnowłosy. Ma czarny samochód. Jego imię – Geoff Smith.”

Odrzuciwszy kartkę z wyrazem niesmaku, przyjrzał się bliżej kopercie.

– Wysłane w Stowerton – powiedział. – Wczoraj przed pierwszą. Niezbyt ostrożnie z jego strony. Z doświadczenia wiem, że autorzy takich listów zazwyczaj wycinają słowa z gazet.

– Czy masz na myśli niezawodność naszych ekspertów od grafologii? – w głosie Wexforda można było wyczuć kpinę. – Mike, czy kiedykolwiek któryś z tych koleśki wydał sensowną, jednoznaczną opinię? Ja osobiście nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Jeżeli nie dasz im przykładu swojego normalnego pisma, to możesz równie dobrze oszczędzić swoją gazetę i nożyczki. Pochylasz literki do tyłu, jeśli zazwyczaj robisz to do przodu. Zamiast małych, zgrabnych literek stawiasz wielkie kulfony i nikt ich nie pozna, jesteś bezpieczny jak w domu. Oczywiście mogę przesłać do laboratorium, ale bardzo się zdziwię, jeśli to coś da. Moim zdaniem, tylko jedna rzecz może pomóc w dotarciu do mojego korespondenta.

– Papier – powiedział zamyślony Burden i przejechał palcem po gładkiej, kremowej powierzchni.

– Ma ładny znak wodny.

– Właśnie. O ile się nie mylę, to ręczna robota, a autor listu raczej nie wydaje się człowiekiem z rodzaju tych, którzy zamawiają papier ręcznej roboty.

– Może pracuje w sklepie papierniczym – ostrożnie zauważył Burden.

– Już bardziej prawdopodobne, że pracuje dla kogoś, kto taki papier zamawia.

– Czy ma pan na myśli służącego? To bardzo zawęża pole poszukiwań. Zdaje się, że w tej okolicy mało kto zatrudnia służących.

– Wiele osób zatrudnia ogrodników, Mike. Powinniśmy zacząć od sklepu papierniczego i tylko określać ludzi z pewnej grupy. I to w zasadzie wyłącza Kingsmarkham, jako że nie wydaje mi się, aby sklep Braddona zaopatrywał kogoś w taki rodzaj papieru, a już na pewno nie sklep Grovera.

– Widzę, że podchodzi pan do całej sprawy bardzo poważnie.

– Rzeczywiście. Nie mogę sobie pozwolić na lekceważenie tego anonimu i traktowanie go jako żartu. Dlatego chcę, aby sierżant Martin, Drayton, Bryant i Gates natychmiast przyszli do mojego biura. Ty, Mike zajmiesz się tym dwudziestodwuletnim geniuszem.

Gdy policjanci weszli do gabinetu, Wexford usiadł obok Burdena za biurkiem i przemówił:

– Więc tak; na razie nie zwalniam was z rutynowych obowiązków – zaczął. – Jeszcze nie teraz. Chcę, aby sprawdzono wykaz ludności, listy wyborcze itp. i namierzono wszystkich Geoffreyów Smithów w okolicy. Szczególnie interesuje mnie Stowerton. Sprawdźcie ich

wszystkich podczas dnia. Chcę wiedzieć, czy któryś z nich jest może mały i ciemny, i czy ma czarny samochód. To wszystko. Żadnego straszenia żon i naciskania. Tylko taka zwyczajowa inspekcja. Miejcie oczy szeroko otwarte. Sierzancie Martin! Proszę dokładnie obejrzyć ten papier. Jeżeli znajdziecie taki sam w sklepie papierniczym, to chcę go porównać...

Po ich wyjściu z gabinetu Burden skrzywił się gorzko.

– Smith! Niezwykle oryginalne nazwisko!

– Mój drogi, niektórzy ludzie rzeczywiście się tak nazywają – powiedział Wexford.

Złożył dokładnie kolorową wkładkę czasopisma z fotografią Margolisa i ostrożnie włożył do szuflady swojego biurka.

– Jeżeli tylko uda mi się znaleźć zapalki – powiedział Rupert Margolis – to spróbuję zrobić panu filiżankę kawy.

Bezsilnie grzebał wśród brudnych naczyń, częściowo opróżnionych butelek mleka i wymiętoszonych kartonów po mrożonkach leżących na kuchennym stole.

– Były tu we wtorek. Wróciłem do domu koło jedenastej wieczorem i okazało się, że wysiadły bezpieczniki. To się u nas dość często zdarza. Leżał tutaj ogromny stos starych gazet, więc wyrzuciłem to wszystko przez tylne drzwi. Nasze pojemniki na śmieci są zawsze pełne... Mimo to udało mi się wtedy znaleźć zapalki. Chyba piętnaście pudełek. Leżały obok tych gazet – westchnął ciężko. – Bóg jeden wie, gdzie się one podziały, bo nie gotowałem zbyt wiele...

– Proszę. – powiedział Burden wręczając pudełko zapalek, które znalazł pod stołem.

Margolis opróżnił dzbanek do kawy wlewając czarny płyn do zlewozmywaka. Fusy oblepiły cały zlew i pływający w brudnej wodzie bakłażan.

– Ustalmy więc fakty – pół godziny zabrało mu wyciągnięcie z Margolisa szczegółów mających jakiegokolwiek znaczenie, a i tak nie miał pewności co do tego, czy wszystko dobrze rozumiał. – Pańska siostra Anita, czy też Ann, wybierała się na przyjęcie wydawane przez Cawthorne'ów, właścicieli stacji samochodowej w Stowerton, we wtorek wieczorem. Był pan poza domem od trzeciej po południu i kiedy wrócił o jedenastej, nie zastał pan ani jej, ani jej samochodu – białego, sportowego alpine, który zazwyczaj parkował przy podjeździe do domu. Zgadza się?

– Zgadza – odparł niepewnie Margolis.

Nad kuchnią nie było sufitu, tylko kryty dachówką dach podpierany przez stare i zniszczone belki. Malarz siedział na krawędzi stołu obserwując zwisające z belek poszarpane pajęczyny przypominające kształtem szare sznureczki. Patrząc tak, kołysał lekko głową w rytm pajęczyn tańczących nad buchającą z czajnika parą.

Burden kontynuował:

– Zostawił pan siostrze otwarte drzwi i poszedł spać, lecz niedługo potem został pan obudzony przez telefon pana Cawthorne'a, który spytał, co dzieje się z Ann.

– Tak. Byłem bardzo zdenerwowany. To potworny nudziarz i w zasadzie staram się z nim nie rozmawiać, jeżeli nie muszę.

– I nie przejął się pan niczym?

– Nie, dlaczego miałbym się tym przejmować? Pomyślałem, że Ann zmieniła zdanie i pojechała gdzie indziej – malarz podniósł się ze swojego miejsca i zimną wodą przepłukał dwie brudne filiżanki po herbacie.

– Około pierwszej – ciągnął Burden – został pan ponownie obudzony przez odgłos silnika samochodowego i pomyślał pan, że to wróciła pańska siostra, ponieważ nikt inny tutaj nie mieszka, ale nie wstał pan z łóżka.

– Zaraz znowu zasnąłem. Jak już chyba wspomniałem, byłem potwornie zmęczony.

– Tak, mówił pan, zdaje się, że był w Londynie.

Kawa była zaskakująco smaczna. Inspektor próbował nie zwracać uwagi na brudną inkrustację na filiżance i delektować się napojem. Wyglądało na to, że ktoś wkładał mokre łyżeczki do cukru, a sama cukiernica oblepiona była ze wszystkich stron marmoladą.

– Wyszedłem z domu o trzeciej – powiedział Margolis z rozkojarzonym wyrazem twarzy.

– Ann była wtedy w domu. Poinformowała mnie, że wychodzi wieczorem i przypomniała, abym nie zapomniał klucza.

– I zapomniał pan?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział ostrym tonem malarz. – Nie jestem szalony.

Jednym haustem wypił kawę i jego blada twarz trochę się zaróżowiła.

– Zostawiłem samochód przy stacji i pojechałem spotkać się z pewnym człowiekiem w związku z moim przedstawieniem.

– Przedstawieniem? – spytał Burden niezwykle zdziwiony. Słowo to kojarzyło mu się z tańczącymi, półnagimi dziewczętami i wyfraczonymi, kabaretowymi komediantami.

– No, więc niech będzie wystawą – Margolis był już zniecierpliwiony. – Moich prac. Jest pan strasznym ignorantem. Już wczoraj pomyślałem, że jesteście kupą filistrów, kiedy nikt z was nie rozpoznał mnie, gdy przyszedłem na posterunek.

Zmierzył Burdena podejrzliwym wzrokiem, jakby powątpiewając w jego dobre intencje.

– Jak już mówiłem, udałem się na spotkanie z pewnym człowiekiem. Konkretnie kierownikiem Galerii Morissot w Knightsbridge, który w trakcie naszej rozmowy niespodziewanie zaproponował mi wspólne zjedzenie obiadu. Byłem bardzo zmęczony tym podróżowaniem, a człowiek z galerii okazał się straszliwym nudziarzem... Siedzenie tam i słuchanie jego przemówienia znużyło mnie szalenie i dlatego usłyszawszy samochód Anny nie pofatygowałem się, aby wstać.

– Ale wczoraj rano znalazł pan jej wóz przy podjeździe? – upewnił się Burden.

– Cały mokry i odrażający... Z gazetą przyklepioną do przedniej szyby – westchnął Margolis. – W całym ogrodzie pełno było papierów i starych gazet. Pan pewnie nie może przysłać tu kogoś do sprzątnięcia? A może by tak poprosić radę miejską?

– Nie – odpowiedział stanowczo Burden. – Czy wychodził pan z domu w środę?

– Pracowałem – odrzekł Margolis – A poza tym dużo śpiam. – Po chwili dodał niejasno:

– O dziwnych porach, pan rozumie... Pomyślałem, że Ann wróciła i znowu wyszła. Prowadzimy bardzo odmienny tryb życia – jego głos stał się histerycznie piskliwy. Burden zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek nie jest jednak trochę obłąkany. – Ale bez niej jestem zgubiony. Nigdy mnie tak nie zostawiała bez słowa...

Wstał gwałtownie zrzucając na podłogę butelkę mleka. Szyjka butelki stłukła się i struga zsiadłej serwatki rozlała się po wykładzinie ze słomy kokosowej.

– Mój Boże, przejdźmy lepiej do pracowni, jeżeli nie ma pan już ochoty na kawę. Nie mam, co prawda, fotografii Ann, ale mogę panu pokazać jej portret, który namalowałem, jeżeli sądzi pan, że to coś da.

W pracowni było około dwudziestu obrazów, z czego jeden tak duży, że zajmował całą ścianę. Obraz większy od tego Burden widział tylko raz w życiu i była to „Nocna straż” Rembrandta, pobieżnie obejrzana podczas jednodniowej wycieczki do Amsterdamu. Dzieło Margolisa przedstawiało dający złudzenie trójwymiarowości obraz dziko brykających figur, a jego powierzchnię, oprócz farby, pokrywały kawałeczki waty, opiłki metali i strzępki wymiętoszonych gazet. Burdenowi stanowczo bardziej podobał się obraz Rembrandta. Jeżeli portret namalowany był w tym samym stylu, to nie będzie przydatny przy identyfikacji. Dziewczyna miała jedno oko, zielone usta i trzepaczkę do piany sterczącą z ucha. Usiadł w bujanym fotelu, uprzednio usunawszy z niego zmatowiałą z brudu srebrną tackę, zgniecioną tubkę farby i niewiadomego pochodzenia instrument służący najprawdopodobniej do badania kierunku wiatru. Czasopisma, ubrania, brudne naczynia i butelki po piwie porozrzucone były po całym pomieszczeniu, a miejscami tworzyły na podłodze małe stosy. Przy telefonie, w wazonie częściowo tylko napełnionym zieloną wodą, stały zwiędłe narcyzy, z których jeden ze złamaną łodygą, opierał swój zgniły kielich na kawałku sera. W pewnym momencie wrócił Margolis z portretem siostry. Inspektor zdziwił się, ponieważ obraz namalowany był raczej konwencjonalnie. Przedstawiał głowę i ramiona dziewczyny. Oczy miała podobne do oczu brata – niebieskie z zielonkawym odcieniem nefrytu, a jej włosy, równie czarne jak jego, upięte były z tyłu głowy. Rysy twarzy miała ostre, jastrzębie, jeśli tylko jastrzębia twarz może być jednocześnie delikatna i piękna: usta ładne i pełne oraz lekko orli nos. Margolis uchwycił, czy też może nadał jej twarzy, wyraz błyskotliwej inteligencji. „Gdyby nie zginęła w młodym wieku”, pomyślał Burden, „byłaby kiedyś wyjątkową kobietą”.

Miał niejasne uczucie, że powinno się zawsze chwalić dzieło pokazywane przez autora, powiedział więc niezgrabnie:

– Bardzo ładny portret. Naprawdę niezły.

Zamiast okazywać wdzięczność czy zadowolenie, Margolis zwyczajnie stwierdził:

– Tak, jest rzeczywiście wspaniały. Jedna z lepszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłem.

Postawił obraz na czystej sztaludze i uszczęśliwiony oglądał go, odzyskawszy dobry

humor.

– No więc, panie Margolis – Burden zaczął ostrożnie – w tego typu przypadkach naszą zwyczajową czynnością jest wypytanie krewnych, gdzie, ich zdaniem, zaginiony może się znajdować.

Margolis nie odwracając się pokiwał głową.

– Proszę się skupić. Jak pan sądzi, gdzie może znajdować się teraz pańska siostra?

Zdał sobie sprawę, że jego ton staje się coraz surowszy, bardziej nauczycielski w miarę przedłużania się wizyty i zaczął zastanawiać się, czy nie wynika to z jego zarozumiałstwa. Od momentu przybycia do Quince Cottage nie zapominał o artykule przeczytanym w biurze Wexforda dotyczącym Margolisa i jego siostry. Obecnie uświadomił sobie, z jakiego powodu notatka ta znalazła się w gazecie i kim był Margolis. Burden znajdował się przecież w obecności geniusza lub, jeśli miałyby to być jedynie ekstrawagancja dziennikarza, wielce utalentowanego człowieka. Malarz nie był zwyczajnym, szarym człowieczkiem. W swoich palcach i mózgu miał coś, co go rozdzierało, coś co mogło pozostać nie do końca rozpoznane i zaakceptowane za życia artysty. Burden stał się nagle pełen podziwu i szacunku, w niezrozumiały sposób nie mógł jednak pogodzić tego uczucia z otaczającym go bałaganem i bładą, wyglądającą na hipisa istotą, która mogła być kiedyś drugim Rembrandtem. Kimże był on, małomiasteczkowy policjant, aby wydawać sądy na temat tego człowieka, drwić sobie z niego i stroić żarty? Chyba rzeczywiście był filistrem. Łagodnie powtórzył pytanie:

– Gdzie ona może być, panie Margolis?

– Nie wiem. Gdzieś z jednym ze swoich przyjaciół. Ma ich całe mnóstwo.

Odwrócił się, a jego opalizujące oczy nieprzytomnie błędziły po pokoju. „Czy Rembrandt miał kiedykolwiek do czynienia ze współczesnymi mu przedstawicielami porządku publicznego? Geniusze byli chyba wtedy bardziej powszechni niż obecnie” – pomyślał Burden. Częściej się można było z tym spotkać i ludzie wiedzieli, jak się z takim człowiekiem obchodzić.

– Tak przynajmniej myślałbym... – kontynuował Margolis – gdyby nie ta wiadomość...

Policjant gwałtownie zerwał się z miejsca. Czyżby Margolis również otrzymał anonim?

– Jakaś notatka dotycząca pańskiej siostry?

– W tym rzecz, że nie ma żadnej notatki, a powinna być. Widzi pan, ona dość często gdzieś sobie wyskakiwała i nigdy nie przeszkadzała mi, jeśli właśnie pracowałem lub spałem – Margolis przeczesał palcami długie włosy. – A ja właściwie nie robię nic oprócz malowania i spania... – mówił. – Zawsze zostawia kartkę w widocznym miejscu: przy moim łóżku albo przypiętą gdzieś w kuchni.

Zaczął przypominać sobie wcześniejsze przykłady troskliwości swojej siostry.

– Zazwyczaj była to długa i szczegółowa informacja o tym, gdzie się udała, z kim i na jak długo, takie tam małe rzeczy dla mnie – uśmiechnął się słabo. Słyszac w chwilę potem dzwoniący telefon, skrzywił się z niezadowoleniem i powiedział: – To pewnie ten posępny

nudziarz, Russel Cawthorne. Zawraca mi głowę chcąc się dowiedzieć, gdzie ona jest.

Podniósł słuchawkę opierając łokieć na kawałku pleśniejącego sera.

– Nie, nie ma jej tutaj. Nie wiem, gdzie jest

Obserwując go, Burden zastanawiał się, czym były te „małe rzeczy”, które siostra zostawiała mu do roboty. Nawet tak nieskomplikowana czynność jak odbieranie telefonów wydawała się wprawiać go w mizantropijny nastrój.

– Jest u mnie policja, jeżeli już pan musi wiedzieć. Oczywiście, zadzwonię, jak tylko się pokaże. Tak, tak, tak. Co pan ma na myśli mówiąc, że mnie odwiedzi? Nie wydaje mi się to możliwe. Nigdy się przecież nie widzimy...

– Ale dzisiaj się zobaczycie – powiedział Burden cicho. – Pojedzie pan ze mną do Cawthorne’a. I to zaraz.

## ROZDZIAŁ IV

Wexford uważnie porównał obydwie kartki – tę zapisaną czerwonym długopisem i drugą – nową i czystą. Powierzchnia papieru, kolor i znak wodny były identyczne.

– Okazało się, że to ze sklepu Braddona – powiedział sierżant Martin, policjant bardzo staranny i pilny, zawsze poważny i rzeczowy. – W sklepie Grovera sprzedają jedynie notatniki i zeszyty, które nazywają blokami rysunkowymi. Braddon sprowadza ten papier specjalnie z Londynu.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że jest zamawiany?

– Tak, sir. Na nasze szczęście zaopatruje tylko jedną klientkę, panią Adelinę Harper mieszkającą w Stowerton przy Waterford Avenue.

– Rezydencje wysokiej klasy. Duże, stare domy... – pokiwał głową Wexford.

– Pani Harper wyjechała, sir. Zdaniem sąsiadów, spędza w górach długie wakacje wielkanocne. Nie ma stałego służącego. Jediną osobą, którą zatrudnia, jest sprzątaczką przychodzącą w poniedziałki, środy i piątki.

– Czy sądzisz, że to ona mogła być autorką tego listu?

– To są duże domy, stojące w sporych odległościach od siebie. Waterford Avenue nie jest okolicą czynszową ani blokiem mieszkalnym, gdzie wszyscy się nawzajem znają. Ludzie tam mieszkający są raczej odludkami. Trzymają się od siebie z daleka. Widywano tę sprzątaczkę wchodzącą i wychodzącą z tego domu, nikt jednak nie wie, jak się ona nazywa.

– A jeśli ma zwyczaj podwędzania tylko takich drobnostek jak drogi papier listowy, to jej pracodawcy i sąsiedzi nie będą orientować się w tej kwestii...

– Wszystko, co wiedzą – odparł Martin niezadowolony ze słabej jakości swojej informacji – to to, że jest w średnim wieku, ma włosy koloru miedzi i ubiera się raczej wyzywająco.

– Poniedziałki, środy i piątki... Pracuje pewnie podczas nieobecności właścicielki domu.

– Dzisiaj jest piątek, sir. Zazwyczaj jest w pracy rano i wyszła już, nim tam dotarłem. Sąsiad powiedział, że właśnie widział ją wychodzącą chwilę wcześniej, więc pojeździłem trochę po okolicy, ale nigdzie jej nie było.

Wexford raz jeszcze przyjrzał się kartkom papieru i wynikom z laboratorium. Na anonimie nie znaleziono odcisków palców. Napisany był tanim długopisem, jaki można

dostać w każdym kiosku na terenie całego kraju. Pomimo swojej bujnej wyobraźni nie umiał powiązać tego w całość ani wyobrazić sobie wydarzeń, które poprzedziły napisanie tego listu. Miedzianowłosa sprzątaczką, której postępowaniu można pewnie wiele zarzucić, widziała lub słyszała coś, co skłoniło ją do napisania listu. Ten sposób kontaktowania się z policją był raczej obcy osobie jej pokroju – kobiecie, która okazała się być drobnym złodziejaszkiem. A mimo to ona lub ktoś blisko z nią związany napisał ten list. Motywem jej postępowania musiał być strach lub chęć zrobienia komuś na złość.

– Zastanawiam się, czy to nie wygląda na rodzaj szantażu – odezwał się.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

– Zazwyczaj sądzimy, że szantaż jest skuteczny. Przypuśćmy, że jednak jest inaczej i nasza kobieta próbuje naciskać na Geoffa Smitha, ale on się nie daje. No i wtedy, jeśli jest mściwa, wykonuje swą groźbę.

– Szantażyści zawsze są mściwi – z namaszczeniem zauważył Martin. – To co robią, jest gorsze od morderstwa, sir.

Nadmierne ukazywanie respektu zawsze trochę drażniło Wexforda. Szczególnie w tego typu przypadkach, kiedy w zasadzie niewiele mógł zrobić.

– Dobra, kończymy pierwszą lekcję – odezwał się ostro.

Zadzwoił telefon.

– Proszę odebrać.

Martin nachylił się i szybko poderwał słuchawkę przed końcem drugiego dzwonka.

– Inspektor Burden do pana.

Wexford wziął słuchawkę nie wstając z krzesła. Sznur telefoniczny niebezpiecznie zahaczył o szklaną figurkę stojącą na biurku.

– Proszę to przesunąć – zwrócił się do Martina.

Sierżant posłusznie podniósł kabel i położył na wąskim parapecie okiennym.

– Tak, słucham – w końcu odezwał się do słuchawki.

Głos Burdena był trochę nieswój.

– Wybieram się do Stowerton zamienić słówko z Cawthornem. Czy jest tam ktoś wolny pod ręką, żeby tutaj przyjechać po samochód pani Margolis? Może Drayton, jeśli nie jest zajęty? Aha, trzeba będzie dokładnie obejrzeć tę posiadłość – zniżył głos. – To absolutna ruina, sir. Nic dziwnego, że potrzebował sprzątaczkę.

– My też potrzebujemy – poinformował go Wexford. – Miedzianowłosej i dziwnie ubranej – w słuchawce coś zaczęło podejrzanie trzeszczeć. – Co tam się dzieje?

– Ser wpadł do doniczki.

– Mój Boże – westchnął Wexford – Teraz rozumiem.

Mark Drayton wyszedł z posterunku i przeciął ulicę. Aby dotrzeć do Pump Lane musiał przejść wzdłuż High Street. Mijając sklep Grovera przystanął na chwilę patrząc na okno



wystawowe. Absurdem wydawało mu się, że Martin chociaż przez moment rozważał możliwość kupna w tym miejscu papieru ręcznej roboty. Było to brudne, zaniedbane miejsce z rodzaju tych znajdujących się w slumsowych dzielnicach wielkich miast. Sklep otoczony był ze wszystkich stron ceglanyścianami, a przestrzeń oddzielającą go od znajdującej się obok kwaciarni wyłożono brukowanym chodnikiem prowadzącym na podejrzone podwórze. Odpychającego widoku dopełniały wypełnione po brzegi kubły na śmieci i dwa obskurne garaże.

Towary wystawione w oknie wyglądały tak, jakby ktoś wyłożył je kilka lat temu i pozostawił na pastwę losu. Jako że święta Wielkiej Nocy minęły niedawno, kartki wielkanocne były w miarę aktualne. Aktualność ta wyglądała jednak na przypadkową, podobnie jak zepsuty zegarek dwa razy dziennie pokazujący dokładną godzinę, ponieważ na wystawie znajdowały się również kartki bożonarodzeniowe, niektóre przewrócone na bok i pokryte warstwą kurzu.

Pomiędzy pocztówkami umierały nieliczne rośliny doniczkowe. Nie bardzo było wiadomo, czy miały być również na sprzedaż, czy też służyły jako wątpliwa dekoracja. Wyschnięta ziemia w doniczkach popękała, tworząc szczeliny pomiędzy korzeniami. Pudełko zawierające grę w chińczyka otworzyło się tak, że kolorowa plansza zwisała z półeczki. Pionki leżały na dole mieszając się z zardzewiałymi gwoździami, rozsypanym confetti i uschniętymi liśćmi. Draytonowi przyszło do głowy, że nigdy nie widział czegoś, co służyć miało jako reklama, a było tak odrzucające i zniechęcające potencjalnych klientów przechodzących obok tego sklepu. Zamierzał odejść, kiedy przez brudną szybę oddzielającą wystawę od wnętrza sklepu ujrzał stojącą za ladą dziewczynę. Widział ją bardzo niewyraźnie, właściwie tylko jej kształty i płowe, jasne włosy. Zaintrygowany wahał się coraz bardziej, podczas kiedy ona podeszła do szyby i sięgnęła po paczkę kart leżących obok pudełka z chińczykiem. Rozdrażnił go fakt, że dziewczyna nie pofatygowała się nawet, żeby poprawić przekrzywioną półeczkę albo zetrzeć kurz z przykrywki pudełka. Jeśli chodzi o wykonywanie swojej pracy, sam zawsze pedantyczny, ogromną wagę przywiązywał również do czystości i porządku. Czując niesmak i pragnienie wyrażenia swojego niezadowolenia podniósł oczy i napotkał jej wzrok. Przypomniawsobie, skąd pamięta tę twarz. Stał tak patrząc na nią i czuł, że się czerwieni. Drayton nie przypuszczał, aby wiedziała, że już ją kiedyś widział. A jeśli nawet tak, to nie mogła czytać w jego myślach, które towarzyszyły mu, gdy przywoływał w pamięci jej obraz. A może wszystko to, co kłębiło się w jego mózgu, telepatycznie odbierała teraz ona? Nic na to nie wskazywało. Jej duże, szare oczy obojętnie spojrzały na niego przez krótki moment, po czym dziewczyna wzięła do ręki talię kart strącając przy okazji paczuszkę pinezek. Gdy wracała do czekającego klienta, zahipnotyzowany Drayton zauważył, że dziewczyna ma długie, może trochę za chude nogi.

Drayton ruszył dalej omijając kałuże, na powierzchni których widać było migoczące kolorami tęczy plamy po oleju samochodowym. Spojrzał na obskurne, obdrapane drzwi

garaży, zastanawiając się, dlaczego nie zostały pomalowane, skoro farba była tania, a odnawianie rzeczy sprawiało tyle satysfakcji. Mijając kwiaciarnię poczuł zapach żonkili. Kwiaty te miały coś wspólnego z widzianą wcześniej dziewczyną – nienaruszoną świeżość i fakt, że tak jak i ona kwitły w brudzie i nędzy. Krzywo sklepana, zniszczona drewniana skrzynka miała się do tych kwiatów tak, jak nędzny sklep Grovera miał się do dziewczyny – brzydkie, nie pasujące tło dla zapierającej dech piękności.

Czy teraz już wszystko, co tylko ujrzy, kojarzyć mu się będzie z tą dziewczyną? Czy kiedykolwiek przed poniedziałkowym wieczorem myślał o niej w ten sposób?

Doszedłszy do mostu raz jeszcze zadał sobie to pytanie. Musiał zauważyć ją już wcześniej w mieście. Była dziewczyną, za którą oglądał się każdy mężczyzna. Wtedy, w poniedziałek, widział ją całującą się z nieznanym mu mężczyzną. Sam nie wiedział, dlaczego przystanął wtedy za drzewem i obserwował tę parę. Ona była taka pociągająca, bezbronna i słaba – każdy przechodzień mógł być świadkiem tej sceny... Była osobą z krwi i kości, pełną zmysłowości i dostępną również dla niego. Ich postacie odbijały się w ciemnej wodzie: mężczyzny, którego Drayton zlekceważył, i jej – szczupła, długa i drżąca sylwetka. Od tamtego czasu trudno mu było o niej zapomnieć...

Jego własne odbicie, ostrzejsze teraz i bardziej realne w popołudniowym świetle niż w blasku księżyca, spoglądało na niego chłodno ze strumienia. Ciemna, jakby trochę orientalna twarz, z bystrymi oczyma i wąskimi ustami nie uwidaczniała jego myśli. Włosy miał trochę przydługie, stanowczo za długie jak na policjanta; i ubrany był w ciemnoszary, wełniany płaszcz narzucony na sweter. Burdenowi stanowczo nie podobał się ani płaszcz, ani włosy, nie mógł jednak nic zarzucić zachowaniu Draytona – sposobowi wysławiania się, skrupulatności przy wykonywaniu zadań i powściągliwości.

Powiał mocniejszy wiatr i jego odbicie w wodzie zaczęło się marszczyć i zniekształcać. Drayton wsadził ręce do kieszeni, aby sprawdzić, czy nie zapomniał rękawiczek. Była to czysta formalność, ponieważ rzadko zapominał o czymkolwiek. Obejrzał się za siebie, zobaczył jedynie robiących zakupy ludzi, kilka wózków, rowerów, wysoką ceglana ścianę i uliczkę pełną poprzyklejanych do chodnika mokrych śmieci.

Ruszył więc dalej w stronę Pump Lane.

Mijał nieznane mu miejsca – zielone pobocza porośnięte wysokimi drzewami, wąskie jezdnie z trudem pozwalające na wymijanie się dwóch samochodów. Przez żywopłot przyglądała mu się krowa stojąca na kępcie pierwiosnków. Drayton nie przejawiał zainteresowania zwierzęciem. Jego uwagę zwrócił natomiast biały, sportowy samochód zaparkowany na skraju szosy – jedyny twór ludzkich rąk w zasięgu wzroku. Sam dworek stał na uboczu i trudno go było od razu zobaczyć. Dopiero po chwili odszukał małą, rachityczną furtkę ukrytą wśród biało kwitnących krzewów tarniny i zielonego głogu. Gałązki były długie, poskręcane i mokre, schylił się więc, aby nie przemoczyć płaszcza. Silne, stare jabłonie rosły obok domu, a przed samym wejściem wysoki, ognisto kwitnący krzak pigwy

swoim ekspresyjnym kształtem zakłócał spokój otoczenia. Drayton zbliżył się do samochodu, otworzył drzwiczki i wśliznął się do środka. Sam posiadając bardzo niewiele, zawsze czuł szacunek dla rzeczy przedstawiających sobą jakąś wartość materialną. Przyjemnością byłoby prowadzenie takiego samochodu, rozkoszą posiadanie go. Rozdrażniło go to, że właściciel wozu używał go jako rodzaju śmietnika rzucając na podłogę puste opakowania po papierosach i spalone zapalki. Zdawał sobie sprawę z tego, że powinien dotykać jak najmniej, jednak zanim uruchomił samochód, usunął z przedniej szyby porozrywaną, starą gazetę. Kolce głogu szorujące po dachu odczuwał prawie jak na własnej skórze. Chętka pojechania okrężną drogą nie wchodziła w rachubę. O tej porze dnia ruch był bardzo słaby i jego jedynym wytłumaczeniem byłoby to, że chciał się zabawić. Drayton ćwiczył silną wolę i potrafił opierać się pokusom. Miał, co prawda, przeczucie, że w bliskiej przyszłości ulegnie jednej z nich, ale nie tak trywialnej jak ta.

Nakrapiane żółto-brązowe futro przerzucone było przez fotel obok kierowcy. Bił z niego silny, uderzający do głowy zapach – zapach pięknej kobiety wywołujący w umyśle Draytona obrazy jego przeszłej i przyszłej miłości. Samochód ruszył łagodnie. Nim zauważył migający ostrzegawczo wskaźnik temperatury płynu w chłodnicy, był już w centrum Kingsmarkham. W tej części miasta nie było stacji samochodowych, ale przypomniał sobie, że widział jedną na York Street, zaraz obok sklepu Joy Jewels i budynku pośrednictwa pracy.

Kiedy dotarł na miejsce, wyszedł z samochodu i podniósł maskę. Para buchnęła na niego tak silnie, że instynktownie cofnął się dwa kroki.

– Chłodnica cieknie – poinformował stojącego obok mechanika.

– Przyniosę panu trochę wody. Wszystko będzie grać, jeśli tylko pojedzie pan wolno. Gdzieś daleko?

– Nie – odparł Drayton.

Woda, jak tylko wlał ją do środka, zaczęła ponownie wyciekać. Posterunek policji znajdował się prawie w zasięgu wzroku, minął więc sklep jubilerski i skierował się w tamtą stronę. Na wystawie Joy Jewels pełno było imitujących diamenty szkiełek wyłożonych na szkarłatnym aksamicie. Przechodząc obok sklepu papierniczego Grovera nie zajrzał do środka. Poetyckość nie leżała w jego naturze: należał do osobników, wyznających zasadę, że miłość i życie to dwie oddzielne sprawy. Postanowił, że zajdzie tam później, po skończeniu pracy.

Stacja samochodowa Cawthorne'a była dużo większa niż skromny warsztat, do którego Drayton odstawił wóz Anity Margolis. Położona przy głównym skrzyżowaniu dróg w Stowerton, swoim ogromem i nowoczesnością robiła duże wrażenie w tak małym miasteczku. Żółtoszkarłatna wstęga z wypisanym sloganem reklamującym to miejsce zwisała od dachu salonu wystawowego do przeszklonej recepcji, przy której Cawthorne przyjmował klientów. Kolory wstęgi pasowały do farby, którą pomalowane było osiem pomp paliwowych stojących

na zewnątrz i neonu nad wejściem. Burden dokładnie pamiętał, że jeszcze niedawno stał w tym miejscu niskopienny lasek brzozowy i przypomniał sobie starania Towarzystwa Ochrony Wiejskiej Przyrody mające na celu niedopuszczenie do postawienia stacji przez Cawthorne'a. Kilka ostałych drzewek zbiło się w niewielką kupkę przy ścianie salonu wystawowego jak gromadka tubylców stłoczona w oczekiwaniu na wyrok zdobywcy z innego świata.

Stojący z tyłu dom był kontrastowo stary, wzorowany na architekturze gotyckiej i pysnił się dachem zwieńczonym wieżyczkami, przyczółkami ozdabiającymi okna i drzwi z masywnymi rynnami. Kiedyś znany jako „Brzozowy Dom” należący do pewnej starej panny, umeblowany był teraz przez Cawthorne'ów z wielkim przepychem. Gzymsy kominków ozdobione były płaskorzeźbami, u góry stały artystyczne, zielonkawe szkła, wypchane ptaki i woskowe owoce.

Podejrzliwie obejrzawszy Ruperta Margolisa, Cawthorne wyszedł, aby zawołać żonę.

– To najnowsza moda... – ponuro rzekł Margolis – wszystkie te wiktoriańskie rupiecie.

Nad kominkiem wisiał oleodruk przedstawiający kobietę w greckim stroju, trzymającą białą lilię. Malarz spojrzał na obraz ze złością.

– Cawthorne ma już sześćdziesiątkę na karku, a jego żona to straszną wiedźma. Mają bzika na punkcie młodych ludzi. Domyślam się, że bywająca tu młodzież adoruje ich szalenie sądząc, że mają to wszystko od urodzenia – roześmiał się mściwie, wskazując palcem znajdujące się w całym pokoju bibeloty.

Burden nie przypominał sobie, żeby kiedyś spotkał już kogoś tak bezlitosnego w wydawaniu sądów, zaczął jednak rozumieć Margolisa po wejściu pani Cawthorne. Była ekstrawagancko wręcz chuda, ubrana w kusą sukienkę bez rękawów. Platynowoblond włosy miała nastroszone czy też natapirowane do góry.

– Och, witaj Roo! – uściśnęła Margolisa. Burden był pewien, że widziała malarza może tylko raz w życiu, a już nadawała mu przydomek jakby z „Kubusia Puchatka”.

– My się chyba nie znamy? – zwróciła się do Burdena. Zrobiła na nim ogromne wrażenie. Usadowiła się w eleganckim, wyłożonym pluszem fotelu, eksponując swoje wychudzone nogi.

Margolis nie zwracał na nią uwagi.

– No i co z naszą Ann?

– Mamy nadzieję, że będzie nam mogła pomóc – powiedział ciężko Burden patrząc nie na nią, lecz na Cawthorne'a. Był starszym mężczyzną z białym wąsikiem, a w jego zachowaniu wyczuć można było coś w rodzaju koszarowego drylu. Jeżeli panująca wśród młodzieży moda na noszenie wojskowych mundurów przeniosłaby się również na starsze pokolenie, to Cawthorne na pewno by się załapał. Najokazalej zapewne wyglądałby w uniformie huzara.

– Wydawał pan przyjęcie we wtorkowy wieczór, nieprawdaż? Panna Margolis również była zaproszona, jednak z tego, co mi wiadomo, nie zjawiała się u was.

– Zgadza się – Cawthorne był wyraźnie ożywiony. – Ann wpadła do nas po południu,

mówiąc, że na pewno będzie wieczorem. No i nie przyszła. Mówię panu, cholernie się martwiłem. Dobrze, że zajęliście się tą sprawą...

– To prawda. A Dickie Fairfax specjalnie przyjechał z Londynu, żeby się z nią zobaczyć – pani Cawthorne przysunęła się bliżej do Margolisa. – Byli kiedyś bliskimi przyjaciółmi. W zasadzie to nawet bardzo bliskimi... – zatrzepotała sztucznymi rzęsami.

– Fairfax, ten pisarz? – Burden nigdy nie słyszał o nim przed dzisiejszym rankiem, nie chciał jednak, aby po raz drugi tego dnia wzięto go za tępaka i filistra.

Pani Cawthorne kiwnęła głową.

– Biedny Dickie, był raczej strapiony, kiedy się nie pojawiła i zwinął żagle około jedenastej.

– Zostawiając jedną z moich ulubionych koniakówek na pompie paliwowej – dodał Cawthorne cierpko. – Cholernie nierozważny natręt...

– Ale był tutaj przez cały wieczór? – pomiędzy ósmą i jedenastą, pomyślał Burden. Jeżeli wierzyć anonimowi, w tych godzinach zginęła Ann...

– Jesteś strasznie podły – zwróciła się do męża pani Cawthorne. – Podły, złośliwy i zazdrosny. Tylko dlatego, że Ann wołała Dickiego od takiego starego pryka jak ty – zachichotała. – Ona i Russel coś tam kiedyś razem kombinowali.

Burden spojrział na Margolisa, ale malarz oddał się ponurym rozmyśleniom. Pani Cawthorne wsadziła mężowi palec między żebra.

– Albo mu się tylko tak wydawało – dodała.

Różowa twarz Cawthorne'a zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Jego białe włosy wyglądały jak sierść teriera szkockiego. Margolis nagle oprzytomniał wyrwijąc się z apatii. Zwrócił się do Burden'a, tak jakby w pokoju nie znajdował się nikt inny.

– Ann dała Dickiemu kosza kilka miesięcy temu. Ma teraz kogoś innego... Próbuję przypomnieć sobie jego imię...

– Czy przypadkiem nie Geoff Smith? – Burden obserwował wszystkie trzy twarze, nie dostrzegając żadnej reakcji. Przywołał w pamięci treść listu: „Jest niski, młody i ciemnowłosy. Ma czarny samochód. Jego imię – Geoff Smith” Naturalnie, nie byłoby to jego prawdziwe nazwisko. Tak naprawdę nikt nigdy nie nazywał się Smith. – W porządku. To na razie tyle. Dziękuję za pomoc.

– Nie nazwałabym tego wielką pomocą – ponownie zachichotała pani Cawthorne. Spróbowała uchwycić rękę Margolisa, ale jej się to nie udało.

– Zginiesz bez niej, Roo – powiedziała. – Jeżeli moglibyśmy z Russelem coś dla ciebie zrobić...

Burden spodziewał się, że Margolis nie odezwie się wcale albo powie coś niegrzecznego. On jednak spojrział na nią nieprzytomnym, beznadziejnie zagubionym wzrokiem.

– Nikt inny nigdy nie potrafił zrobić czegokolwiek... – powiedział, po czym wyszedł z pokoju sprawiając wrażenie zasmuconego. Burden znowu przez moment poczuł w malarzu

obecność geniuszu. Podążył za nim. Z tyłu szedł Cawthorne, którego oddech wyraźnie zalatywał whisky. Miał twarz żołnierza – odważną, dzielną i silną, ale niezbyt rozgarniętą. Inspektor pomyślał, że nawet jego imię miało wojskowe brzmienie. Wiele lat temu matka nazwała go Russel, ponieważ to imię pięknie pasowało do nazwiska, przepowiadało wielką przyszłość. Generał Sir Russel Cawthorne, Rycerz Orderu Łąźni, posiadacz orderu Wielce Zasłużonych... Burden jednakże trochę o nim wiedział. Ten człowiek nie wygrał żadnej bitwy, nie był nawet dowódcą, tylko zwykłym szeregowcem.

Teraz prowadził warsztat samochodowy.

– Szukam niejakiego Geoffa Smitha, który być może jest znajomym panny Margolis.

Cawthorne ryknął śmiechem.

– Jasne, że może być. Tylko, że ja nigdy o nim nie słyszałem. Ona ma wielu chłopaków. Śliczna dziewczyna, niezły kierowca i dobra głowa do interesów. To ja sprzedałem jej samochodek. Tak się poznaliśmy. Targowała się ostro, wyklócała i postawiła na swoim. To mi się podoba. Podziwiam takich ludzi. To zupełnie oczywiste, że ma wielu chłopaków.

– Czy pan zaliczyłby się do ich grona? – to było śmieszne, facet miał co najmniej sześćdziesiątkę. Ale mimo to chłopakiem nazywa się teraz kochanków w każdym wieku. Zdaniem Burdena obydwa te słowa były eufemizmami.

Przez chwilę wydawało się, że Cawthorne zignoruje zadane mu pytanie. W końcu odezwał się, ale nie po to, żeby odpowiedzieć.

– Czy jest pan żonaty?

– Tak, jestem.

– Okropny interes, nieprawdaż? – urwał, posępnie przyglądając się jednemu ze swoich pracowników wydającemu klientowi resztę. – Starzec się razem... Okropność! – zacisnął pięści. – Twoim obowiązkiem jest pozostawać młodym tak długo, jak to tylko jest możliwe. Bawić się, spotykać, chodzić z młodymi... To już połowa sukcesu – mówił.

– Czy pan chodził z panną Margolis, panie Cawthorne?

Mężczyzna zbliżył twarz i Burden ponownie poczuł zapach whisky.

– Raz – odparł. – Tylko jeden raz. Zabrałem ją na obiad do Pomfret, do Cheriton Forest Hotel. To było niezbyt rozsądne. Kelner znał mnie, widywał mnie tam wcześniej z żoną. Zamawiałem, rozumie pan, a on mówi: „Czy pańska córka ma również ochotę na wędzonego łososia?”

Po cóż więc to robić? Po co robić z siebie głupka, wystawiając się na pośmiewisko? Burden nie miał takich pokus, czasem tylko marzenia. Wsiadł do samochodu obok Margolisa zastanawiając się, dlaczego bezbronni tak często ustawiają się na linii strzału...

Obrazy wisiały przy schodach i korytarzu. Światło było przyćmione i sierżant Martin potknął się o kupkę brudnych ubrań leżących przed pokojem Anity Margolis.

– Żadnych listów ani pamiątek, sir – zwrócił się do Burdena. W życiu nie widziałem

tylu ubrań. Wygląda tam jak w sklepie sukienniczym.

– Masz pewnie na myśli butik – zauważył Drayton.

– Bywało się, co? – Burden był w złym humorze.

Drayton wyglądał na typa, który bez zmruczenia oka kupuje swoim kobietom czarną, nylonową bieliznę. Takie rzeczy napawały go obrzydzeniem. Przez uchylone drzwi, nie domknięte z powodu zatkniętego tam pozłacanego sandała, ujrzał części garderoby rozrzucone na łóżku. Pozostałe ubrania wisiały mocno ściśnięte w dwóch szafach.

– Jeżeli pańska siostra wyjechała na własną rękę – zwrócił się do Margolisa – to musiała wziąć ze sobą ubrania. Czy czegoś brakuje?

– Skąd mam wiedzieć? Zadawanie mi takich pytań jest bezsensowne. Ann ciągle kupuje ubrania. Ma ich mnóstwo.

– Jest jedna rzecz – wtrącił Drayton. – Nie możemy znaleźć płaszcza przeciwdeszczowego.

– Zgadza się. Są futra, płaszcze zamszowe i inne, ale nie ma nic przeciwdeszczowego. Strasznie lało we wtorek – przytaknął Martin.

– Ann czasem zabiera ubrania – odezwał się Margolis – a czasami nie bierze ze sobą nic. Jest bardzo prawdopodobne, że wyjechała w tym, co miała na sobie, a później kupiła sobie wszystkie potrzebne rzeczy.

Burden zszedł na dół za malarzem, zostawiając Martina z Draytonem aby dokończyli oględzin.

– Więc miała pieniądze? – spytał. Kobieta z portretu, posiadająca tak ogromną ilość najwyraźniej kosztownej garderoby, nie wyglądała na taką, która zadowolą się mogła czymś z wieszaka od „Marksa & Spencera”. Czyżby dostawała pieniądze od innych mężczyzn? W tych okolicznościach wszystko było możliwe.

– Ile miała przy sobie?

– Jeden z jej czeków przyszedł w poniedziałek. Widzi pan, ona ma własne pieniądze. Mój ojciec zostawił jej wszystkie swoje oszczędności. Nie lubił mnie, a ja go nie znośm, więc zostawił wszystko dla Ann. Wypłacają jej te pieniądze co trzy miesiące.

Burden westchnął. Ktokolwiek inny wspomniałby raczej o prywatnym dochodzie otrzymywanym kwartalnie.

– Czy wie pan, na jaką sumę opiewał ten czek?

– Oczywiście, że wiem – Margolis był wyraźnie zmęczony i zdenerwowany. – Nie jestem półgłówkiem. Ta suma nie zmienia się, jest to zawsze pięćset funtów.

– I miała przy sobie ten czek? – w końcu było się o co zahaczyć, pieniądze mogły być przecież motywem ewentualnej zbrodni.

– Zrealizowała go, jak tylko przyszedł – odpowiedział Margolis. – I chowała pieniądze do torebki.

– Całe pięć setek? – Burden nie mógł ukryć zdziwienia. – Sądzi pan, że udała się na

przyjęcie mając pięćset funtów w torebce?

– Najprawdopodobniej tak. Zawsze je ze sobą nosiła. – Margolis mówił to tak, jakby była to najzwyczajniejsza i najbardziej naturalna rzecz na świecie. – Widzi pan, będąc akurat w mieście mogła zobaczyć jakąś ładną rzecz i miałaby wtedy przy sobie pieniądze, żeby to kupić, nieprawdaż? Ann nie lubi płacić czekami, ponieważ zawsze przekracza rachunek bankowy i to ją denerwuje. Pod pewnymi względami moja siostra jest bardzo drobnomieszczańska.

Pięćset funtów, nawet w banknotach po pięć, mocno wypchałoby damską torebkę. Czy Ann była na tyle nieostrożna, aby otwierać torebkę publicznie i pokazywać każdemu jej zawartość? Ta dziewczyna była na wskroś zepsuta. Przyzwoite kobiety miały czyste, porządne domy. Były albo mężatkami, albo pracowały, albo obie rzeczy naraz. Swoje pieniądze trzymały w banku. Burden sądził, że wie już, co się stało z Anitą Margolis: idąc na przyjęcie weszła do jakiegoś sklepu, otworzyła torebkę, której zawartość dostrzegł Smith. Przypuszczalnie przystojny i uprzejmy łotr. Młody brunet z czarnym samochodem. Wyszli razem ze sklepu i on zabił ją dla pieniędzy. Człowiek, który napisał anonim, musiał albo coś wiedzieć, albo tylko podejrzewać, może próbował szantażu i mu to nie wyszło. Ale zidentyfikowanie takiego przypadkowego podrywacza byłoby prawie niemożliwe. Stały chłopak, szczególnie taki, któremu się ostatnio niezbyt dobrze wiodło, mógłby wspaniale pasować.

– Czy przypomniał pan już sobie nazwisko następcy Fairfaxa? – spytał.

– Alan jakiś tam. To straszny prowincjusz bez grosza przy duszy. Nie rozumiem, co ona w nim widzi, ale Ann najwyraźniej ciągnie do slumsów, nie wiem, czy pan mnie rozumie. Fitz coś... Fitzwilliam? To nie jest dokładnie tak, ale coś w tym rodzaju. Rozmawiałem z nim tylko raz i to mi wystarczyło.

– Pan nie wydaje się lubić specjalnie kogokolwiek – cierpko zauważył Burden.

– Lubię Ann – powiedział smutno Margolis – i wiem, kto mógłby panu pomóc. Ona może coś wiedzieć... Pani Penistan, nasza ostatnia sprzątaczką. Powinienem pójść i poprosić ją: może zgodzi się przyjść i posprzątać tu. Mam nadzieję, że nie zniechęci jej ta historia z moją siostrą.

Padał chłodny kapuśniaczek, kiedy wyszli przed dom. Malarz odprowadził Burdena do furtki.

– Więc nie znalazł pan jeszcze pomocy domowej?

Artysta, z nutką dziecięcej dumy w głosie, poinformował go:

– Wywiesiłem ogłoszenie w oknie sklepu Grovera. Napisałem je na małej karteczce, płacę tylko piętnaście pensów tygodniowo. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego ludzie wydają tyle pieniędzy na ogłoszenia w „Timesie”, skoro w ten sposób jest taniej i łatwiej.

– W miarę – Burden starał się pohamować nagłą chęć ryknięcia i tupnięcia nogą. – Czy ta pani Penistan nie ma przypadkiem włosów koloru miedzi?



Margolis stał przy żywopłocie skubiąc młode pędy głogu, które następnie wkładał do ust i żuł ze smakiem.

– Zawsze nosiła kapelusz – powiedział. – Nie wiem więc, jakiego koloru ma włosy, mogę jednak panu powiedzieć, gdzie mieszka – przerwał, jak gdyby czekając na podziękowanie za tak niezwykły przebłysk pamięci. Wyraz twarzy Burdena wydawał się go zadowolić, bo kontynuował: – Wiem, ponieważ musiałem ją kiedyś odwiedzić, jak padało. Mieszka na Glebe Road, po lewej stronie, za piątym drzewem, kawałek przed skrzynką na listy. Na parterze są czerwone zasłony i...

Burden przerwał mu z niecierpliwością. Jeżeli miał to być ten geniusz, to miał go już po dziurki w nosie.

– Dam sobie radę – wołał sam sprawdzić adres w rejestrze ludności. Penistan było niewątpliwie nazwiskiem równie rzadkim, jak Smith częstym.

## ROZDZIAŁ V

Mark Drayton wynajmował pokój w starym domu niedaleko stacji kolejowej. Jego gospodyni, wyjątkowa kobieta, po matczynemu lubiła we wszystkim dogadzać swoim lokatorom, tak aby czuli się jak u siebie w domu. Na ścianach wieszała kolorowe obrazki, kołdry powlekała kwiecistym materiałem. Cały dom przystrajały ustawione przez nią tandetne ozdóbki. Drayton, jak tylko się wprowadził, pochował wszystkie te wazoniki i popielniczki do dolnej szuflady komody. Chciał, aby pokój wyglądał jak więzienna cela. Ktoś – a była to dziewczyna – powiedziała mu, że ma zimną naturę i od tamtej pory rozwijał swoją osobowość w tym kierunku. Lubił myśleć o sobie jako o człowieku poważnym, surowym i pozbawionym emocji. Był bardzo ambitny. Kiedy przybył do Kingsmarkham, postanowił sobie, że zdobędzie sympatię Wexforda, co mu się w pełni udało. Skrupulatnie wypełniał polecenia szefa, wysłuchiwał jego kazań, dygresji i dowcipów z uprzejmie i grzecznie pochyłą głową. Poznał okolicę dokładnie i teraz czuł się tu jak w swoim rodzinnym mieście. Często korzystał z biblioteki skupiając się głównie na pracach poświęconych psychologii i medycynie sądowej. Czasem czytywał również powieści, ale nigdy lżejsze niż na przykład Manna czy Durella. Miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie komisarzem, poślubi odpowiednią kobietę, podobną do pani Wexford, przystojną, cichą i miłą. Wexford miał córkę ładną i, jak mówiono, bystrą. Na razie były to plany dość odległe, nie miał zamiaru żenić się, dopóki nie awansuje. Był dumny ze swojego stosunku do kobiet. Będąc osobnikiem w pewnym sensie egoistycznym i zapatrzonym w siebie, nie pozostawiał wiele uczucia dla innych, a swój idealizm rezerwował głównie dla robienia kariery zawodowej. Jego przelotne romanse – wyjątkowo praktyczne i chłodne, z czasem uczyniły miłość pojęciem zakazany. Nigdy nie powiedział żadnej dziewczynie, że ją kocha. Jeśli kiedykolwiek czuł coś więcej niż potrzebę fizycznego kontaktu, nazywał to „pożądaniem z komplikacjami”. Nieustanne, obsesyjne myślenie o dziewczynie ze sklepu Grovera można było, jak sądził, w ten sposób określić. Pod pretekstem kupna wieczornej gazety udał się do sklepu papierniczego, zakładając, że dziewczyny tam nie zastanie. A nawet gdyby ją tam spotkał, to wszystko co do tej pory sobie imaginował, w bezpośrednim kontakcie prysnie jak bańka mydlana. W gruncie rzeczy liczył na to.

Sklep wciśnięty pod wysoką, ceglana ścianę sprawiał wrażenie, jakby w swoim wnętrzu coś ukrywał. Lampa uliczna, w czarnej żelaznej klatce, stała zaraz przed wejściem, jeszcze

nie zapalona.

Kiedy otwierał drzwi, zabręczała mały dzwoneczek. W środku panował półmrok i czuć było stęchlizną. Za stojakiem z gazetami i nadrdzewiałą chłodziarką oblepioną reklamówkami lodów zauważył półki z książkami do wypożyczenia. Były to książkowe buble, które zazwyczaj można było znaleźć w dni targowe na stoiskach z rupieciami: trzy tomowe dziewiętnastowieczne powieści, pamiętniki znanych ludzi, notatki odkrywców i lektury szkolne.

Za ladą stała chuda, wysuszona kobieta, a nad jej głową wisiała zwykła, niczym nie osłonięta żarówka. Kobieta była przypuszczalnie matką dziewczyny. Obsługiwała klienta kupującego tytoń.

– Jak tam kierownik? – spytał ją kupujący.

– Ciągle źle z jego krzyżem – powiedziała pani Grover bez specjalnego smutku. – Nie opuścił łóżka od piątku. Czy pytał pan o tytoń „Vestas”?

Mężczyzna przytaknął.

Drayton z niesmakiem zauważył czasopisma z dziewczynkami, magazyny z wykrojami (dwie swingujące mini spódniczki do wycięcia i uszycia w ciągu wieczora), tanie dreszczowce, „Świat duchów” i „Kosmiczne stwory”. Na półce, pośród niegustownych popielniczek, stał ceramiczny piesek – spaniel z koszykiem na grzbiecie, z którego wyrastały sztuczne kwiatki. Oblepione grubą warstwą kurzu, sprawiały wrażenie, jakby porośnięte były szarą pleśnią.

– To będzie funt dwadzieścia. Dziękuję. A wracając do mego męża, to nazywają to wypadnięciem dysku. Nachylał się nad jakąś błahostką w samochodzie i nagle – krach.

– Przykre – stwierdził mężczyzna. – Myśli pani o tym, żeby znowu wynająć pokój? Doszły mnie słuchy, że ten chłopak od was się wyniósł.

– I Bogu dzięki. Póki mąż choruje, nie wezmę na razie nikogo. Mamy z Lindą i tak wystarczająco dużo na głowie.

Więc to było jej imię – Linda. Drayton odwrócił się od „Świata duchów” a pani Grover spytała obojętnie:

– Tak?

– Poproszę „Standard”.

– Powinien być jeszcze jeden na zewnątrz – wyszła przed sklep, znalazła gazetę na wieszaku i podała Draytonowi. Zapłacił jej na progu. Nie chciał już tam wracać. Był wstrząśnięty. Nie znosił ludzi tego pokroju – zmanierowanych nieudaczników. Czuł się okropnie. Stał chwilę w miejscu. W międzyczasie zapaliła się lampa i Drayton zauważył obok drzwi przyklejone ogłoszenie ze znajomym nazwiskiem. Margolis, Quince Cottage. Pod spodem zamieszczona była informacja o chęci zatrudnienia sprzątaczk. W tym momencie otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyszła Linda Grover. Sparaliżowało go. Jego wzrostu. Ubrana w krótką, szarą sukienkę wyglądała na wyższą, niż była w rzeczywistości. Wilgotny

wiatr dmuchał coraz silniej i materiał silniej przylgnął do jej ciała uwypuklając kształt jej małych piersi oraz długie, smukłe uda. Miała niewielką głowę osadzoną na chudej szyi, a jej płowe włosy związane były tak mocno, że skóra i łagodne, gołębnie brwi lekko naciągnęły się. Nigdy w życiu nie widział kompletnie ubranej dziewczyny wyglądającej tak nago. Otworzyła przeszkloną tablicę z ogłoszeniami, wyjęła jedno i zastąpiła innym.

– Znowu leje – powiedziała. – Nie wiem, skąd się to wszystko bierze... – Miała brzydki głos, z okropnym podmiejskim akcentem.

– Z nieba – poinformował ją Drayton. Była to jedyna możliwa odpowiedź na tak głupią uwagę. Nie rozumiał, dlaczego w ogóle odezwała się do niego; no chyba, że widziała go tamtej nocy i ukrywała w ten sposób swoje zakłopotanie.

– Bardzo śmieszne – jej palce były długie i mocno zaniedbane. Zauważył również poobgryzane paznokcie.

– Przemoknie pan stojąc tutaj – rzekła.

Drayton nałożył kaptur.

– Jak się miewa pani chłopak? – zapytał.

Jej reakcja sprawiła mu satysfakcję. Była zaskoczona.

– A czy jest taki? – jej brzydki akcent drażnił go i wmówił sobie, że to właśnie ten głos, a nie bliskość dziewczyny był powodem jego rozkojarzenia i rozdrażnienia. Zaciskał mocno pięści przeglądając ogłoszenia o wózkach na sprzedaż i propozycjach wymiany mieszkań czynszowych.

– Taka ładna dziewczyna jak ty? – powiedział, odwracając się gwałtownie w jej stronę. Nie było to zagranie z Manna ani Durella, po prostu zwykła zaczepka, rodzaj prymitywnego flirtu.

– Nie zalewaj. Nie wierzę.

Uśmiechnęła się. Powoli i łagodnie, nie pokazując zębów ani nie rozwierając ust. To go ruszyło. Stali tak moknąc na deszczu i patrzyli sobie w oczy. Krople spadały na gazetę, którą trzymał w ręce. Nagle Drayton niezbyt uprzejmie odwrócił wzrok. Zaczął znowu studiować anonse.

– Widzę, że bardzo interesują cię te ogłoszenia – powiedziała ostro. – Cóż jest ciekawego w całej tej kupie używanych rzeczy?

– Nie mam nic przeciwko używanym rzeczom. – Zarumieniła się, a on nabrał pewności, że dziewczyna dobrze wie, że tamtej nocy obserwował ją całującą się z nieznanym mu mężczyzną.

Sprzątaczką z miedzianymi włosami. Dobrze by było... Wszystko na to wskazywało. Pani Penistan pasowała do tej łamigłówki. Sprzątała dla Anity Margolis, dlatego więc nie miałyby pracować dla pani Harper z Waterford Avenue. Kobieta mieszkająca na małym prestiżowej, zapuszczonej Glebe Road mogłaby przecież kraść papier jednej pracodawczyni,

aby pisać anonimowe listy dotyczące drugiej. Ludzie zamieszkujący Glebe Road obeznani byli ze światem zbrodni, nawet z morderstwami. Tam właśnie, zaledwie rok temu, zabito kobietę. W tym rejonie mieszkał kiedyś Monkey Matthews i właśnie w jednym z takich przytulnych gniazdek wymieszał cukier z chlorkiem sodu, aby zrobić swoją bombę.

Burden zapukał do drzwi jednego z małych, szeregowych domków. Zapaliło się światło i ktoś zaczął mocować się z łańcuchem zabezpieczającym drzwi. W okienku zobaczył drobną, ostrą twarz przyglądającą się mu z zainteresowaniem.

– Pani Penistan?

Jej usta otworzyły się szeroko i potok słów popłynął gładko w jego kierunku:

– No więc w końcu pan tutaj dotarł, kochasiu. Już przestawałam wierzyć, że pan się pojawi. Mój „hoover” grzecznie czeka gotowy do wzięcia! – sięgnęła za siebie i wręczyła mu ogromny, stary odkurzacz. – Podejrzewam, że trochę piasku dostało się do silnika. Te niesforne chłopaki nie zwracają uwagi na to, co za paskudztwo wnoszą do mieszkania na swoich buciorach. To chyba nie potrwa długo, co?

– Pani Penistan, nie przyszedłem tutaj w sprawie odkurzacza. Nie jestem...

Przyjrzała mu się bacznie.

– Mam nadzieję, że nie Świadek Jehowy?

– Nie. Oficer policji – wyjaśnił.

Pani Penistan roześmiała się perliście. Nawet we własnym domu chodziła w kapeluszu. Kosmyki włosów wystające spod jego ronda były jednak siwe. Jedno było pewne – nie można o niej było powiedzieć, że jest w średnim wieku, ani że się krzykliwie ubiera. Oprócz przypominającego miskę kapelusza, miała na sobie robioną na drutach fioletowoniebieską kamizelkę narzuconą na zielony golf. Wyglądała na osobę dobiegającą siedemdziesiątki.

– Nie będziesz miał, kochasiu, nic przeciwko temu, żeby pójść ze mną do kuchni, prawda? Przygotowuję moim chłopcom podwieczorek.

W garnku na kuchence smażyły się frytki. Wyjęła ze środka druciany koszyk i ponownie napełniła go ogromną ilością świeżo pociętych, mokrych ziemniaków.

– Co powiedziałbyś na herbatę?

Burden przyjął propozycję i kobieta podała mu filiżankę gorącej i mocnej herbaty. Usiadł na obdrapanym krześle przy tak samo obdrapanym, starym stole. Pomieszczenie sprawiało wrażenie niechlujnego i zatęchłego, co mocno zdziwiło Burdena. Zawsze sądził, że dom kobiety, która zawodowo zajmuje się sprzątnięciem, powinien być czysty; podobnie jak konto dyrektora banku powinno być wysokie.

– Smith? – spytała. – Nie, nic mi nie mówi.

– Fitzwilliam?

– Nie, kochasiu. Ale był niejaki Kirkpatrick. Może to o niego chodzi?

– Możliwe – znając Margolisa było to bardzo prawdopodobne.

– Mieszka gdzieś w Pomfret. To zabawne, że się pan o niego pyta, bo to właśnie z jego

powodu odeszłam.

– Jak to było, pani Penistan?

– Cóż, nie ma powodu, żeby to ukrywać. Zaginęła, mówiłeś? No więc, to mnie specjalnie nie dziwi. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zrobił to, czym groził...

– Co dokładnie?

– Groził jej w mojej obecności. Chciałbyś o tym usłyszeć?

– Tak, pewnie. Po to tu jestem. Ale najpierw chciałbym usłyszeć coś o niej: co pani o niej myślała i inne tego typu rzeczy.

– Była wystarczająco ładna, za przeproszeniem. Pierwszego dnia jak tam przyszedłam nazwałam ją „panienką”, a ona nic, tylko wybuchnęła śmiechem. „Kochana pani P.” – mówiła – „niech mi pani mówi Ann. Wszyscy nazywają mnie Ann”. Była taka swobodna, jak to mówią. Wszystko brała z radością. Miała, za przeproszeniem, furę pieniędzy, całe mnóstwo, ale w tych sprawach to już uważała. Konkretna, ten typ. A ubrania, które mi dawała! Nie uwierzyłbyś. Większość dałam wnuczce, bo to nie dla mnie te dziwaczne spodnie i spódniczki do pępka. Ale głowę to ona ma na karku. W sklepie potrafi być ostra. Zawsze kupowała tylko to, co najlepsze i lubiła wiedzieć, na co wydaje forszę. Trudno byłoby jej coś wcisnąć. W odróżnieniu od niego...

– Ma pani na myśli pana Margolisa?

– Łatwo powiedzieć, ale podejrzewam, że to psychiczny. Cały rok, jak tam byłam, żywa dusza do niego nie przysła. Malować, malować, malować cały boży dzionek, ale jak już coś skończył, to nie mogłeś powiedzieć, co to jest. „Dziwne, że się panu nie znudzi” – raz do niego powiedziałam. A on mi na to: „Jestem bardzo płodny, pani Penistan”, cokolwiek też miał na myśli, brzydko mi to zabrzmiało. Nie ma co, z głową u niego nie jest najlepiej.

Wysypała frytki na dwa talerze i zaczęła rozbijać jajka, które wahała podejrzliwie przed wrzuceniem na patelnię.

Burden zaczął ją właśnie wypytywać o groźby Kirkpatricka, kiedy tylnymi drzwiami weszło dwóch ogromnych mężczyzn w kombinezonach roboczych. Obydwaj mieli głowy osadzone na byczych karkach i wielkie łapska. Czy to byli ci chłopcy nie zważający na to, co wnoszą na swoich butach?

Wyglądali obaj na starszych nawet od Burdena. Skinąwszy w stronę matki, przeszli ciężko przez kuchnię, nie zwracając najmniejszej uwagi na gościa. Widocznie również wynioskowali, że przyszedł naprawić odkurzacz.

– Chwileczkę – zwróciła się do niego pani Penistan. Z talerzem w każdej ręce przeszła do jadalni. Burden dokończył swoją herbatę. Jeden z „chłopców” wziął ze sobą dzbanek z herbatą i minął się w drzwiach z wracającą matką wyglądającą na bardzo zadowoloną.

– Nie wyciśniesz z nich ani słowa, dopóki nie napełnią żołądków – powiedziała z nutką dumy w głosie.

Drugi syn również zignorował ją i wychodząc z kuchni trzasnął z hukiem drzwiami.

– No tak, kochanie, chciałeś coś wiedzieć o panu Kirkpatrick. Zobaczymy, gdzie też jesteśmy... piątek. To musiało być w zeszłym tygodniu, chyba w środę. Pan Margolis wyjechał do Devon, żeby sobie trochę pomalować. Przyszłam kilka dni wcześniej i mówię do niej: „Gdzież to się podział braciszek?” „Jest w Dartmoor”, ona mówi – pani Penistan westchnęła głośno i usiadła naprzeciwko Burdena opierając łokcie na stole. – No i dwa dni później, w środę po południu, słyszę pukanie do drzwi. „Ja otworzę”, powiedziała Ann i to był właśnie ten Kirkpatrick. „Witam”, ona mówi, coś tak chłodno, ale w taki jakiś śmieszny sposób, że nie umiem opisać. „Dzień dobry”, on jej odpowiada i stoją tak patrząc na siebie. No i ona wtedy bardzo ładnie mnie przedstawia: „Penistan”... On na to: „dość popularne nazwisko w tych stronach. Naprzeciwko nas, w Pomfret, też mamy rodzinę Penistanów”. No i stąd wiem, gdzie mieszka. Ja czyściłam wtedy srebra, więc poszłam z powrotem do kuchni. Nie więcej niż pięć minut później słyszę, że wchodzi na górę. W swojej naiwności pomyślałam, że chcą obejrzeć te obrazy. Tam wszędzie były obrazy, nawet w łazience. Mniej więcej pół godziny później schodzą znowu na dół i ja już wiedziałam, że coś się święci. No i usłyszałam, jak zaczynają się kłócić. „Na Boga, nie kpj sobie ze mnie, Alan!” prawie krzyczała. „Miłość! Nawet nie wiem, co to takiego. Jeśli już kogoś Kocham, to Ruperta”. Rupert to ten jej psychiczny braciszek. No i wtedy ten Alan stracił cierpliwość i zaczął krzyczeć. Wszystkie te potworne rzeczy wykrzykuje, że nie mogą nawet teraz panu powtórzyć. A ona nic, tylko mówi: „Niczego nie kończę, kochanie. Nadal możesz dostawać to jak dotychczas”. No i mówię sobie, że to już za wiele. Cała krew uderzyła mi do głowy. „Ostatni raz twoja noga postaneła w tym domu, Rose Penistan”, mówię sobie. Moi chłopcy są wyjątkowo wyczuleni w tej materii. Nie pozwoliliby mi dalej pracować w tej jaskini niemoralności. Miałam już zamiar wkroczyć tam i powiedzieć jej i temu Kirkpatrickowi, co o tym myślę, kiedy usłyszałam, jak on mówi: „Sama się prosisz, żeby cię zabić. Pewnego pięknego dnia może będę musiał to zrobić. W każdym razie skończyło się tym, że on wyszedł obrażony. Słyszałam, jak Ann wołała jeszcze za nim: „Nie bądź głupi Alan i nie zapomnij, że mamy randkę we wtorek wieczorem”

– Wtorek? – Burden przerwał jej gwałtownie. – Czyżby miały to być ostatni wtorek?

– Z tego wynika. Ludzie są śmieszni, nie uważasz, Kochasiu? Tacy oficjalni, jak ona; i zarazem dobrzy na swój sposób. Przejmowała się chorymi i biednymi zwierzątkami, czytała gazety od deski do deski cholernie denerwując się panującą na świecie niesprawiedliwością, a jednocześnie była taka ostra i nieprzyjemna dla tego swojego Kirkpatricka. Dziwne rzeczy się dzieją na tym świecie.

– Więc pani rzuciła tę pracę?

– Tego samego dnia. Jak on sobie poszedł, to ona wchodzi do kuchni jak gdyby nigdy nic. Była całkiem spokojna i pogodna, uśmiechała się i mówiła o tej strasznej pogodzie, i że przez to jej biedny Rupert nie ma ładnych i przyjemnych wakacji. Doprawdy nie wiem, Kochasiu, co to jest, ale chyba ludzie to mają na myśli jak mówią, że ktoś ma tupet. Musiałam to z nią

zaraz załatwić: „kończę tę pracę” – tak jej powiedziałam, „to miejsce mi zbrzydło”. I nigdy nie mówiłam większej prawdy.

– Czy pani gdzieś jeszcze pracuje? W Stowerton na przykład?

– O nie, kochasiu. Szkoda mojej fatygi. Za daleko. Moi chłopcy nie woziliby mnie tam swoim wozem. Przez cały czas nic nie robią, tylko myślą o swojej mamusi.

Odprowadziła go do przedpokoju, gdzie natknęli się na jednego z jej synów wracającego do kuchni z pustym talerzem. Mimo iż nadal zdawał się nie zauważać swojej matki, posiłek, który „miał w sobie” spowodował chyba niewielką poprawę jego humoru, bo rzucił ponuro:

– Paskudna pogoda.

Pani Penistan uśmiechnęła się do niego, a Burden zauważył w jej oczach ten szczególny wyraz dumy. Kobieta odsunęła nogą odkurzacz zagradzający drogę i otworzyła drzwi. Na dworze lało. Burden nie mógł zrozumieć, dlaczego codziennie wieczorem na nowo zaczyna padać. Idąc ulicą ze spuszczoną głową i postawionym do góry kołnierzem rozmyślał o tym, jak kłopotliwe będzie przesłuchanie Kirkpatricka. Nie mieli przecież ciała dziewczyny ani żadnego innego potwierdzenia jej zgonu oprócz anonimowego listu.



## ROZDZIAŁ VI

W Kingsmarkham mieszkało dwóch Geoffreyów Smith, w Stowerton jeden i dalszych dwóch w Sewingbury. Jedyne ciemnowłose miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kolejny poniżej czterdziestki miał jasną brodę, żaden z nich nie posiadał czarnego samochodu. Dochodzenie prowadzone w tej sprawie okazało się bezowocne. Przeszukanie domu malarza nie dało żadnych istotnych rezultatów. Nie znaleziono tam jakiegokolwiek informacji napisanej przez Ann dla brata.

Wszystko razem wzięte raczej nie skłaniało policji do formułowania opinii o popełnionym przestępstwie.

– Nie znaleziono nigdzie tych pięciuset funtów? – spytał Burden.

– To była ładna sumka, za którą można sobie zafundować niezłe wakacje – stwierdził Wexford. Po czym dodał już z mniejszą pewnością: – Mike, czy sądzisz, że niepokoiłoby Margolisa nadaremnie?

– Trudno powiedzieć, czy on się niepokoi, czy też nie, sir. Nie rozumiem tego faceta... Momentami wydaje mi się, że stroi sobie ze mnie żarty. – Cóż, jest jak małe dziecko. Ośmielę się stwierdzić, że to właśnie stanowi jego geniusz – dokończył po namyśle.

– Niektórzy mówią, że granica pomiędzy geniuszem a obłąkaniem jest prawie niewidoczna, inni zaś twierdzą, że geniusz to po prostu nieograniczona zdolność znoszenia trudności losu.

Z tej konkluzji do Burdena najbardziej trafił fragment dotyczący trudności losu.

– To jego malowanie to tylko rozlewanie farb i innych świństw na płótno: mniej więcej tak, jakbym ja lub pan polewał ketchupem frytki – stwierdził. – Cała ta twórczość do mnie nie przemawia. Powiedziałbym nawet, że to tylko kolejny sposób naciągania i oszukiwania ludzi. Jeden wielki pic. Ile kosztuje wejście do Tate Gallery?

– Nic, o ile mi wiadomo. – Wexford roześmiał się głośno. – Jest darmowe – zacisnął mocniej wąski, lśniący gałganek, który nazywał się krawatem. – Słuchając ciebie, przypominam sobie znane powiedzenie Goeringa: „Jak tylko słyszę słowo »kultura«, sięgam po broń...”

Burden poczuł się urażony. Wyszedł na korytarz rozglądając się za kimś, na kim mógłby wyładować swoją złość. Bryant i Gates, którzy gawędzili sobie stojąc przy oknie,

zobaczywszy go ucichli i starali się sprawiać wrażenie bardzo zajętych. Tylko Mark Drayton nie zauważył Burdena. Stał samotnie z boku przyglądając się czubkom swoich butów, najwyraźniej głęboko zamyślony. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach swego workowatego płaszcza. Widok luźnych kosmyków czarnych włosów leżących na kołnierzu rozdrażnił inspektora jeszcze bardziej. Skierował się w stronę Draytona, ale nim zdążył się odezwać, tamten zwrócił się obojętnie do niego:

– Chciałbym z panem zamienić słówko.

– Jedyłą osobą, z którą powinienes zamienić słówko, jest fryzjer – warknął Burden. – Dokładnie cztery słówka: „skrócić tył i boki”.

Inteligentna i skryta twarz Draytona była niewzruszona.

– No dobrze już, o co chodzi?

– Ogłoszenie przed sklepem Grovera. Pomyślałem, że może nas zainteresować – młody człowiek wyjął z kieszeni mały, schludny notes. – Cichy, odosobniony pokój do wynajęcia wieczorami. Odpowiedni dla studentów i tych wszystkich, którzy chcą uciec od codzienności i mieć dla siebie małą chwilę spokoju. Dyskrecja zapewniona: 82 Charteris Road, Stowerton – przeczytał na głos.

Twarz Burdena ściągnęła się z niesmakiem. Zdawał sobie sprawę z tego, że Drayton nie ponosi żadnej odpowiedzialności za treść ogłoszenia, a jedynie je znalazł. Szczerze mówiąc, było to raczej na jego plus, że zwrócił na nie uwagę. Dlaczego więc Burden czuł takie obrzydzenie, mając od dawna świadomość, że to miasto nie jest takie święte i w jego brudnych zaułkach mają miejsce różne plugawe rzeczy?

– Więc znowu Grover? – Wexford chciał się tylko upewnić. – Czyżby to był ich najnowszy numer? W zeszłym roku, o ile pamiętam, była afera z „dziwnymi” wydawnictwami. To miejsce upodabnia się z dnia na dzień do Charing Cross Road – zachichotał.

Burden nie zdziwiłby się, gdyby Drayton zareagował w ten sam sposób. Ten chłopak był, jego zdaniem, strasznym pochlebcą. Spojrzał w jego kierunku, ale śniada twarz Draytona wyrażała rezerwę. Wyglądał tak, jakby był zawstydzony, ale Burden nie znał żadnego powodu, dla którego mogłoby tak być.

– Czy pamiętacie czasy, kiedy wszystkie okoliczne dzieciaki miały noże sprężynowe, a my będąc pewni, że to sprawka Grovera, nie mogliśmy mu tego udowodnić? I te wszystkie czasopisma, które sprzedaje... Jak by ci się podobało, gdybyś znalazł je w rzeczach swojej córki?

Wexford wzruszył ramionami.

– One nie są dla córek, Mike, tylko dla synów. I ich się nie czyta. Nim wciągniemy w tę sprawę obyczajówkę, zajmijmy się lepiej tym ogłoszeniem – z wyrazem zastanowienia na twarzy, niepewnie utkwiał oczy w Draytonie. – Myślę, że byś się nadawał, Mark...

Burdenowi nie spodobało się, że główny inspektor zwraca się do chłopaka po imieniu,

jako że czynił to tylko w wyjątkowych okolicznościach.

– Ty dostaniesz tę rolę.

– Jaką rolę, sir?

– W naszej sztuce obsadzimy cię jako studenta „chcącego uciec od codzienności” – powiedział zadowolony z siebie Wexford. – Czyż to nie dobry pomysł, inspektorze Burden? – nadal obserwując Draytona dodał: – Nie bardzo wyobrażam sobie siebie albo inspektora Burdena figlującego w takim miejscu.

Gdy po raz pierwszy zadzwonili do drzwi, nikt im nie otworzył. Był to szeregowy, narożny dom, stojący przodem do Charteris Road, bokiem zaś graniczył ze Sparta Grove. Podczas kiedy Burden czekał w samochodzie, Drayton poszedł wzdłuż wysokiego, zniszczonego płotu na tyły domu. Tam płot był znacznie wyższy i tworzył coś w rodzaju palisady. Ponad nim nie można było nic zobaczyć, ale policjant znalazł sporą szparę pomiędzy deskami, przez którą widać było kawałek ogrodu. Na sznurze przytwierdzonym z jednej strony do płotu, a z drugiej do haka wbitego w ścianę domu, wisiał mokry dywan, z którego na ścieżkę kapłała woda. Dom był stary – musiał mieć około siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu lat. Od sąsiednich domów, zaniedbanych i brudnych, wyróżniał się pewną schludnością i porządkiem. Podwórko było pozamiatane, czysta miotła stała oparta o ścianę, a schodki prowadzące z domu do ogródka wyglądały na umyte. Wszystkie okna były szczelnie pozamykane i zasłonięte czystymi, wykrochmalonymi firankami. Podczas kiedy Drayton przypatrywał się tym oknom, firanka w jednym z nich została lekko uniesiona i policjant ujrzał małą, wysuszoną twarz wyglądającą na zewnątrz. Podstawił sobie pod nogi większy kamień, na którym stanął i podciągnął się wyżej tak, że jego głowa i ramiona znalazły się nad płotem. Brązowa, mała twarz nadal znajdowała się w oknie. Ich spojrzenia spotkały się i Drayton dostrzegł w oczach tamtego przerażenie. Twarz z okna nagle zniknęła. Wracając do samochodu zastanawiał się, czy to, że w jakimś sensie naruszył prywatność tego człowieka zasługiwało na paniczną reakcję.

– Tam ktoś jest – zwrócił się do Burdena.

– Tak też przypuszczałem. Pomijając fakt, że nie uda nam się wejść do środka przez płot, wszczynanie awantury nie leży, o ile mi wiadomo, w naszym interesie. Wydaje mi się wręcz, że mogłoby to odstraszyć obiekt naszego zainteresowania, nieprawdaż?

Ich samochód był jednym z wielu parkujących na Sparta Grove. Na tej części ulicy nie było ani garaży, ani kawałka miejsca na ich budowę.

– Ktoś właśnie nadchodzi – powiedział nagle Drayton.

Burden podniósł oczy. Kobieta pchająca przed sobą duży wózek z zakupami otwierała furtkę narożnego domu. Głowę miała owiniętą kolorowym szalem, a ubrana była w płaszcz z wielkim futrzanym kołnierzem. Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, powiedział:

– Znam ją. Nazywa się Branch, pani Ruby Branch. Mieszkała kiedyś w Sewingbury.

– Czy jest jedną z naszych klientek?

W ustach Draytona ten zwrot, będący jednym z ulubionych terminów Wexforda, rozżłóścił Burdena. Wyglądało to na celowe naśladowanie ciętego i soczystego stylu głównego inspektora, a nie przypadkowe rzucone sformułowanie.

– Była u nas za kradzieże sklepowe, okradanie pracodawców i temu podobne. To jej nowy wyskok. Lepiej już idź i zrób, co masz zrobić.

Poddała go ostrożnej i wnikliwej lustracji przez szybkę w drzwiach. Najwyraźniej doszła do wniosku, że nie ma się czego obawiać, bo uchyliła drzwi. Drayton postawił stopę na wycieraczce.

– Pani, zdaje się, ma pokój do wynajęcia – przemówił uprzejmym, rozbijającym wręcz głosem.

Uśmiechnęła się ukazując doskonałe, sztuczne zęby pobrudzone szminką. Nie zdążyła jeszcze zdjąć szala i płaszcza, a pod rozchylnym futrzanym kołnierzem widać było krezowaną bluzkę przykrywającą okazałe piersi. Była w średnim wieku, około pięćdziesiątki. Twarz miała mocno umalowaną, szczególnie powieki.

– Przeczytałem ogłoszenie w oknie w sklepie Grovera, pani...?

– Żadnych nazwisk ani wypytywań, kochasiu – powiedziała. – Mów mi po prostu Ruby.

– W porządku, Ruby.

Drzwi zamknęły się za nim i znalazł się w małym, wąskim przedpokoju, którego podłoga pokryta była tanią, jaskrawoczerwoną wykładziną. Zatrzymał się na progu frontowego pokoju, a w jego spojrzeniu widoczne musiało być zdziwienie, bo ona szybko powiedziała:

– Nie zwracaj uwagi na gołą podłogę, misiaczku. Widzisz, lubię jak wszystko jest na wysoki połysk, dlatego wietrzę właśnie dywan.

– Czyżby wiosenne porządki?

Wszystkie meble były przysunięte do ścian. Pod jedną z nich stało ogromne łóżko przykryte kapą z gęstym, puszystym włosiem, której absurdalny wzór przedstawiał niebieskie rybki pływające w płataninie czerwonych i różowych pnących róż. Na dużym telewizorze stała figurka z różowej porcelany przedstawiającą nagą kobietę trzymającą w wyciągniętej do góry ręce lampę z plastikowym abażurem. Cały pokój wyłożony był tapetą w połączony wzorek, a jedyny wiszący na ścianie obrazek przedstawiał króla Jerzego V i królową Marię w całym majestacie królewskim.

– Bardzo tu przyjemnie – powiedział uprzejmie.

– W żadnym z tych waszych hoteli nie jest ładniej. Kiedy chciałbyś tu wpaść? Odpowiada mi każdy wieczór – spojrzała na niego wzrokiem niby to nieśmiałym i skromnym, ale równocześnie szacującym jego możliwości finansowe. – Przeprowadzisz ze sobą jakąś koleżankę?

– Jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu... Myślałem o dzisiejszym wieczorze.

Powiedzmy od ósmej do jedenastej. Czy pani...

– O ósmej będę gotowa. Niektóre dziewczyny są trochę wstydliwe, nie będę więc wam przeszkadzać. Zapukaj tylko do drzwi. Otworzę wam i już mnie nie ma. No to powiedzmy... „piąta!”

Burden odczekał ustalone wcześniej dziesięć minut. Wszystko szło nad wyraz gładko. Drayton wyjrzał przez okno i zobaczył inspektora podchodzącego do drzwi wejściowych. Usłyszawszy jej ciężkie westchnienie, wiedział, że ta kobieta domyśliła się wszystkiego i wie już, kim on jest.

– O co tutaj chodzi? – spytała słabnącym głosem.

Drayton zwrócił się do niej surowo:

– Jestem oficerem policji i mam podstawy przypuszczać, że jest pani zamieszana w prowadzenie domu publicznego.

Ruby Branch usiadła na czerwono-niebieskiej kanapie i ukrywając głowę w dłoniach zaczęła płakać.

Drayton przypuszczał, że zawiozą ją teraz do Kingsmarkham, żeby spisać protokół. Wszystko było jasne, kobieta nie wypierała się niczego ani nie stawiała oporu. Zamieściła to ogłoszenie, żeby sobie trochę dorobić. Twierdziła, że przy odrobinie wysiłku można było w ten sposób związać koniec z końcem...

Burden słuchał tych jej tłumaczeń z kpiącym wyrazem twarzy. Oczy utkwili w szalu, który Ruby Branch zdjęła z głowy i używała teraz do osuszania łez. Zafascynowały go również jej włosy, a raczej ich miedziany odcień. Odezwał się:

– Byłaś blondynką, kiedy cię ostatni raz widziałem, Ruby.

– Od kiedy to muszę mieć wasze pozwolenie na farbowanie włosów?

– Nadal pracujesz dla pani Harper z Waterford Avenue?

Przytaknęła, po czym spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

– Nie wasz interes, dla kogo pracuję. Gdyby nie pan, to nadal miałabym tę pracę w supermarkecie.

– Mogłaś o tym pomyśleć wcześniej, przed swoim „nieszczęśliwym wypadkiem” z sześcioma tuzinami paczek płatków mydlanych. Zawsze dbałaś o czystość domu i to cię zgubiło. To już u ciebie jak nałóg, nieprawdaż? Widzę, że znowu w to wpadasz... – spojrzał na pustą podłogę i zamyślił się. Rzucił okiem na pokryte żyłakami nogi Ruby, ubrane w cienkie, czarne pończochy. Jej przestraszona twarz zaintrygowała go. Zwrócił się do Draytona. – Ona jest niezwykła... Niewiele pracujących kobiet znalazłoby czas na pranie dużego dywanu. Najwyżej przetarłyby go mokrą ścierką. Tak to przynajmniej robi moja żona. Przejdźmy się na zewnątrz i popatrzmy, jak też to jej wyszło. Na dworze jest całkiem przyjemnie i sędzę, że przyda się nam łyk świeżego powietrza.

Ruby Branch wyszła razem z nimi. Chwiała się lekko idąc w swoich butach na wysokich obcasach i Drayton odniósł wrażenie, że jest oniemiała z przerażenia. Kuchnia, przez którą

przechodzili, była wyjątkowo czysta i świeża, a stopień wychodzący do ogrodu tak przesadnie wypucowany, iż wydawało się, że nieobłocony but Burdena zostawił na nim ciemny ślad.

Po człowieku widzianym w oknie – mężu czy też lokatorze – nie było ani śladu.

Drayton zdziwił się, że sznurek był wystarczająco silny, aby utrzymać ciężki dywan, który ociekał wodą i wyglądał tak, jakby został poddany kąpieli w wannie.

– Nie ważcie się tego dotykać – prawie krzyknęła – zwalście go tylko!

Burden nie zwrócił na nią uwagi. Szarpnął gwałtownie i tak, jak to kobieta przepowiedziała, linka puściła. Dywan chlapiąc zleciał na dół, wydzielając ze swoich przemoczonych fałdów zwierzęcą woń nasyconej wilgocią wełny.

– No i co pan zrobił? Po co tu przychodziecie i wtykacie nos w nie swoje sprawy? Będę teraz musiała to zrobić wszystko od początku!

– Nie, nie będziesz – powiedział stanowczo Burden – teraz zajmą się tym eksperci naukowi.

– Więc to pani nazywa wietrzeniem? – zapytał Drayton.

– Och, mój Boże – twarz Ruby stała się żółtawo-biała, a jej drżące, czerwone usta wyglądały na tym tle jak długa i głęboka, cięta rana. – Nie chciałam nic złego... Byłam wystraszona. Myślałam, że zwalście to na mnie i wsadzicie mnie za... za...

– Za współudział? To dobry pomysł. Może rzeczywiście powinniśmy tak zrobić?

– Och, mój Boże!

Będąc z powrotem w pokoju usiadła na krześle i nie odzywając się rozglądała się dookoła. Przygryzając usta ścierała z nich resztki szminki i nerwowo poruszała dłońmi wykrzywając i wyłamując palce.

– To nie tak, jak sobie myślicie – rzekła. – To nie była krew. Właśnie zaprawiałam maliny i...

– W kwietniu? Zrób mi przysługę – powiedział Burden – i nie spiesz się.

Spojrzał na zegarek.

– Mamy dzisiaj wyjątkowo wolny i nudny ranek, nieprawdaż, Drayton? Jeśli o mnie chodzi możemy tu siedzieć aż do obiadu, a nawet do jutra...

Nie odezwała się i w tej zalegającej ciszy usłyszeli zbliżające się kroki. Drzwi otworzyły się ostrożnie i Drayton zobaczył niskiego mężczyznę z rzadkimi, siwymi włosami. Była to twarz człowieka widzianego wcześniej w oknie. Z wysuniętą szczęką, wieloma bruzdami na ciemnej, brązowej skórze, bulwiastym nosem i szerokimi ustami. Taka fizjonomia raczej nie mogła budzić sympatii. Przerazenie znikło z jego twarzy i na widok Draytona zmieniło się w wyraz zgrozy i obrzydzenia, podobnego do tego, kiedy człowiekowi pokazuje się pięcionóżną owcę albo brodatą kobietę.

Burden wstał i zamknął drzwi za nowo przybyłym, jako że tamten wyglądał tak, jakby chciał uciec.

– Cóż to za miłe spotkanie! – powiedział. – Czyż to nie nasz stary znajomy, pan Matthews?

Człowiek, do którego się zwrócił, odpowiedział drżącym głosem:

– Dzień dobry, panie Burden – po czym automatycznie, tak jak inni ludzie mówią „co słyhać” albo „ładna pogoda”, dodał: – Nie zrobiłem niczego.

– Kiedy byłem w szkole, uczono mnie, że podwójna negacja równa jest twierdzeniu. Widzę, że jesteśmy w komplecie. Siadaj i przyłącz się do zebrania. Oprócz was nie ma już w domu nikogo więcej, nieprawdaż?

Monkey Matthews rozejrzał się bacznie po pokoju siadając w końcu na krześle, możliwie jak najdalej od Draytona. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Matthews spojrzawszy na Ruby i na Burdena, jak gdyby bezwolnie znowu zwrócił wzrok na Draytona.

– Czy to jest Geoff Smith? – spytał w końcu.

– Otóż – mówiła Ruby Branch – on ich nigdy nie widział. Mówiąc szczerze, ja też nigdy nie widziałam tej dziewczyny.

Wexford rozgoryczony pokiwał głową. Trząśł się cały ze złości usłyszawszy sprawozdanie Burdena. Jego złość zaczynała już teraz słabnąć pozostawiając uczucie niedowierzania i niesmaku. Minęły cztery dni od wtorku, cztery dni pełne wątpliwości. Sześć osób traciło czas pracując po omacku i zadając najprawdopodobniej złe pytania nieodpowiednim osobom. A wszystko to z powodu głupiej baby bojącej zgłosić się na komisariat z obawy, że policja zlikwiduje jej „intratny” interes. Teraz siedziała w jego biurze płacząc i ocierając twarz koronkową chusteczką pobrudzoną od rozpuszczonego przez łzy makijażu.

– Kiedy widziałas po raz pierwszy tego Geoffa Smitha?

Ruby zmięła chusteczkę w rękach i głęboko westchnęła.

– W zeszłą sobotę, trzeciego kwietnia. Dzień po tym, jak zamieściłam to ogłoszenie. To było rano, przed dwunastą. Usłyszałam pukanie do drzwi, no i to był ten facet. Młody, miał ciemne włosy i wyglądał naprawdę ładnie... Chciał wynająć pokój we wtorek wieczorem, a skąd ja mogłam wiedzieć, że to morderca? – usadowiła się wygodniej w żółtym krześle Wexforda, zakładając nogę na nogę. – „Nazywam się Geoff Smith”, powiedział. Strasznie był z tego dumny. Ja się go o nazwisko nie pytałam. Powiedział, że będzie od ósmej do jedenastej, a ja mu na to, że to go będzie kosztowało pięć funtów. Jemu te warunki odpowiadały, więc odprowadziłam go do drzwi i widziałam, jak wsiadł do czarnego samochodu. Przyszedł we wtorek, tak jak się umawialiśmy, dokładnie o ósmej. Ale nie widziałam tym razem ani samochodu, ani dziewczyny. Wręczył mi te pięć funtów i umówiliśmy się, że wyjdzie przed jedenastą. No i jak przyszłam, to już nikogo nie było... Tylko, że wychodząc zostawiłam ten pokój wysprzątny na medal, czyściutki jak w najlepszym hotelu...

– Wątpię, czy sąd uzna to za okoliczności łagodzące – chłodno wtrącił Wexford.

– No więc dobrze – westchnęła – zrobili tam straszny bałagan, przesuwali meble i w ogóle... Więc jak przyszłam, to zaczęłam to doprowadzać do porządku...

– Czy mogłabyś mi zaoszczędzić tych wszystkich szczegółów? Jestem detektywem, a nie kontrolerem czystości.

– Przecież miałam wszystko opowiedzieć, tak czy nie? Mam mówić dokładnie co robiłam?

– Powiedz, co znalazłaś.

– Krew – odpowiedziała. – Chciałam przesunąć kanapę na swoje miejsce i tam to właśnie było. Wielka, ogromna plama. Wiem, że powinnam była przyjść do pana, panie Wexford, ale wpadłam w panikę, byłam śmiertelnie przerażona. I tak macie już do mnie wiele zastrzeżeń. Pomyślałam, że oskarżycie mnie o współudział, albo coś w tym stylu. No i jeszcze ten Geoff Smith. To bardzo piękne jak mówicie, że opiekowalibyście się mną. Ale pan dobrze wie, jak to czasem może się skończyć. Obawiam się, że nie byłabym chroniona przez was dzień i noc. Bałam się śmiertelnie – prawie szeptem dodała: – Jeśli o to chodzi, to nadal jestem przerażona.

– A skąd w tej historii znalazł się Matthews?

– Byłam zupełnie sama. Stale podchodziłam do okna, żeby zobaczyć, czy ten mały, ciemny facet, ten Smith, nie obserwuje domu. Pomyślałam, że skoro zabił tą dziewczynę, to nie będzie się zastanawiał i wykończy też mnie. A my z Georgem zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Wexford zastanawiał się przez chwilę, kogo miała na myśli, potem przypomniał sobie długo nie używane imię Monkeya.

– Usłyszałam, że wyszedł i znalazłam go w „Piebald Pony” – oparła łokcie na biurku Wexforda i przygwoździła go wzrokiem. – Sądzę, że w takim momencie każda kobieta potrzebuje mężczyzny. Myślałam, że on mnie obroni.

– Chciała, żeby ją ktoś ochraniał – powiedział Monkey Matthews. – Czy mógłbym jeszcze dostać szluga? – Burden podał mu papierosa. – Nie miałem gdzie pójść, bo moja żona nie chce mnie widzieć. I, za przeproszeniem, nie wiem, czy poszedłbym z Ruby, jakbym wiedział w czym rzecz – stuknął się ręką w chudą, wklęsłą pierś. – Nie jestem mocarzem. Ma pan ognia? – odkąd został zapewniony, że wszelkie ewentualne podobieństwo pomiędzy Draytonem i Geoffem Smithem jest przypadkowe, przestał się bać i wygodnie rozpostarty w fotelu mówił, żywo gestykułując.

Burden zapalił zapalkę, żeby podpalić mu czwartego z rzędu papierosa i pchnął w jego kierunku popielniczkę.

– To na pewno była krew tam na dywanie – kontynuował Monkey z papierosem przyklejonym do dolnej wargi, mrużąc od dymu oczy. – W pierwszej chwili jej nie wierzyłem. Wie pan, jakie są kobiety...



– Ile krwi? – Burden sprawiał wrażenie cierpiącego, tak jakby fakt przesłuchiwania tego człowieka był dla niego bardzo bolesny.

– Sporo. Brzydko to wyglądało. Coś, jakby się tam ktoś bawił w berka z nożem – wzdrygnął się, ale jednocześnie nieprzyjemnie zachichotał. Papieros wypadł mu z ust i nim Monkey go podniósł, zdążył wypalić dziurę w dywanie.

– Ruby była cholernie wystraszona, bała się, że ten Smith wróci i chciała nawet do was iść. Odradziłem jej, bo to nie miało sensu, ale że jestem człowiekiem prawym, prawo szanuję, no i w grę wchodziło poważne przestępstwo, to pomyślałem, że dam wam cynk. Tak więc napisałem do was, że się gdzieś pałęta jakieś ciało w okolicy. A papier znalazłem u Ruby, bo ona zawsze ma takie ładne rzeczy pod ręką. – Uśmiechnął się przymilnie do Burdena, co jeszcze bardziej zeszcpecilo jego twarz. – Wiedziałem, że wystarczy mała wskazówka żebyście go dostali w swoje ręce. Każdemu, kto krytykuje lokalną policję, mówię, że Wexford i Burden to policjanci pierwsza klasa. I jeśli byłaby sprawiedliwość na tym świecie, to oni byłiby już dawno w Scotland Yardzie w Londynie.

– Jeśli byłaby sprawiedliwość na tym świecie – Burden wtrącił ze złością – to zawiodłaby cię już dawno na stryczek.

Monkey przyglądał się szklanej zielonej statuetce stojącej na biurku Burdena, próbując znaleźć w niej podobieństwo do znanej sobie ludzkiej lub zwierzęcej formy życia.

– No, niech pan taki nie będzie – powiedział. – Nic przecież nie zrobiłem. Można by powiedzieć, że wam nawet pomagam. Na oczy tego Smitha nie widziałem, ale jakby przyszło co do czego, to znalazłbym się w niezłych tarapatkach razem z Ruby – westchnął ciężko i teatralnie. – To ja się narażam, mówię jak było, i co z tego mam?

Pytanie było czysto retoryczne, mimo to Burden odpowiedział ostro:

– Po pierwsze: ładny, wygodny domek do kimania. A kto wie, czy nie naciskałeś na tego Smitha i „poświęciłeś się” dopiero wtedy, kiedy nie chciał płacić?

– To podłe kłamstwo – oburzył się Monkey. – Mówiłem już, że nigdy go nie widziałem. Myślałem przecież, że ten młody koleś od was jest tym mordercą. Zawsze sądziłem, że glinę rozpoznam na milę, ale widzę, że potraficie się teraz niezłe maskować. Miałem stracha, jak zobaczyłem, że on ładuje się od tyłu do ogrodu. Pomyślałem, że przyszedł już na mnie czas. Naciskać na niego! Pusty śmiech. Jak mogłem naciskać na niego, skoro nigdy nawet nie byłem u Ruby przed tą środą.

Spojrzał na Burdena jeszcze bardziej upodabniając się do małpy niż było to widoczne przedtem.

– Zakurzyłbym jeszcze – powiedział urażonym tonem.

– Kiedy napisałeś ten list?

– W czwartek rano, jak Ruby wyszła do roboty.

– Więc byłeś w domu sam?

– Tak, sam jak palec. I nie przyciskałem pana Geoffa Smitha do muru, jeżeli o to panu

chodzi. – Oburzenie spowodowało atak kaszlu, zakrył usta mocno poplamionymi od nikotyny palcami.

– Masz już pewnie dziury w płucach – zauważył Burden. – Jestem ciekawy, jak sobie dajesz radę z tym nałogiem za kratkami. Pewnie głupiejiesz wtedy do reszty.

– To nerwy – odpowiedział Monkey. – Jestem jak kłębek nerwów, odkąd zobaczyłem tę krew.

– Skąd wiedziałeś, co napisać w liście?

– Jeśli chce mnie pan na czymś złapać, to trafił pan pod zły adres – powiedział Monkey z wyczuwalną pogardą. – Naturalnie, Ruby mi podyktowała. Pan to jak dziecko, jak Boga kocham. Mówiła wyraźnie: młody, ciemny, z czarnym samochodem. Nazywa się Geoff Smith. Przyszedł o ósmej i miał wyjść o jedenastej. – W twarzy Monkeya było coś nienaturalnego i podejrzanego.

– O.K. – rzekł Burden – wszystko o tym człowieku wiesz od Ruby, ale nigdy nie widziałeś ani jego, ani tej dziewczyny, czy tak?

Na ostatnie słowa Monkey zmieszany zamrugął oczami. Widząc to Burden pomyślał, że nie istnieje dalsza potrzeba zadawania pytań naprowadzających. Schował papierosy do szuflady biurka i zapytał wprost:

– Skąd wiedziałeś, że dziewczyna nazywa się Ann?

## ROZDZIAŁ VII

– Skąd wiedziałaś, że dziewczyna ma na imię Ann? – zapytał Wexford.

Ruby najwyraźniej nie zrozumiała jego pytania. Widać było, że nie ma zielonego pojęcia, o czym on mówił. Opisując Smitha wiedziała, że stoi na twardym gruncie, teraz natomiast czuła, że Wexford wciągnął ją na nieznane i niebezpieczne wody. Odwróciła oczy i zaczęła kontemplować swoją zylastą nogę. Wyglądało to tak, jakby czekała na natchnienie.

– Ty, zdaje się, nigdy nie widziałaś tego listu, Ruby – powiedział, oczekując jej reakcji. Cisza była rzeczą najgorszą, czymś, czego boją się wszyscy policjanci. Tego typu rozmowa, nawet bardzo subtelna czy sprytna, zawsze do czegoś doprowadzała. – Geoff Smith nie powiedział, jak nazywa się dziewczyna. Skąd więc znałaś jej imię? I skąd wiedział o tym Matthews?

– Nie wiem, do czego pan zmierza – powiedziała podniesionym głosem. Złapała torebkę i cofnęła się w kierunku drzwi. Usta jej się trzęsły. – Wszystkie te pana sarkazmy do mnie nie docierają. Powiedziałam już panu wszystko, co wiem, a teraz muszę już iść, bo potwornie boli mnie głowa.

Wexford zostawił ją samą i wyszedł z pokoju. Poszedł znaleźć Burdena.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego ten facet podał jej swoje nazwisko? Przecież ona wołała nic nie wiedzieć. „Żadnych nazwisk ani wypytywać”, powiedziała Draytonowi.

– Naturalnie, to jest zmyślone nazwisko.

– Tak przypuszczam. On jest ekshibicjonistą podającym przybrane nazwisko nawet wtedy, kiedy to nikogo nie interesuje.

– Nie proszony o to przedstawia nie tylko siebie, ale i swoją dziewczynę.

– Nie, Mike – Wexford zasępił się. – To już przesada. „Nazywam się Geoff Smith i przyprowadziłem ze sobą swoją dziewczynę Ann”. Możesz to sobie wyobrazić? Bo ja nie... Mało tego, maglowałem to z Ruby w tę i we w tę i mógłbym się założyć o swoją roczną pensję, że on nigdy nie podał jej imienia dziewczyny, a usłyszała je po raz pierwszy dopiero przed chwilą ode mnie.

– Ale Monkey je znał – powiedział Burden.

– Nie wiadomo skąd. Przecież nie było go tam wtedy. Nie sądzę, żeby Ruby kłamała. Ona

jest strasznie zastraszona i zdaje sobie sprawę z tego, że zdana jest wyłącznie na nas. Czy ty, Mike, sądzisz, że Ann Margolis udałaby się w takie miejsce? Pamiętasz ten artykuł z gazety: „ex-modelka, wykwinna i elegancka”. Dlaczego nie miałyby wziąć chłopaka do siebie?

– Margolis mówił, że jego siostra lubi slumsowe klimaty – odpowiedział Burden. – Ten tak zwany Smith zarezerwował pokój w sobotę. Anita wiedziała, że Margolisa nie będzie we wtorek, najprawdopodobniej sądziła, że wróci do domu raczej wcześniej. Nie wiedzieli przecież, że kierownik galerii zaprosi go na obiad.

– No tak, to się trzyma kupy. Czy przeszukano już dom Ruby?

– Właśnie tam siedzą i sprawdzają każdy kąt. Dywan odesłano do laboratorium. Martin znalazł sąsiadkę zza ściany, która coś widziała. Nazywa się Collins i przygotowana jest na spotkanie z nami.

Była prawie tak wielka jak Wexford, tęga, starsza kobieta z wysuniętą szczęką. Musiał wysłuchać istnej tyrady na temat jej cierpień wynikających z faktu bycia najbliższą sąsiadką Ruby Branch. Dopiero potem mógł zacząć zadawać jej pytania. Ruby pracowała całymi dniami do szóstej i po powrocie do domu sprzątała. Włączała telewizor na cały regulator jednocześnie odkurzając. Pani Collins znała Monkeya. Mieszkał u Ruby przez jakiś czas dwa lata temu, nim poszedł siedzieć. To było odrażające i obrzydliwe, skandal krzyczący o pomstę do nieba. Zobaczywszy go w środę rano, miała przeczucie, że będą kłopoty. No i była jeszcze siostrzenica Ruby ze swoim mężem – jeżeli rzeczywiście byli małżeństwem – z Pomfret, którzy przyjeżdżali kilka razy w tygodniu, pili i zabawiali się do późnych godzin nocnych.

– Myślałam, że to właśnie oni wychodzili od Ruby we wtorek – powiedziała. – Zataczając się i potykając dotarli w końcu do samochodu.

– Było ich dwoje? – spytał Wexford podniesionym z emocji głosem. – Czy jest pani pewna, że widziała dwoje ludzi?

– Tak, było ich dwoje – kiwnęła głową pani Collins. – Muszę przyznać, że nie przyglądałam się zbyt długo, bo byłam zbyt oburzona.

– A czy widziała ich pani, jak przyjechali?

– Po dziewiątej wyszłam z kuchni i poszłam do salonu. Było zupełnie cicho i pomyślałam, że Bogu dzięki nie ma jej, pewnie wyszła z domu. O wpół do dziesiątej, wiem, bo spojrzałam na zegarek chcąc zobaczyć coś w telewizji pięć po wpół do dziesiątej, wstałam i podeszłam, żeby włączyć telewizor i usłyszałam wtedy ten huk za ścianą. Pomyślałam sobie, że znowu się bawią i walnęłam w ścianę...

– Proszę mówić dalej – zachęcił ją Wexford.

– Powiedziałam sobie, że już za wiele, że pójdę i powiem jej, co o tym myślę. Ale wie pan, jak to jest, człowiekowi nie chce się kłócić z sąsiadami. A poza tym ich było troje, a ja nie jestem już pierwszej młodości. Mimo to włożyłam płaszcz i stałam obok drzwi wahając się co zrobić, kiedy zobaczyłam tych dwoje, jak szli ścieżką.

– Czy widziała ich pani wyraźnie?

– Obawiam się, że niezbyt dobrze – przyznała pani Collins. – Widzi pan, patrzyłam przez małą szybkę w drzwiach. Byli w deszczowcach i dziewczyna miała szal na głowie. Jego włosy były ciemne, to wiem. Nie widziałam ich twarzy, ale spici byli jak wieprze, to pewne. Dziewczyna ledwo trzymała się na nogach, a jak on otworzył drzwiczki wozu, to upadła na siedzenie – pokiwała głową z oburzeniem. – Dałam im pięć minut na zabranie się stąd i poszłam obok, ale nikt nie otwierał drzwi. Później widziałam Ruby, jak wracała o jedenastej. Zastanawiam się, o co tu chodzi... Tak sobie pomyślałam, że to chyba nie była siostrzenica Ruby, bo nie ma żadnego samochodu, zresztą skąd ma go mieć, skoro pieniądze raczej się jej nie trzymają.

– Czy wsiadali do czarnego samochodu? – wtrącił Wexford.

– Czarnego? No cóż, stali pod lampą, ale wie pan jak to jest, trudno powiedzieć... – przerwała namyślając się. – Powiedziałabym raczej, że był zielony.

Linda Grover zaczerwieniła się, kiedy Drayton kazał jej zdjąć ogłoszenie z witryny. Widocznie był zbyt szorstki, bo widać było, jak krew napłynęła do jej anielskiej twarzy.

– Czy nie zdawałaś sobie sprawy z tego, o co tutaj chodzi? – powiedział surowo. – Jeden rzut oka na to stare babsko powinien wystarczyć. Przecież widać, że nie jest to żadna porządna gospodyni wynajmująca pokoje...

Byli w sklepie sami. Dziewczyna stała za ladą patrząc mu w oczy i machinalnie skubiąc róg jakiegoś czasopisma.

– Nie wiedziałam, że jesteś policjantem – jej głos stał się jeszcze bardziej gardłowy.

– Teraz już wiesz.

Jadąc z domu Ruby Branch do sklepu Grovera wstąpił na chwilę do biblioteki. Tym razem nie chodziło mu jednak o pozycje z działu kryminalistyki. Chciał obejrzeć duże, kolorowe albumy malarskie starych mistrzów. Tam właśnie, wśród obrazów Mantegna, Botticelliego i Fra Angelico, znalazł jej twarz otoczoną złotą aureolą. Przez chwilę z zachwytem przyglądał się reprodukcji, potem jednak ogarnęła go niezrozumiała wściekłość i z hukiem zatrzaskała książkę. Bibliotekarka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Czy tylko po to przyszedłeś? – Teraz jej głos stał się agresywny. – Całe to zamieszanie z powodu głupiego ogłoszenia? – Przeszła obok niego wzruszając ramionami, po czym wyjęła kartkę z gabloty i nieznacznymi, wdzięcznymi ruchami rąk podarła ją na strzępy.

Drayton stał wpatrzony w dziewczynę, nie mogąc oderwać oczu od jej zgrabnej postaci i pięknej twarzy.

– Musisz być bardziej ostrożna następnym razem – powiedział. – Będziemy mieli na was oko.

Była rozzłoszczona i niedawny rumieniec wstydu zniknął całkowicie z jej twarzy. Usta jej drżały. Na szyi miała cienki, srebrny łańcuszek. Będąc małym dzieckiem Drayton czytał „Pieśń nad pieśniami” mając nadzieję, że znajdzie tam coś lubieznego, dla niego zakazanego,

nieznanego. Teraz wróciła mu w pamięci linijka tekstu. Wtedy, gdy czytał ten fragment, nie wiedział, co autor miał na myśli. Teraz wpatrując się w łańcuszek na szyi dziewczyny zrozumiał ten cytat: „Porwał moje serce tym łańcuchem na swej szyi...”

– Co masz na myśli mówiąc, że będziecie mieli na nas oko?

– Ten sklep ma wystarczająco złą opinię – w gruncie rzeczy reputacja sklepu absolutnie go nie obchodziła, chciał jednak przedłużyć swój pobyt w tym miejscu przeciągając rozmowę jak najdłużej. – Na miejscu twego ojca, mając taki ładny interes, trzymałbym się z dala od tych rzeczy.

Dziewczyna zauważyła, że mówiąc to patrzył na czasopisma.

– Niektórzy je lubią – powiedziała.

Drayton miał wrażenie, że ona cały czas przetrawia fakt, że okazał się policjantem i szuka jakiegoś znaczka lub odznaki będącej potwierdzeniem jego profesji.

– Jeżeli skończyłeś to kazanie, to pójde zanieść ojcu herbatę. Potem wybieram się do kina. Ostatni seans jest o siódmej i mam nadzieję, że zdążę.

– Nie możesz mu pozwolić czekać – zauważył szyderczo, chcąc ją rozdrażnić.

– Jeżeli już musisz wiedzieć, to na imię ma Ray i kiedyś u nas mieszkał – powiedziała. – Ale odszedł, wyjechał... Dajmy temu spokój. Nie patrz już tak na mnie. Wiem, że widziałeś nas razem. I co z tego? To chyba nie jest przestępstwo? Czy ty zawsze zachowujesz się jak glina?

– Kto tu mówi o przestępstwie? Z tymi rzeczami mam wystarczająco dużo do czynienia w ciągu dnia. Wieczory poświęcam innym zajęciom – ruszył w kierunku drzwi, odwracając głowę, aby raz jeszcze na nią spojrzeć. Jej szare oczy zdawały się być ogromne i jasne i lśniły tak, jakby wypełnione były po brzegi łzami. – Może po prostu żałuję, że to nie byłem wtedy ja...

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Chyba żartujesz...

– Przypuszczam, że mężczyźni często tak sobie z tobą żartują, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się nieszczerze i poprawiła palcami włosy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wyglądała teraz na przestraszoną.

Drayton pomyślał, że może mylił się i rzeczywiście była tak czysta i niewinna jak Madonna z albumu oglądanego wcześniej w bibliotece. Będąc z natury facetem mało delikatnym, nie potrafił okazywać grzeczności i uprzejmości.

– Jeżeli żartuję – rzekł – to nie będzie mnie o wpół do ósmej przed kinem.

Wyszedł, a drzwi zamknęły się za nim samoczynnie wprawiając w ruch zawieszony nad nimi dzwoneczek.

– Możesz nie wierzyć – odezwał się Wexford – ale Monkey nie zamierza wracać do domu Ruby. Miał tam, co prawda, wygodniutkie łóżko i darmowe posiłki, woli jednak

spędzić ten weekend w naszym areszcie. Przeraziła go perspektywa stanięcia twarzą w twarz z Ruby, co wydaje się jednak nieuniknione, bo ja nie mam najmniejszego powodu, aby go oskarżyć.

– Jak ten świat się zmienia... To coś nowego – zauważył Burden. – Nasi klienci zaczynają doceniać naszą gościnność. Może powinniśmy umieścić taką reklamę w przewodniku: trzygwiazdkowy hotel, polecany szczególnie dla starych bywalców z wyrokami. Czy przyszło już coś z laboratorium?

– Nie, i założę się, że nic ciekawego nie przyjdzie. O tym, że połała się krew, wiemy jedynie ze słów Ruby i Monkeya. Przecież widziałeś, co ona zrobiła z tym dywanem. Sprzątanie jest co prawda mało efektywnym, niskiego rzędu fachem, ale Ruby jest w nim mistrzynią. Będąc na miejscu pani Harper nie żałowałbym kilka kartek czerpanego papieru dla tak wysprzątanego domu. Kąpiel dywanu to wyjątkowo mordercze zajęcie. W laboratorium powiedzieli, że używała wszystkich środków czyszczących z wyjątkiem może sody kaustycznej. Naturalnie, są w stanie wymienić kilka z nich, nie potrafią natomiast wyodrębnić krwi, nie mówiąc już o grupie i innych szczegółach.

– Ale nadal się tym zajmują?

– Owszem, praca wre. Mają wiadra paskudnych ścieków z rur kanalizacyjnych, ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Przypuszczam, że „nasza para” nie pokazała się w żadnym innym miejscu poza tamtym pokojem, w którym niewątpliwie zostawiła setki odcisków palców...

– Które „królowa sprzątaczek” skrupulatnie usunęła – dokończył za niego Burden. – Dziewczyna może nadal żyć, sir.

– Dlatego, że wyszli razem i mężczyzna okazał skruchę za to, co zrobił, nie zostawiając jej w domu? To bardzo mętne, musisz przyznać. Sprawdziłem wszystkie szpitale i lekarzy. Nie widzieli ani nie słyszeli o kimś z ranami kłutymi... Wskazywałaby na to duża utrata krwi. Fakt, że byli w stanie utrzymać się na nogach, nie mówiąc już o dojściu do samochodu, wyklucza cios w głowę. Jeśli więc ona żyje, to gdzie teraz jest? Nawet gdyby chodziło tu tylko o napad albo małe zranienie, musimy to wyjaśnić.

Monkey Matthews spojrział na nich chytrze, gdy wrócili do jego celi.

– Szlugi mi się skończyły – poinformował.

– Przypuszczam, że detektyw Bryant przyniesie ci paczkę, jeśli go ładnie poprosisz. Jakie chcesz? Zwykle skręty bez filtra?

– Pan żartuje – powiedział Monkey wkładając swoje brudne łapy do kieszeni marynarki – dwie paczki długich Marlboro – z miną waźniaka wyjął banknot jednofuntowy i podał Wexfordowi. – Lepiej niech będą trzy paczki.

– Powinny ci wystarczyć do śniadania – zauważył inspektor. – Wkopałeś się, co? Zastanawiam się, czy ty przypadkiem nie masz czegoś na sumieniu... Czegoś, co próbujesz zadusić dymem papierosowym... – przekrzywił głowę i przyjrzał się uważnie małej twarzy

tamtego. – Skąd znałeś jej imię? – spytał jakby mimochodem.

– A wy ciągle swoje – Monkey był opryskliwy. – Nigdy do was nic nie dociera.

Kiedy wychodzili z kina, padał rzadki deszcz. Perlista, pomarańczowo-złota poświata spowijała uliczne lampy. Tłum wylewający się z kina wyglądał jak ogromna masa podwodnych stworzeń z bulgotem i pluskiem wypływająca na powierzchnię wody. Drayton wziął dziewczynę pod rękę, chcąc ją przeprowadzić na drugą stronę ulicy, i puścił, gdy stanęli na chodniku. To pierwsze zetknięcie się z jej ciałem spowodowało drżenie jego rąk i uczucie suchości w gardle. Przez ubranie wyczuł ciepło jej skóry.

– Podobał ci się film? – spytał.

– Tak, całkiem niezły. Ale ta historia o kobiecie rozkochującej w sobie policjanta tylko po to, żeby jej nie wydał, była trochę naiwna. Ukradła tylko zegarek...

– Takie rzeczy faktycznie się zdarzają. – Był zadowolony, że film okazał się lekko erotyczny, i że dziewczyna chciała rozmawiać właśnie o tym najbardziej seksownym fragmencie. Taka wymiana pozornie nic nie znaczących zdań może stanowić początek czegoś poważniejszego. Pomyślał z ulgą, że Bogu dzięki, nie był teraz początek tygodnia, kiedy to pokazywali epopcję o rosyjskim statku wojennym.

– Myślisz o podwędzeniu jakiegoś zegarka? – widział, że się zaczerwieniła. – Przypomnij sobie, jak ten facet z filmu powiedział: „Znasz moją cenę, Dolores...”

Uśmiechnęła się lekko.

– Jesteś okropny.

– To nie ja. Ja nie pisałem tego scenariusza.

W butach na wysokich obcasach była prawie jego wzrostu. Nie podobał mu się zapach perfum, których używała. Nie przypominały zapachu kwiatów i, jego zdaniem, postarzały ją.

Zastanawiał się, czy wybrała te perfumy specjalnie dla niego. Trudno było powiedzieć, jak daleko mogło sięgać jej wyrachowanie. Takie dziewczyny bywają zazwyczaj interesowne. A może jest to rodzaj zaproszenia, zachęty? Zapach i bladłosrebrzyste cienie na powiekach tworzyły coś na kształt ubrania roboczego czy wręcz uniformu noszonego przez niezliczone zastępy żeńskie rozczytujące się w kobiecych czasopismach. Pisma takie zalegały również sklep Grovera i dziewczyna handlowała nimi na co dzień.

– Jest jeszcze wcześniej – powiedział. – Za kwadrans jedenasta. Może poszlibyśmy na spacer nad rzekę? – to właśnie tam widział ją w poniedziałek.

Mokre drzewa pochylały się nad brunatną wodą, zwirowana ścieżka pod nimi była sucha i gdzieś tam stały drewniane ławeczki wtulone w gałęzie drzew.

– Nie mogę. Nie wolno mi się spóźnić.

– To może innym razem?

– Jest zimno – powiedziała – i ciągle pada. Nie możemy przecież chodzić co wieczór do kina.



– A gdzie z nim chodziłaś?

Pochyliła się, żeby poprawić pończochę. Z tyłu na nogach widać było brudne plamy od wody z kałuż. Sposób, w jaki poruszała palcami naciągając pończochy, wydawał mu się bardziej prowokujący od wszystkich perfum świata.

– Wypożyczał mi samochód – odparła.

– Ja też mogę – rzucił Drayton.

Doszli do drzwi sklepu. Wąskie przejście pomiędzy sklepem i kwiaciarnią kończyło się kilkoma garażami. Okrągłe płytki, którymi wybrukowano ścieżkę, były mokre, lśniącobrunatne jak kamienie na dnie jaskini w chwilę po odpływie. Dziewczyna spojrzała na wysoką ścianę swego domu i puste, ciemne okna.

– Możesz chyba trochę zostać? – powiedział. – Schowajmy się gdzieś przed deszczem.

Stanęli w cieniu, obok kwiaciarni. U ich stóp płynęła rynsztokiem brudna woda. Chwyił jej rękę.

– Jutro wynajmę samochód.

– W porządku.

– O co ci chodzi? – spytał ostro i nieprzyjemnie. Chciał jeszcze przez moment popatrzeć na jej twarz, ona tymczasem niespokojnie rozglądała się dookoła przerzucając oczy na ścianę domu. Wyglądała na zaniepokojoną, jakby bała się, że ktoś ich może obserwować. Drayton pomyślał o jej chudej matce i tajemniczym, obłożnie chorym ojcu.

– Nie boisz się chyba swoich rodziców?

– Nie, to nie o to chodzi. To ty mnie przerażasz... I sposób w jaki na mnie patrzysz...

To stwierdzenie zmroziło go. Sposób, w jaki na nią patrzył, był przemyślany i dokładnie przestudiowany – długie, chłodne i przenikliwe spojrzenie zniewalające prawie każdą dziewczynę. Silniejsze niż kiedykolwiek pożądanie spotęgowało intensywność tego manierycznego chwytu. Kompletny brak reakcji z jej strony ostudził go. Już chciał odwrócić się i odejść w swoją stronę, gdy dotknęła go obiema rękami i przyłgnęła do niego cicho.

– To ty mnie przerażasz... – powtórzyła. – Ale o to ci przecież chodzi, prawda?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi – schylił głowę szukając jej ust.

Przytulił ją mocniej. W pierwszej chwili była wiotka i wydawała mu się obojętna. Potem jednak otoczyła go ramionami i rozchylając usta oddała się całkowicie namiętności. Poczul dreszcz triumfu. W domu obok rozbłysła nagle żarówka i nim Drayton otworzył oczy, poczuł jak ostre światło drażni jego powieki. Odsunęła się wolno od niego z westchnieniem rozkoszy, którą dopiero zaczęli odczuwać.

– Czekają tam na mnie – jej oddech był szybki i lekki. – Muszę już iść.

– Do jutra! – rzucił.

Długo nie mogła znaleźć klucza; podniecał go jej widok, grzebiącej w torebce i cicho przeklinającej. Świadomość spowodowania tej niezręcznej sytuacji nappełniła radością jego męskie ego. Czuł się teraz jak samiec-zdobywca.

– Więc do jutra – uśmiechnęła się jakby zawstydzona, po czym drzwi zatrzęsnęły się za nią i usłyszał ostry, przenikliwy głos dzwonka.

Przez moment stał jeszcze w miejscu, w którym całowali się przed chwilą i gdy zgasły światła, w zamyśleniu przesunął palcem po ustach. Deszcz wciąż padał, a uliczna lampa emanowała jarzeniowym, zielonkawym blaskiem. Podeszedł do światła i spojrzał na swój pobrudzony jasną szminką palec. Był to ciepły, pomarańczowo-różowy kolor i Drayton odniósł wrażenie, że wraz z tą szminką dziewczyna zostawiła na jego ustach część siebie. Na klapie płaszcza znalazł długi, jasny włos. Posiadanie tych rzeczy, zaledwie nikłych śladów obecności dziewczyny, nappełniło go radością i wydawało mu się wspaniałe. Idąc samotnie ulicą, lekko polizał językiem palec i przejął go nagły dreszcz. Z wąskiej uliczki wyszedł zmoczony kot i zniknął w drzwiach mijanego właśnie domu. Niebo zasnuwane było oparami, które lśniły pośród ciemności. Drayton włożył kaptur i udał się do swojego mieszkania.

## ROZDZIAŁ VIII

Na południe od Kingsmarkham i południowy wschód od Pomfret leży około trzydziestu mil kwadratowych sosnowych lasów. To jest właśnie Cheriton Forest – posadzony przez człowieka: plantacja składająca się oprócz sosen, również ze świerków i modrzewi. Lasy te mają nietypowy dla Anglii urok powodujący, że zielone pola poniżej sprawiają wrażenie alpejskich łąk. Nowe osiedle małych, białych domków wybudowane zostało przy lesie od strony Pomfret. Wszystkie miały kolorowo pomalowane drzwi i cedrowe dekoracje, co upodabniało je do szwajcarskich chat.

W niedzielne popołudnie do jednego z takich domków wybrał się detektyw sierżant Martin poszukując mężczyzny o nazwisku Kirkpatrick.

Zadzwonił i drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

Stała w nich dziewczynka, wyglądająca na sześć lat, o dużych oczach i zastraszonej spojrzeniu. Martin czekał na progu, kiedy poszła po swoją mamę. Dom był przestrzenny. Policjant dostrzegł małego chłopca, równie bladego jak siostra, apatycznie bawiącego się na podłodze klockami. Kobieta, która w końcu nadeszła, miała wojowniczy wyraz twarzy. Jej blond włosy ufryzowane były w małe, lśniące loczki, a oczy przesłaniały jej ciemne okulary w czerwonych oprawkach.

Martin przedstawił się i zapytał o jej męża.

– Może chodzi o samochód? – poirytowanym głosem zapytała pani Kirkpatrick.

– W pewnym stopniu tak.

Dzieci cicho podeszły do matki i stały gapiąc się na niego.

– Chyba pan widzi, że go tu nie ma? Jeżeli rozbił samochód, to nie powiem, żeby mi było przykro. Wręcz przeciwnie – byłaby to świetna wiadomość. Mam nadzieję, że nadaje się już tylko na złom. Kiedy w zeszły poniedziałek przywiózł ten samochód, powiedziałam: „Chyba nie sądzisz, że dam się namówić na przejazd tym wehikułem? Wolę już chodzić pieszo. Jeżeli chciałabym zrobić z siebie pośmiewisko w białoróżowym samochodzie w fioletowe paski, to raczej pojechałabym do wesołego miasteczka rozbijając się tymi idiotycznymi autkami”. Tak właśnie mu powiedziałam.

Martin, zdziwiony, zamrugnął oczami. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Jego poprzedni wóz już był wystarczająco okropny – kontynuowała. – Wielki, stary i

niemodny czarny morris wyglądający jak karawan. Musimy być naprawdę strasznym pośmiewiskiem dla sąsiadów – nagle zauważyła stojące obok dzieci. – Ile razy mówiłam, żebyście nie wtykali nosa do moich spraw! – mruknęła ze złością. Chłopiec odszedł z powrotem do swoich do swoich klocków, ale dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. Rozgniewana kobieta odepchnęła dziecko do tyłu. – No więc – zwróciła się do Martina. – Co on przeskrobał? Czego pan od niego chce?

– Tylko porozmawiać – Martin był zbity z tropu. Pani Kirkpatrick wydawała się być bardziej zainteresowana słuchaniem swojego własnego głosu ciskającego wymówki i żale pod adresem męża niż wyjaśnieniami Martina.

– Jeżeli znowu przekraczał prędkość – mówiła – to straci znowu prawo jazdy. A to wiąże się automatycznie z utratą pracy – jej głos nie wydawał się być zmartwiony, słyszało się w nim raczej nutkę triumfu. – Firma taka jak „Lipdew” nie będzie przecież zatrudniać sprzedawcy nie mogącego prowadzić samochodu. Tak samo jak nie będzie dawać swoim pracownikom wielkich, cyrkowych wozów tylko po to, żeby je sobie rozbijali w drobny pył, jak tylko przyjdzie im na to ochota. Dokładnie tak powiedziałam mu we wtorek rano przed jego wyjazdem do Szkocji. I pewnie dlatego nie pojawił się na obiedzie. Ale do niego nic nie dociera. Jest uparty jak dziki osioł i dlatego ciągle ma kłopoty.

Martin odwrócił się od niej. Pomyślał, że seria z karabinu maszynowego byłaby na pewno znośniejsza od tego, co przed chwilą doświadczył od tej kobiety. Schodząc do samochodu słyszał dobiegający z domu płacz jednego z dzieci.

Kiedy Wexford wszedł do jego celi, Monkey Matthews leżał na łóżku paląc papierosa.

Uniósł się na łokciu i powiedział:

– Mówili mi, że ma pan dzisiaj wolne.

– Owszem, ale pomyślałem, że może ci być smutno tak samemu – policjant rozejrzał się po pokoju, pociągając nosem.

– Bogacze to mają dobrze! – powiedział. – Chcesz, żebym posłał kogoś po twoje używki? Możesz sobie na to pozwolić, Monkey.

– Dzięki, ale nie – Monkey odwrócił się twarzą do ściany. – Jedyne czego pragnę, to żeby mnie zostawić w spokoju. To miejsce bardziej przypomina jarmark niż areszt. Ostatniej nocy nie miałem chwili spokoju.

– Twoje sumienie nie daje ci zasnąć; cichy, natarczywy głos przynagla cię, żebyś mi coś powiedział... Na przykład: skąd wiedziałeś, że dziewczyna miała na imię Ann.

Monkey jęknął.

– O Jezu, nie może pan przestać? Mam zszargane nerwy.

– Z rozkoszą to słyszę – powiedział nieuprzejmie Wexford. – Jest to rezultat moich zabiegów psychologicznych.

Wyszedł na korytarz i skierował się do biura Burdena. Inspektor przyszedł przed chwilą i

zdejmował właśnie swój płaszcz przeciwdeszczowy.

– Przecież pan ma dzisiaj wolne – odezwał się.

– Żona groziła, że weźmie mnie do kościoła, więc wybrałem mniejsze zło. Jak leci?

– Martin rozmawiał z panią Kirkpatrick.

– Żoną aktualnego chłopaka Anity Margolis?

Burden skinął głową i usiadł przy oknie. Tego ranka słońce świeciło jasno, z siłą i ciepłem wczesnego lata, nie tak, jak to zwykle bywa o tej porze roku. Odsunął zasłony i otworzył okno wpuszczając do środka ciepłe światło i delikatny dźwięk dzwonów dochodzących z wieży kościoła.

– Wygląda na to, że jesteśmy na dobrym tropie – zaczął – Kirkpatrick jest chwilowo nieosiągalny, podróżuje służbowo po Szkocji. Wyjechał we wtorek rano i żona nie widziała go od tamtej pory. Mało tego, miał czarny samochód aż do ostatniego poniedziałku, kiedy to firma, dla której pracuje, dała mu inny, bardziej rzucający się w oczy, różowy pojazd cały poobklejany naklejkami reklamującymi kosmetyki – zachichotał. – Jego żona to podobno straszna wiedźma. Zobaczywszy Martina sądziła, że jej mąż rozbił samochód, ale nie zmartwiło jej to specjalnie. – Twarz mu trochę stężała, kiedy kontynuował. – Jak pan wie, nie należę do osób tolerujących cudzołóstwo, jednak ten przypadek w pewnym stopniu można by jakoś usprawiedliwić.

– Czy on jest niskim brunetem? – spytał Wexford z zaciekawieniem.

– Tego nie wiem. Martin nie wypytywał jego żony o szczegóły. Ale to się da ustalić.

Wexford pokiwał głową niezbyt zadowolony.

– No dobrze – powiedział Burden wstając z krzesła. – W tej kwestii będzie nam mógł pomóc Margolis. Jako artysta jest fatalnym obserwatorem, ale w końcu widział tego człowieka – sięgnął po płaszcz. – Śliczny ton mają te dzwony.

– Słucham?

– Mówiłem, że dzwony dzwonią wyjątkowo pięknie.

– Co takiego? Nic nie słyszę przez te cholerne dzwony – Wexford roześmiał się głośno ze starego dowcipu. – Mógłbyś na wszelki wypadek wstąpić po drodze do Monkeya. Może znudziło mu się trzymanie nas w niepewności.

Po naprawieniu chłodnicy i dokładnym zbadaniu przez policję, samochód Anity Margolis został odstawiony na swoje miejsce parkowania w Quince Cottage. Burden idąc tam nie zdziwiłby się, gdyby ujrzał jeden biały samochód, ale widok dwóch, pozornie identycznych, stojących wozów zaintrygował go. W miarę jednak jak się zbliżał zobaczył, że nieznany mu drugi pojazd jest biały tylko z tyłu. Boki i przód wozu pomalowane były na jaskraworóżowo i dodatkowo przyozdobione szlaczkami fioletowych kwiatów. Tą samą fioletową farbą wykonany był napis nad kwiatkami: „Lipdew, kosmetyki dla ciebie”. Skrzywił się. Tylko dziwak mógłby być zadowolony jeżdżąc czymś takim. Przez boczną szybkę zajrzał do środka.

Różowe siedzenia zarzucone były prospektami i reklamówkami, a na desce rozdzielczej stały kolorowe buteleczki i słoiczki z próbkami perfum, kremów i innych kosmetyków oferowanych do sprzedaży. Nie sądził, aby w okolicy mogły być dwa takie samochody, wobec czego gdzieś tutaj przebywał Kirkpatrick. Burden odryglował furtkę i wszedł do ogrodu. Silny wiatr zdmuchnął płatki pigwowych kwiatów i ziemia usłana była śliskim szkarłatem. Zapukał do drzwi i kiedy nikt mu nie otworzył, skierował się na tyły domu. Zobaczył, że drzwi garażu, w którym Margolis trzymał swój samochód, są otwarte, a wnętrze puste. Pąki kwiatowe na jabłoniach były nabrzmiące i wszędzie naokoło słodko świergotały ptaki. Atmosferę wiejskiego spokoju zakłócały jedynie leżące tu i ówdzie skrawki papierów będące pozostałościami po nieudolnym sprzątaniu Margolisa. Burden zatrzymał się przy kuchennych drzwiach. Na drewnianej skrzynce, w przeciwdeszczowym płaszczu stał mężczyzna próbujący zajrzeć przez okno do środka domu. Burden, sam niezauważony, obserwował go przez chwilę, po czym głośno chrząknął. Mężczyzna aż podskoczył. Obejrzał się do tyłu i zszedł ze skrzynki.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział nieśmiało. – tylko sprawdzałem – dodał. Był przystojnym mężczyzną, może trochę zbyt bladym, z kręconymi, brązowymi włosami. Miał krótką szyję, prosty nos i przejrzyste oczy z dziewczęcymi rzęsami.

– Chciałbym zamienić z panem słówko, panie Kirkpatrick.

– Skąd pan zna moje nazwisko? Ja pana nie znam.

Teraz, kiedy stali na tym samym poziomie, inspektor zobaczył, że człowiek ten miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu.

– Rozpoznałem pański samochód – powiedział.

Efekt był natychmiastowy. Błada twarz Kirkpatricka pokryła się czerwonymi plamami.

– Co to do diabła znaczy? – spytał ze złością.

Burden spojrzał na niego łagodnie.

– Powiedział pan, że nikogo nie ma w środku. A kogo pan szukał?

– Więc o to chodzi? – Kirkpatrick westchnął ciężko i zacisnął pięści. – Domyślam się, kim pan jest. Szpiclem, lub jak ktoś woli, wścibskim detektywem. Przypuszczam, że to moja żona pana na mnie nasłała.

– Nigdy nie widziałem pańskiej żony – sucho stwierdził Burden – ale rzeczywiście jestem detektywem. Częściej jednak nazywa się mnie oficerem policji.

– Usłyszałem, jak pytałeś sierżanta, gdzie można wypożyczyć samochód – powiedział Wexford.

– Po pracy, sir – odpowiedział szybko Drayton. Wexford z niecierpliwością pokiwał głową.

– Już dobrze, w porządku. Nie rób ze mnie potwora. Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie wynająć ciężarówkę i nie musisz czekać do końca pracy. W okolicy są trzy firmy zajmujące

się wypożyczeniem samochodów: Missala i Cawthorne'a w Stowerton, i „Red Star” na York Street, gdzie zostawiłeś wóz panny Margolis. Nas interesuje to, czy ktoś wynajął od nich zielony samochód w zeszły wtorek.

Po wyjściu Draytona usiadł wygodnie w fotelu, aby wszystko przemyśleć i spróbować rozwiązać „zagadkę samochodów”. Człowiek nazywający się Geoff Smith w sobotę używał czarnego wozu, a we wtorek, jeżeli można wierzyć pani Collins, zielonego. Sądził, że można polegać na jej słowie. Zeszłej nocy pojechał z Bryantem na Sparta Grove, żeby to sprawdzić. Postawili czarny samochód pod lampą uliczną i jego kolor nie uległ zmianie. Tak, że o pomyłce nie było mowy. Patrzyli na niego przez matową szybę i przez normalną. Żadne sztuczki ani wysilanie wyobraźni nie mogły spowodować zmiany jego koloru na zielony. Czy znaczyło to, że Smith miał dwa samochody czy też, że w niedzielę lub w poniedziałek sprzedał czarny i kupił zielony? A może sądząc, że jego samochód jest zbyt rzucający się w oczy, wynajął drugi dla swojej podejrzananej i tajemniczej przygody?

Kiedy ucichły hałaśliwe kościelne dzwony, Drayton zadawał sobie podobne pytanie idąc w kierunku York Street. W nasilającym się słońcu sznurki sztucznych diamentów błyszcząły w oknie sklepu jubilerskiego Joy Jewels. Pomyślał o srebrnym łańcuszku, który Linda nosiła na szyi i równocześnie o jej ciepłej i jedwabistej skórze, tak miłej w dotyku.

Otrząsnął się z tych myśli, kiedy dochodził do garaży stacji „Red Star”. Pokazano mu tam dwa stare, czerwone hillmany, podziękował więc i udał się na przystanek, żeby złapać autobus do Stowerton.

Russela Cawthorne'a spotkał w jego biurze. Na ścianie za biurkiem zawieszony był kalendarz przedstawiający nagą kobietę w ogromnym kapeluszu i butach na wysokim obcasie. Drayton popatrzył na fotografię z pogardą i pewnym skrępowaniem. Kojarzyła mu się z czasopismami w sklepie Grovera. Cawthorne usiadł sztywno dowiedziawszy się, kim jest Drayton i kiwnął głową jakby obiecując współpracę.

– Witam. Proszę usiąść. Czy znowu macie kłopoty?

„Stary, nudny pozer”, pomyślał Drayton.

– Chciałbym z panem porozmawiać o wypożyczeniu samochodów. Bo pan je wypożycza, nieprawdaż?

– Drogi chłopcze, sądziłem, że przychodzisz tutaj oficjalnie, ale jeśli ty tylko...

– Owszem, jestem tutaj służbowo. Zadałem panu urzędowe pytanie. Jakiego koloru są te pana samochody?

Cawthorne otworzył lufcik, a powiew świeżego powietrza wywołał u niego atak kaszlu.

– Jakiego są koloru? Wszystkie takie same. Trzy czarne morrisy.

– Czy któryś z nich został wypożyczony w sobotę, trzeciego kwietnia?

– A kiedy to było, przyjacielu?

– W zeszłym tygodniu. Z tyłu ma pan kalendarz.

Twarz Cawthorne'a pociemniała.

– To będzie odnotowane w księdze – mruknął.

Książka wydawała się być dobrze prowadzona, utrzymana w porządku. Mężczyzna otworzył ją i marszcząc czoło cofnął kilka stron.

– Pamiętam ten dzień – powiedział. – Straciłem wtedy najlepszego mechanika. Ten nieznośny i impertynencki diabeł traktował to miejsce jak swoje własne. Straciłem cierpliwość i wyrzuciłem go...

Drayton niecierpliwił się.

– Wracając do samochodów – ciągnął Cawthorne ponuro – to wszystkie były tego dnia na miejscu.

– A co ze sprzedażą? Czy nikt nie kupił w tym czasie zielonego samochodu?

Cawthorne podniósł żyłastą, trochę drgającą rękę i zaczął lekko szarpać wąsy.

– Mówiąc szczerze, mój interes nie przeżywa teraz wielkiego rozkwitu – zawahał się, lustrując uważnie policjanta. – Powiem panu szczerze – rzekł. – Nic nie sprzedałem, odkąd pan Grover odebrał w lutym swoje mini.

Drayton poczuł, jak krew nabiega mu do twarzy. Już sam dźwięk tego nazwiska wystarczał, żeby działo się z nim coś dziwnego.

– Chciałbym wypożyczyć samochód. Prywatnie – powiedział. – Na dzisiejszy wieczór.

Alan Kirkpatrick w wyzywającej stał pozie w gabinecie Wexforda. Wzburzony i pewny siebie nie chciał usiąść, tylko w kółko powtarzał: „bzdury” i „nie wierzę”, podczas kiedy główny inspektor napomykał o prawdopodobnym przebiegu wydarzeń związanych ze śmiercią Anity Margolis. Sytuacja stawała się nie do wytrzymania.

– W takim razie – Wexford był zniecierpliwiony – nie będzie pan miał nic przeciwko temu, aby opowiedzieć nam dokładnie o tym, co pan robił w ostatni wtorek, kiedy to miał pan z nią randkę.

– Randkę? – Kirkpatrick zaśmiał się szyderczo. – Podoba mi się sposób, w jaki pan rozumuje. Poznałem tę kobietę, ponieważ mam straszego fioła na punkcie sztuki. I był to jedyny sposób, aby dostać się do tego domu i obejrzeć obrazy Margolisa.

Burden, do tej pory siedzący cicho z boku, wstał i rzekł:

– A więc interesuje pana jego twórczość? Mnie również. Próbowałem właśnie sobie przypomnieć sobie tytuł tej jego pracy z Tate Gallery. Może pan mógłby mi w tym pomóc? – Pytanie to było oczywistą pułapką i jeżeli Kirkpatrick chciał nadal grać swoją rolę poszukiwacza wrażeń artystycznych, to musiał na nie odpowiedzieć. Zamurowało go.

– Nie wiem, jak Rupert je nazywa – mruknął.

– Zabawne – zauważył Burden. – Każdy wielbiciel talentu Margolisa musi przecież znać „nic”.

Przez chwilę nawet Wexford był zaskoczony. Przypomniał sobie jednak egzemplarz



„Daily Telegraph” leżący tuż pod ręką, w szufladzie jego biurka. Był jednak pełen podziwu słuchając, jak inspektor wygłasza wykład dotyczący sztuki współczesnej. Najwyraźniej teraz bronią Burdena był nie pistolet, ale argumenty zaczerpnięte z fachowych opracowań.

Kirkpatrick, pokonany, raptownie opadł na krzesło. Z zakłopotanym, lecz równocześnie agresywnym wyrazem twarzy burknął:

– Nie mam obowiązku odpowiadać na wasze pytania.

– Naturalnie, że nie – powiedział Wexford uprzejmie. – Jak pan trafnie zauważył, nie jesteśmy nawet w stanie udowodnić, że panna Margolis nie żyje. – Z powagą pokiwał głową, tak jakby dopiero teraz obudził się z fantastycznego snu i wrócił do rzeczywistości.

– Zanotujemy jedynie, że był pan prawdopodobnie ostatnią osobą widzącą ją żywą.

– Zrozumcie – zaczął Kirkpatrick siedząc na krawędzi krzesła – moja żona jest bardzo zazdrosną kobietą...

– To widocznie zaraźliwe w pańskiej rodzinie. Powiedziałbym, że to właśnie zazdrość była powodem gróźb kierowanych nie tak dawno temu do panny Margolis. – Wexford zacytował panią Penistan: – „Ann, sama się prosisz, żeby cię zabić. Pewnego pięknego dnia może będę zmuszony to zrobić”. Czy ubiegły wtorek był jednym z tych pięknych dni? Dość ciekawy sposób rozmowy z kobietą, którą interesował się pan tylko i wyłącznie z powodu twórczości brata.

– Ta randka, jak to pan nazywa, nie doszła do skutku. Ona nie przyszła. Nie poszliśmy nigdzie razem.

Ruby mogłaby go zidentyfikować... Wexford w duchu przeklinał ubogość dowodów, jakie były w posiadaniu policji. Podejrzał, że bardzo trudno będzie przekonać tego człowieka do wzięcia udziału w wizji lokalnej. Jego pewność siebie została przez chwilę zachwiana przez Burdena, ale teraz, kiedy siedział, wracała mu butność. Z niecierpliwym choć zrezygnowanym wyrazem twarzy wyciągnął z kieszeni grzebień i zaczął czesać swoje kręcone włosy.

– Nie interesuje nas doprowadzenie pana do rozwodu z żoną – powiedział Wexford. – Jeżeli będzie pan z nami szczery, to nie widzę powodu, żeby ciągnąć tę historię. Nikomu nie zależy na tym, żeby ktokolwiek, w tym pańska żona, dowiedziała się czegokolwiek...

– Nie mam nic do ukrycia – ton Kirkpatricka był mniej wojowniczy.

We wtorek wyjeżdżałem służbowo na północ. Prawdą jest, że przed wyjazdem umówiłem się na spotkanie z panną Margolis. Miała pokazać mi niektóre wczesne prace Margolisa. Nie pozwoliłby na to będąc w domu, ale tego dnia wychodził na spotkanie.

Wexford podniósł oczy i napotkał spokojny i uprzejmy wzrok Burdena. Czy ten sprzedawca kosmetyków naprawdę sądził, że są aż tak zieloni i naiwni? Wyglądało na to, że mężczyzna był zadowolony ze swojej historyjki, która Wexforda przyprawiała prawie o mdłości. Ledwo powstrzymał się, żeby nie wyśmiać tego człowieka. Wczesne prace! To było żałosne!

– Najpierw chciałem pojechać do domu na obiad – kontynuował Kirkpatrick – ale spóźniłem się i była już siódma, kiedy dotarłem do Kingsmarkham. Zamykali właśnie sklep Grovera i pamiętam, że dziewczyna była niezadowolona, że chcę jeszcze kupić wieczorną gazetę. Nie miałem już czasu, żeby jechać do siebie, więc udałem się prosto do Quince Cottage. Ann, to znaczy panna Margolis, zupełnie zapomniała, że wybiera się na przyjęcie. I to wszystko.

Pod koniec opowieści Kirkpatrick wiercił się na krześle nerwowo i niespokojnie, a twarz nabiegła mu krwią.

– Wobec tego nie mogło być później niż wpół do ósmej – zauważył Wexford. Zastanowił się, dlaczego Burden podszedł do okna i z zacięciem spoglądał na dół. – Niewątpliwie miał pan wystarczająco dużo czasu na swoje artystyczne poszukiwania.

Rumieniec nie zniknął.

– Spytałem, czy mogę wejść na chwilę i zaproponowałem jej obiad przed przyjęciem. Miała już na sobie futro z ocelota i gotowa była do wyjścia, więc nie chciała mnie wpuścić do środka. Podejrzewałem, że po prostu zmieniła zdanie.

Burden odwrócił się od okna i kiedy się odezwał, Wexford wiedział już, co tak przyciągnęło jego uwagę na zewnątrz.

– Jak długo ma pan ten samochód?

– Od zeszłego poniedziałku. Sprzedałem własny i dostałem ten od firmy.

– Więc panna Margolis nie widziała go wcześniej?

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Sądzę, że pan doskonale rozumie, panie Kirkpatrick. Myślę, że panna Margolis nie wyszła z panem, ponieważ nie chciała, aby ją zobaczono w tym pojeździe.

Strzał trafił w dziesiątkę.

Po raz drugi Burden zadziwił Wexforda swoją przebiegłością. Kirkpatrick, który rumienił się często i z byle powodu, zbladł teraz ze złości i upokorzenia.

– Ona miała dobry smak i gust – powiedział Burden. – Nie zdziwiłbym się usłyszawszy, że wybuchnęła śmiechem, kiedy zobaczyła to różowo-fioletowe cacko.

Najwyraźniej był to czuły punkt sprzedawcy kosmetyków. Bez względu na to, czy był koneserem współczesnego malarstwa, czy też tylko zwykłym flirciarzem, ten śmieszny wehikuł nie pasował do żadnego z tych wcieleń. Był jak straszliwe piętno, rysa na wizerunku czy też wstydlivy znak identyfikacyjny.

– Co w tym śmiesznego? – spytał agresywnie. – Za kogo ona się uważa, żeby się ze mnie śmiać? – Oburzenie powodowało, że stawał się mniej uważny. – To przecież nie wpływa ujemnie na moją osobowość. Fakt, że muszę mieć taki samochód, nie robi ze mnie gorszego człowieka. Dziwne, że wcześniej byłem dla niej wystarczająco dobry; pieniądze, które na nią wydawałem też były dobre... – ugryzł się w język zorientowawszy się, że powiedział za dużo. Ze złości zapomniał na chwilę, gdzie jest i z kim rozmawia. – Mam na myśli, że kiedyś, w

dalekiej przeszłości, próbowałem z nią...

– Zapewne za pewne usługi?

– Co to ma, do diabła, znaczyć?

– Mówił pan przecież, że pokazywała panu obrazy brata bez jego wiedzy. To miło z jej strony. Powiedziałbym, że zasłużyła tym sobie na flakonik perfum albo mydełko – Wexford uśmiechnął się do niego. – No i co pan zrobił? Wypożyczył mniej krzykliwy samochód?

– Mówiłem już, że nigdzie nie pojechaliliśmy. A jeżeli nawet mielibyśmy pojechać, to przecież mogliśmy wziąć jej wóz.

– A właśnie, że nie – główny inspektor wtrącił miękko. – Nie mogliście użyć jej samochodu, bo chłodnica przeciekała. Przypuszczam, że zorganizowaliście jakoś zielony samochód i udaliście się do Stowerton.

Kirkpatrick, nadal cierpiąc z powodu pośmiewiska, jakie wzbudził jego samochód, wymamrotał:

– Podejrzewam, że ktoś widział mnie w Stowerton, czyż nie tak? Pewnie Cawthorne? Możecie mi chyba powiedzieć?

– Dlaczego miałby to być Cawthorne?

Mężczyzna zaczerwienił się.

– On mieszka w Stowerton – stwierdził z wahaniem. – To on wydawał to przyjęcie.

– Podobno jechał pan wtedy do Szkocji – zauważył z przekąsem Wexford. – Musiał pan zrobić niezły objazd, żeby jechać przez Stowerton. – Podniósł się ciężko i niezgrabnie, podszedł do mapy zawieszanej na ścianie. – Której by pan drogi nie obrał, to Stowerton i tak leży całe mile od pańskiej trasy.

– Co to ma za znaczenie?! – wybuchnął Kirkpatrick. – Miałem mnóstwo wolnego czasu. Nie było nic innego do roboty. Nie zamierzałem wylądować w Szkocji nad ranem. Sądzę, że najważniejsze jest to, że Ann nie było wtedy ze mną. Mój Boże! Ona nawet nie była nawet w Stowerton, bo nie poszła na to przyjęcie!

– Wiem – Wexford usiadł z powrotem na krześle. – Wie o tym również jej brat i pan Cawthorne, ale skąd pan o tym wie? Przecież wrócił pan dopiero dzisiaj rano. Proszę mnie posłuchać: uważam, że przeprowadzenie konfrontacji wszystko wyjaśni. Czy ma pan coś przeciwko temu?

Kirkpatrick wyglądał na zmęczonego. Mogło to być albo zwykłe wycieńczenie fizyczne, albo po prostu potok bezowocnych kłamstw źle na niego działał. Jego aparycja jak dokładny czujnik wykazywała zaniepokojenie wywołane kłopotliwą i trudną sytuacją. Twarz, zazwyczaj pewna siebie, z uśmiechem malującym się pełnych, mięsistych wargach zmieniała się. Teraz nad górną wargą perlił się pot, a brązowe oczy stanowiące największy atrybut męczyzny wyglądały jak ślepie psa, któremu ktoś nadepnął na ogon.

– Chciałbym wiedzieć, w jakim celu miałbym brać w tym udział – rzekł ponuro. – Oraz kto i gdzie mnie widział, i co niby miałbym tam robić.

– Wszystko panu powiem, panie Kirkpatrick – powiedział Wexford wstając z krzesła.

– Kiedy dostanę z powrotem swój dywan? – spytała Ruby Branch.

– To nie pralnia chemiczna. Nie wykonujemy usług ekspresowych.

Ruby była w bardzo złym humorze. Spojrzała na Burdena posępnie. Wcisnęła kapelusz mocniej na głowę, tak że rondo prawie zasłaniało jej oczy, a szyję i usta owinęła szyfonowym szalem.

– Będę teraz naznaczona – powiedziała. – Mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę. Przypuśćmy, że go rozpoznam, a on ucieknie? W więzieniach nie mogą sobie dać rady z takimi bandziorami. W każdej gazecie o tym piszą.

– Będziesz musiała zaryzykować – odparł Burden.

Kiedy wsiedli do samochodu, odezwała się nieśmiało:

– Panie Burden? Nie wspomniał pan jeszcze o tej drugiej sprawie... O tym, czy zamierzacie coś zrobić w związku z tym moim prowadzeniem tego, no, jak wy to tam nazywacie... „domu”.

– To zależy... Zobaczymy.

– Przecież wam pomagam. Narażam się...

Chwilę jechali w milczeniu, po czym Burden odezwał się:

– Bądź ze mną szczerą, Ruby. Czy Matthews zrobił kiedykolwiek coś dla ciebie oprócz dla ciebie oprócz brania twoich pieniędzy i rozbicia twego małżeństwa?

Mocno umalowane usta zadrżały. Palce, którymi przytrzymała szal, były stwardniałe i miały długie, szare ślady od prac domowych.

– Kiedyś byliśmy sobie bliscy.

– Ale to było dawno temu – powiedział łagodnie. – Powinnaś teraz myśleć o sobie. – W pełni zdawał sobie sprawę, że to co mówi, jest okrutne. Ale tak to właśnie było ze sprawiedliwością. Aby wydobyć coś od Ruby, musiał postępować w ten sposób. – Już od dziesięciu lat nie masz stałej pracy ani pensji. Jak myślisz, ile z tych kobiet, dla których pracujesz, będzie cię nadal zatrudniać jak dowiedzą się o tych wszystkich mętnych sprawach? A dowiedzą się, bo przecież czytają gazety.

– Nie chcę, żeby George miał kłopoty.

Burden, tak samo jak wcześniej Wexford, nie wiedział w pierwszej chwili, o kim ona mówi. Musiał się chwilę zastanowić, nim przypomniał sobie, że George to imię Monkeya.

– Szalałam kiedyś za nim. Nigdy nie miałam dzieci ani prawdziwego męża. Pan Branch był wystarczająco stary, żeby być moim ojcem. – Przerwała, aby małą, koronkową chusteczką wytrzeć łzy płynące po twarzy. – George był w więzieniu, kiedy go znalazłam. Wydawał się być ze mną szczęśliwy...

Wbrew sobie Burden wzruszył się. Pamiętał jeszcze starego Brancha, trzęsącego się i zdziwaczałego z powodu mocno leciwego wieku.

– Nigdy nie Georgowi nie żałowałam – mówiła – ani alkoholu czy papierochów; i Bóg jeden wie, ile miał dobrych obiadów... Ale on nawet nie kładł się przy mnie. To nieładnie, panie Burden, kiedy się ma wspomnienia i nic nie można poradzić...

– Nie jest wart twojej lojalności. No już, rozchmurz się. Pan Wexford gotów jest pomyśleć, że cię torturowałem. Nie słyszałaś, żeby ten Geoff Smith nazywał dziewczynę po imieniu, prawda? Wymyśliłaś to tylko, żeby ochraniać Monkeya?

– Chyba tak...

– Dobra dziewczynka. A czy w ogóle przeszukałaś pokój po znalezieniu tej plamy?

– Za bardzo się bałam. Niech pan mnie posłucha, panie Burden: dużo o tym myślałam. George był sam w domu w czwartek, kiedy pisał ten list. Ja pracowałam. Podejrzewam, że znalazł coś, co tamci przypadkowo zostawili.

– Też tak sądzę, Ruby. Myślę, że wielkie umysły pracują podobnie...

Kiedy dotarli na posterunek, dwunastu mężczyzn stało ustawionych rzędem na dziedzińcu. Żaden nie miał ponad metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wszyscy mieli ciemne włosy w odcieniach od ciemnego kasztanu do kruczej czerni. Kirkpatrick stał czwarty od końca po lewej stronie. Ruby wahając się podeszła ostrożnie bliżej. W swoich butach na wysokich obcasach i z osłoniętą twarzą wyglądała przedziwnie. Wexford, który nie słyszał jej wcześniejszych opowieści, z trudem powstrzymywał się od śmiechu: Burden natomiast obserwował ją ze smutkiem, jakby jej współczuł. Pierwszych trzech mężczyzn z lewej musnęła tylko wzrokiem, zatrzymując się dłużej przy Kirkpatricku. Podeszła trochę bliżej, po czym ruszyła dalej spoglądając co chwila do tyłu. Potem obróciła się. Kirkpatrick wyglądał na wystraszonego i zmieszanego, kiedy zatrzymała się przed nim. Coś, jakby iskra, przeleciało pomiędzy nimi. Widać było, że się nawzajem poznali. Później przeszła dalej zatrzymując się najdłużej przed mężczyzną stojącym na końcu z prawej strony.

– No i co? – spytał stojący przy drzwiach Wexford.

– Przez chwilę myślałam, że to ten na końcu.

Główny inspektor westchnął cicho. „Ten na końcu” to konstabl Peach.

– Ale teraz po zastanowieniu, już wiem... To musi być ten z czerwonym krawatem.

Kirkpatrick.

– Musi? Dlaczego musi?

Ruby odpowiedziała prosto:

– Znam jego twarz. Tych innych nie znam. Jego twarz jest mi tak jakoś znajoma.

– No tak... Cóż, moją twarz też pani zdążyła już poznać, a mimo to ja nie wynająłem tego pani figlownika we wtorek.

Ruby wydawała się być urażona.

– Chcę tylko wiedzieć, czy to Geoff Smith.

– Nie wiem. Nie jestem pewna. Myślę, że jednak nie mogłabym go już teraz rozpoznać. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy widzę ciemnowłosego mężczyznę trzęsą mi się ręce

ze strachu. Wiem tylko, że tego faceta w czerwonym krawacie widziałam gdzieś w zeszłym tygodniu. Może to było we wtorek. Nie wiem... On mnie też poznał, widział pan? – pociągnęła nosem i wzruszyła ramionami. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka ze starą twarzą. – Chcę jechać do domu – powiedziała rzucając wściekle spojrzenie w kierunku Burdena.

Uśmiechnął się do niej filozoficznie. Nie była pierwszą osobą żalującą, że mu się zwierzyła.

Kirkpatrick wszedł do biura Wexforda, ale nie chciał usiąść. Fakt, że Ruby nie rozpoznała go z całą pewnością wydawał się wrócić mu pewność siebie i przez moment Wexford myślał, że będzie chciał dodać kilka szczegółów do swojej roli mecenasa czy też konesera sztuki. Tamten wziął do ręki szklaną niebieską figurkę i chwilę przyglądał jej się ze znanstwem, po czym spojrzał ponuro na Wexforda.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony. Sądzę, że byłem wystarczająco cierpliwy. Jak pan widział, ta kobieta nie poznała mnie.

„Ale ty ją poznałeś”, pomyślał Wexford. „Byłeś wtedy w Stowerton i dobrze wiesz, że Anita Margolis nie poszła na przyjęcie”.

Kirkpatrick, mniej spięty, zrelaksował się i oddychał z łatwością. Mówił płynnie.

– Jestem już bardzo zmęczony i jak już mówiłem, byłem wystarczająco cierpliwy i wyrozumiały. Niewiele osób, które właśnie przebyły czterysta mil, okazałoby tyle wyrozumiałości co ja. – Delikatnie odstawił figurkę na biurko i pokiwał głową tak, jakby dokonał fachowej ekspertyzy.

„Ty cholerny pajacu”, pomyślał Wexford.

– Teraz chciałbym, aby mnie zostawiono w spokoju. Potrzebuję odpoczynku i długiego snu. Jeżeli więc coś pan ode mnie chce, to proszę załatwić to teraz.

– I nigdy więcej nie zawracać panu głowy? Obawiam się, że to niemożliwe. Tak wygląda nasza praca, mój panie.

Ale tamten nie słyszał.

– W spokoju, jak mówię. Nie życzę sobie, aby naprzykrzano mi się i zawracano głowę mojej rodzinie. Ponieważ identyfikacja nic nie dała, uważam, że powinno się dać temu wszystkiemu święty spokój. Myślę...

„Mówisz za dużo”, pomyślał Wexford.

## ROZDZIAŁ IX

Po deszczu miasto wyglądało jak świeżo umyte. Popołudniowe słońce spowodowało, że jezdnie i chodniki mieniły się kolorami złota, a nad nimi unosiła się lekka mgiełka. Było przyjemnie i ciepło, powietrze było ciężkie od wilgoci.

Draytonowi z podniecenia aż zaschło w gardle, kiedy jechał High Street w wynajętym od Cawthorne'a samochodzie. Zatrzymał się na wąskiej uliczce przy sklepie Grovera. Wsiadł, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i odetkać w ten sposób płuca. Czuł się niezwykle spięty. Zobaczywszy ją doznał szoku. Jej widok oszołomił go. Wcześniej wyobrażał sobie wieczorne spotkanie z nią i myślał, że rzeczywistość rozczaruje go. Była przecież tylko dziewczyną, która wpadła mu w oko i którą mógłby w każdej chwili mieć. Takie historie zdarzały mu się już dawniej. Dlaczego więc, chociaż sklep pełen był klientów, wśród których nie brakowało ładnych dziewcząt, wszyscy wydawali się beztwarzowi i nijacy? Zmysłowość, która opanowała go poprzedniego wieczora przed sklepem, stopniowo przekształcała się w chłodno skalkulowane pożądanie. Teraz jednak wróciła z wielką siłą i sparaliżowała go. Stał tak przy oknie obserwując dziewczynę przez szybę. Zdecydował się wejść do środka, otworzył drzwi i usłyszał dźwięk dzwonka. Ich oczy spotkały się, a na jej twarzy ukazał się lekki, tajemniczy uśmiech. Kiwnął jej głową i odwrócił się, aby na nią poczekać przeglądając gazety. Sklep wypełniony był nieprzyjemnym zapachem: napływającym z zaplecza smrodem jedzenia, przyprawiającą o mdłości wonią słodczy i brudu zalegającego niesprzątane kąty. Na półeczce nad jej głową porcelanowy spaniel nadal trzymał doniczkę zakurzonych kwiatków. Nikt go nie kupi, tak samo jak nikt nie kupi popielniczki i ceramicznych naczynek stojących po obu jego stronach.

Do sklepu wchodziło coraz więcej klientów. Ciągłe bzyczenie dzwonka doprowadzało Draytona do szału. Wiercił się stojąc w miejscu, nadal przeglądając czasopisma. Kolorowe okładki migały tworząc jaskrawo-kolorowy kalejdoskop: pistolet, kościotrup w kapeluszu, dziewczyna leżąca wśród róż w kałuży krwi. Spojrzawszy na zegarek zorientował się, że jest w sklepie od dwóch minut.

Został już tylko jeden klient, kiedy do sklepu weszła kobieta pragnąca kupić wzór wykroju na sukienkę. Usłyszał, jak Linda mówi: „Przepraszam, już zamykamy”. Kobieta zaczęła się klócić twierdząc, że wzór jest jej absolutnie potrzebny jeszcze dzisiaj. Drayton

zobaczył, jak dziewczyna wzrusza ramionami i grzecznie, ale stanowczo odmawia. Zastanowił się, czy często zdarza się jej odmawiać spełnienia czyichś żądań. Zdenerwowana kobieta, mamrocząc coś pod nosem, wyszła na zewnątrz. Linda spuściła żaluzje i wolno podeszła do niego. Uśmiech znikł z jej twarzy, a ręce miała opuszczone wzdłuż ciała. Pomyślał, że chce mu coś powiedzieć, przeprosić lub ustalić warunki. Lecz ona bez słowa i zbędnych gestów przyłożyła swoje usta do jego i z cichym westchnieniem, jakby rozkoszy i podniecenia, rozchyliła wargi. Dostosował się do niej i przez moment złączeni byli ze sobą tym pocałunkiem. Potem wziął ją w ramiona i przymknął oczy próbując odgonić od siebie obrazy z przeglądanych wcześniej pism przedstawiających orgie wijących się ciał, złączonych ze sobą zarówno od góry, jak i od dołu, przeróżne kombinacje – obrządki płodności w nowoczesnym wydaniu.

Uwolnił ją z uścisku i wymruczał:

– Chodźmy.

Zachichotała, co spowodowało, że i on zaśmiał się cicho, nisko i niechętnie. Zdawał sobie sprawę z tego, że śmieją się z własnej słabości i niemocy przeciwstawiania się emocjom.

– Tak, chodźmy już – ciężko oddychała. Jej chichot nie miał nic wspólnego z zażenowaniem lub wstydem.

– Mark? – powiedziała pytająco, i jeszcze raz: – Mark... – tak jakby powtórzenie jego imienia pomogło jej w podjęciu jakiejś decyzji.

Dla Draytona zabrzmiało to jak obietnica.

– Pojedziemy do Pomfret – odrzekł. – Mam samochód.

– Do Cheriton Forest?

Potwierdził kiwnięciem głowy, jednocześnie czuł jednak lekkie rozczarowanie.

– Byłaś już tam kiedyś?

Pytanie nie zdeprymowało jej.

– Z mamą i tatą – spojrzała na niego grobowym wzrokiem. – Nie tak jak sądzisz...

Te słowa mogły znaczyć bardzo dużo albo niewiele. Snucie domysłów, że nigdy nie była tam z żadnym mężczyzną, albo że była, ale nie po to, żeby się kochać, tylko trzymać za ręce odbywając romantyczne spacerunki, nie miało sensu.

Słowa były maską dla myśli i zamiarów.

Usiadła w samochodzie obok niego i rozpoczęła rytuał poprawiania spódnicy, zdejmowania rękawiczek, układania torebki nad deską rozdzielczą. Draytona drażniły te jej „pańskie” maniery. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kobiety przywiązują tak wielką wagę do swojego wyglądu i do wrażenia, jakie zamierzają wywrzeć na innych. Śmieszyło go, że tak rzadko odstępują od swoich przyzwyczajzeń. Wyraz twarzy dziewczyny w sposób widoczny zmienił się. Przybrała maskę schludności i zadowolenia z siebie, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć ją „dumną i bladą” jadącą samochodem z mężczyzną.

– Gdzie chciałybyś pójść na kolację? – spytał. – Myślałem o Cheriton Hotel.



Potrząsnęła głową.

– Nie jestem głodna. Moglibyśmy się czegoś napić.

Czy była już kiedyś w podobnym miejscu? Wyglądało na to, że nie chce przepuścić okazji pokazania się tam. W tej chwili gardził nią z całego serca. Odczuwał głęboki niesmak myśląc o jej pochodzeniu, nieumiejętności prowadzenia konwersacji, braku zainteresowań, żalostną ubogością jej świata. A mimo to jej widok, fizyczna obecność, podniecała go prawie do bólu. W jaki sposób miał wytrzymać z nią godzinę w holu lub barze hotelowym, o czym mieliby rozmawiać, w jaki sposób miałyby się powstrzymać od dotykania jej? Nie miał jej nic do powiedzenia. W tej grze były pewne zasady, przypominające zaloty w świecie ptaków, coś w rodzaju płaśów i machania skrzydełkami. Kilka godzin wcześniej, nim przyszedł do sklepu, próbował przypomnieć sobie te wstępne gierki, ale teraz czuł się zbity z tropu. Wszystko pokręciło się. Tamten pocałunek był nieprzewidziany i popchnął ich za daleko do przodu. Czekał na odrobinę wesołości z jej strony, radości mogącej zmienić jego nastawienie ze zwykłej żądry na coś bardziej ucywilizowanego.

– Nie wiem – powiedział tępo. – Wypożyczyłem samochód, a ten dzisiejszy wieczór jest pierwszym od wielu tygodni, kiedy akurat nie pada deszcz.

– Dzięki temu mogliśmy tutaj przyjechać.

Przed nimi, daleko z przodu, widać było światła miasta migoczące w zmierzchu poprzez zieleniejące drzewa.

– Ściemnia się – zauważyła.

Doprowadzony do rozpacz, nie mogąc znaleźć tematu rozmowy, złamał przepisy:

– Przesłuchaliśmy dzisiaj pewnego faceta. Nazywa się Kirkpatrick. – Wiedział, że nie powinien tego mówić. Dyskusowanie na temat pracy policji było wbrew prawu. – Jest waszym klientem. Znasz go?

– Ludzie nie podają mi swoich nazwisk – powiedziała.

– On mieszka gdzieś w okolicy – „dokładnie tutaj”, pomyślał. Przejeżdżali właśnie niedaleko lasu obok rozrzuconych na łące jak pudełeczka, biało-niebieskich budynków w stylu wiejskich chatek.

– Zobacz – wskazała palcem – ten samochód.

Rzeczywiście stał tam, różowo-fioletowy, w świetle latarni wyglądający jeszcze gorzej niż w rzeczywistości.

– To o tego człowieka chodziło, tak? Wyobraź sobie jazdę w czymś takim. Pewnie umarłabym ze śmiechu.

Zachowywała się dziecinnie. Jej nagłe ożywienie spowodowane tak banalnym powodem zirytowało go. Poczł, jak zamyka się w sobie.

– Co on zrobił? – spytała.

– Nie wolno mi o tym mówić.

– Jesteś bardzo ostrożny – powiedziała, a on dostrzegł, że dziewczyna uśmiechnęła się,

ale nie ośmielił się spojrzeć w jej stronę. Pomyślał, że jej małomówność i brak humoru mogły wpływać z tych samych źródeł co jego zachowanie.

Myśl ta zmroziła go.

Droga, którą teraz jechali, była zbyt ciemna, aby mógł chociaż na moment oderwać wzrok.

Daleko z przodu, wśród sosen, widać było światła hotelu.

Położyła mu rękę na kolanie.

– Mark – odezwała się. – Nie mam już ochoty na drinka.

Dochodziła dziewiąta, kiedy w domu Burdena odezwał się telefon. Dzwoniono z posterunku.

– Ruby Branch przyszła znowu, sir – to był głos sierżanta Martina. – Przyproceedziła ze sobą Knobby Clarka i chce się z panem widzieć. Nie mogłem z niej nic wydobyć.

Jego głos brzmiał przeproszająco, jakby oczekiwał nagany. Ale Burden powiedział tylko:

– Zaraz tam będę.

W gardle czuł nerwowe zwężenie. Miał dziwne przeczucie, że coś się w końcu wydarzy. Jego zmęczenie minęło.

Ruby stała w holu, wyglądała wyjątkowo nędznie, musiała być bardzo zmęczona. Mimo to w jej twarzy był wyraźny spokój: Obok niej, na czerwonym plastikowym krześle w kształcie łyżki, siedział gruby paser z Sewingbury. Patrząc na niego Burden przypomniiał sobie ich ostatnie spotkanie. W tej chwili Knobby wyglądał na mocno zdenerwowanego, ale to on właśnie poprzednim razem swoim pogardliwym lekceważeniem, targowaniem i odrzucaniem oferty upokorzył Bogu ducha winną osobę. Oczyma wyobraźni Burden zobaczył znowu nieśmiałą, wytworną kobietę chcącą sprzedać drogocenne przedmioty będące prezentami od jej męża. Przypomniawszy sobie tamtą sytuację, inspektor poczuł nagłą złość.

– Słucham, czego chcecie?

Ciężko wzdychając, Ruby oglądała tablicę z kolorowymi ogłoszeniami i zdawało się, że do niej właśnie się zwraca:

– Miły początek rozmowy, nie ma co. A ja pofatygowałam się, żeby tutaj dotrzeć. To naprawdę prawdziwe poświęcenie z mojej strony.

Knobby Clark nie odezwał się. Ręce trzymał w kieszeniach i wyglądało na to, że całą swoją uwagę skupia na zachowaniu równowagi na siedzeniu skonstruowanym dla węższych niż jego siedzeń. Małe oczka schowane w fałdach tłuszczu były nieruchome i czujne.

– Co on tu robi? – spytał Burden.

Ruby najwyraźniej wybrała siebie na rzecznika ich obojga.

– Podejrzewam, że George był u niego, bo to starzy kumple. Po wyjściu stąd pojechałam do Sewingbury... – przerwała – po tym, jak wam pomagałam – dokończyła znacząco. – Ale jeśli nie chcecie nic wiedzieć, to już sobie idę.

Chwyciwszy torebkę wstała. Futrzany kołnierz okrywający jej obfite piersi lekko zafalował.

– Proszę pójść ze mną do gabinetu.

Nadal milcząc, Knobby Clark podniósł się ciężko ze swojego krzesła. Spoglądając w dół Burden widział czubek głowy jubilera. Z jego włosów została jedynie mała pierzasta kępka wyglądająca trochę jak moherowy berecik na zniekształconej rzepie. Nie zamierzając tracić więcej czasu, powiedział:

– Zobaczymy, co też tam mamy.

Jedyną reakcją było lekkie drżenie tłustych ramion Knobbiego.

– Czy mogłabym zamknąć drzwi? – spytała Ruby. W jaśniejszym świetle jej twarz wyglądała na bardzo zniszczoną.

– Proszę mu pokazać, panie Clark.

Mały jubiler zawahał się.

– Panie Burden – odezwał się pierwszy – pan i ja nie mieliśmy ze sobą od dawna żadnych kłopotów, prawda? To już jakieś siedem czy osiem lat...

– Sześć – poprawił go Burden. – W przyszłym miesiącu minie sześć lat od czasu twoich poważnych kłopotów związanych z tamtymi zegarkami.

– Tak, właśnie wtedy wyszedłem.

– Nie widzę w tym żadnego związku – Ruby usiadła odzyskując pewność siebie. – Nie widzę powodu, dla którego pan go tak poniża. Przyszłam tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli...

– Zamknij się – Burden warknął na nią. – Myślisz, że nie wiem, o co tutaj chodzi? Jesteś wściekła na swojego chłopca i chcesz go zrobić. Więc udałaś się do sklepu tego małego szczurka w Sewingbury i spytałaś co też takiego podrzucił mu Monkey Matthews w zeszły czwartek. Poniżam go... Śmiechu warte! Jeśli byłby dużo niższy, to potykałibyśmy się o niego. – Ciężko przełknął ślinę. – To nie publiczny interes cię tu przygnał, tylko złość. Oczywiście Clark przyszedł tu z tobą, jak mu powiedziałaś, że mamy Monkeya. Teraz dopiero możesz dopowiedzieć resztę, ale oszczędź mi tkliwych historyjek.

– Knobby chciałby mieć pewność, że nie będzie miał żadnych przykrości – powiedziała drżącym głosem. – On nic nie wiedział i ja też nie miałam o tym pojęcia. Zostawiłam George'a samego na kilka godzin. Podczas kiedy ja pracowałam, żeby zarobić na niego pieniądze... – zorientowawszy się, że znów zaczyna być zbyt sentymentalna, kontynuowała spokojnie: – Musiał to znaleźć przy którymś z moich krzesel.

– Co znaleźć?

Tłusta ręka jubilera sięgnęła do zniekształconej kieszeni i wyjęła z niej mały, lśniący przedmiot. Podał go Burdenowi.

– Ma pan tu śliczny kawałek roboty, panie Burden. Osiemnastokaratowe złoto obrobione ręką mistrza.

Była to złota zapalniczka, długości i szerokości pudełka od zapalek, ale cieńsza, z bokami ozdobionymi wzorem winnych liści i kiści winogron. Inspektor odwrócił ją w dłoni i ściągnął usta. Od spodu wygrawerowana była dedykacja: „Dla Ann, która opromienia moje życie”. Na twarzy Knobbigiego otworzyło się duże pęknięcie, coś jakby szczelina w przerośniętym buraku pastewnym, zbyt mięsistym w swojej łupinie. Uśmiechnął się.

– To było w czwartek rano, panie Burden – położył swoje rozdęte ręce na biurku. – Monkey mówi do mnie: „Przyjrzyj się i daj, co możesz”. Znając jego reputację spytałem się, skąd to wytrzasnął. „Nie wszystko złoto, co się świeci” mówię mu...

– A jeśli nie byłoby to złoto – wtrącił Burden – to mogłoby sobie świecić do końca świata, a ciebie by to i tak nie obchodziło.

Knobby spojrzał na niego swoimi małymi ślepiami.

– „Moja stara ciotka mi to zostawiła”, mówił. „Moja ciotka Anna”. „To musiała być niezła starowinka”, ja mu na to. „Czy zostawiła ci również swoją papierośnicę i srebrną piersióweczkę?” Ale to były tylko żarty, panie Burden. Nigdy nie pomyślałem, że zapalniczka jest trefna. Nie było jej na mojej liście.

Jego twarz ponownie pękła, tym razem próbował wyglądać cnotliwie.

– Dałem mu za to dwadzieścia funtów.

– Nie bądź dzieckiem. Nie jestem naiwny, a ty nie jesteś filantropem. – Burden znowu przypomniał sobie widzianą u Clarka kobietę. – Dałeś mu dziesięć – powiedział z rozmysłem.

Knobby Clark nie zaprzeczył.

– To moja strata, panie Burden. Dziesięć czy dwadzieścia, nie rośnie na drzewie. Nie będzie nieprzyjemności? Żadnych kłopotów?

– Wynoś się – rzekł Burden zmęczonym głosem.

Knobby wyszedł. Wyglądał na mniejszego niż normalnie, mimo iż starał się iść jak na palcach. Kiedy wyszedł, Ruby odezwała się drżącym głosem, z głową w dłoniach.

– Stało się... Mój Boże, nigdy nie sądziłam, że wsypię George'a.

– Czy słyszysz bijące dzwony?

– Pan jest twardym człowiekiem. Upodabnia się pan do swojego szefa.

Burden nie miał nic przeciwko temu.

– Możesz też odejść. Nie będziemy już rozmawiać o tej drugiej sprawie. Zmarnowałaś wystarczająco dużo społecznego czasu i co za tym idzie, publicznych pieniędzy. Na przyszłość trzymałbym się jednak sprzątań. – Uśmiechnął się, odzyskawszy prawie dobry humor. – Masz wyjątkowy talent do prania brudów innych ludzi.

– Czy pozwoli pan zobaczyć George'a?

– Nie, nie pozwolę. Nie wykorzystuj swojego szczęścia.

– Tak właśnie myślałam – westchnęła. – Chciałam go przeprosić. – Jej twarz była brzydka, przesadnie umalowana i stara. – Kocham go – powiedziała zmęczonym głosem. – Kochałam go przez dwadzieścia lat. Nie podejrzewam, żeby pan to zrozumiał. Dla pana i

innych brzmi to jak kawał, prawda?

– Dobranoc, Ruby – powiedział. – Mam jeszcze dużo roboty.

Wexford wiedziałby, jak to załatwić. Powiedziałby coś ironicznego i mocnego, ale równocześnie łagodnego i miłego. Było dokładnie tak, jak powiedziała. On, Burden, nie potrafił tego zrozumieć i nigdy nie zrozumie, bo nie chce... Dla niego taka miłość była zamkniętą kartą, pornografią ze sklepu Grovera. Postanowił zejść na dół odwiedzić Monkey Matthews.

– Powinieneś sprawić sobie zapalniczkę, Monkey – powiedział przez chmurę dymu. Zauważył ogromną ilość spalonych zapalek w koszu na śmieci.

– Nie bardzo umiem się z nimi obchodzić, panie Burden.

– Nawet z taką ładną, złotą? Czy możesz wolisz lizaki?

Położył zapalniczkę na dłoni i podniósł bliżej do żarówki.

– Kradzież poprzez znalezienie – rzekł. – Cóż za upadek!

– Nie przypuszczam, żeby to coś dało, jeśli się spytam, skąd pan to ma.

– Święta prawda.

– Ruby nie zrobiłaby mi tego.

Burden zawahał się. Ta kobieta powiedziała, że robi się podobny do Wexforda, a on potraktował to jako komplement. A może potrafił naśladować nie tylko szorstkość swojego szefa? Szeroko otworzył oczy w gniewnym oburzeniu.

– Ruby? No wiesz! Bardzo się tobie dziwię.

– Nie, nie podejrzewam, żeby to zrobiła. Niech pan zapomni, że to powiedziałem. W przeciwieństwie do tego wszawego kundla Clarka. Własną matkę sprzedaliby za parę groszy.

– Monkey z rezygnacją zapalił kolejnego papierosa. – Ile dostanę? – spytał.

Światła samochodu zgasły. Zaparkował w miejscu otoczonym gęsto czarnymi świerkami i wysokimi sosnami. Wydawało się, że rosły tu z przeznaczeniem na maszty statków i rusztowania. Pnie drzew wyglądały ponuro i złowieszczo, a ich proste kształty rozmywały się już kilka metrów od brzegu lasu. Z tyłu za nimi nie było ani dnia, ani nocy, nic tylko ciemny, bezkresny labirynt. Trzymając dziewczynę w ramionach czuł bicie jej serca. Miarowo tętniące, emitowało jedyny w tej chwili i w tym miejscu słyszalny dźwięk. Myślał, że kiedy otworzy oczy, będzie już zupełnie ciemno. Ich pocałunek był długi i namiętny. Błady zmierzch zdziwił go bardzo.

– Przejdźmy się – zaproponował biorąc ją za rękę. Oboje w dobrych nastrojach, czuli się świetnie. Wszystko przebiegało tak, jak to sobie wcześniej zaplanował. Mimo to zamiast zwycięstwa i triumfu odczuwał delikatny, dotychczas nieznan mu, tkwiący bardzo głęboko lęk. Powodem jego zdenerwowania nie była przecież żadna niemoc związana z zaspokojeniem fizycznym czy też duchowym. A może to obawa przed niechcianym, zbyt nagłym zaangażowaniem? Do tej pory wszystkie jego przygody, raczej przelotne, mniej lub

bardziej wesołe, nigdy nie zmuszały go do tak dalekiej introspekcji. Przeważnie nie starał się ciągnąć swoich znajomości zbyt długo. Uczucia, którym ulegał w przeszłości w istocie były zupełnie inne od tych doznawanych obecnie. Zdawał się być totalnie pochłonięty czymś nowym, nieznanym i przerażającym. Zupełnie tak, jakby to był jego pierwszy raz.

– Tutaj jest zupełnie inaczej – odezwała się. – Jak w innym kraju.

Rzeczywiście. Dziwne, obce miejsce. Nieznany i niezrozumiały język... Aż westchnął pomyślawszy, że ona może teraz odczuwać dokładnie to samo co on, telepatycznie, identycznie myśleć...

Spojrzał na nią i śledząc jej wzrok w górę, do koron drzew zrozumiał z pewnym rozczarowaniem, że miała na myśli jedynie las, a nie samopoczucie psychiczne.

– Byłaś kiedyś za granicą?

– Nie – odpowiedziała. – Ale tak to sobie wyobrażam. Wczoraj w nocy, stojąc z tobą koło tej wysokiej ściany, miałam podobne wrażenie. Czy ty również myślałeś o tym przywożąc mnie tutaj?

Zaczęli iść ścieżką, wcinającą się głęboko i precyzyjnie w zbocze. Swoim wyglądem przypominała nacięcie w grubym, czarnym miększu nieznanego owocu lub świeżo zszytą ranę.

– Myślałeś o tym? – powtórzyła pytanie.

– Może...

– Sprytnie to wymyśliłeś.

Oddychała swobodnie, mimo iż stok był stromy. Kilka metrów dalej, z ich lewej strony, wąska i delikatna ścieżka wiła się pomiędzy drzewami.

– Tutaj nie ma żadnych okien... – odezwał się. – Nikt nas nie może zobaczyć.

Bardziej niż cegogolwiek na świecie, bardziej nawet od absolutnego posiadania jej ciała, pragnął teraz zobaczyć ten jej ukradkowy i ostrożny uśmiech, to delikatne wygięcie ust bez ich rozchylania. Odkąd weszli do lasu, nie uśmiechnęła się ani razu, a dla niego to właściwie było ową esencją, jądrem jej nęcącej kobiecości. Gdyby nie ten uśmiech, mógłby ją teraz całować, osiągnąłby cel ich wspólnej wyprawy, ale bez niego straciłby smak, zapach i połowę rozkoszy: albo może po prostu byłby uratowany.

Czuł, że stał się niewolnikiem fetysza.

– Żadnych okien... – powtórzyła jego słowa. – Nikt cię nie obserwuje, nikt cię nie może powstrzymać – dodała miękko, odwracając się do niego tak, że ich ciała i oczy były blisko siebie.

– Jestem już zmęczona, Mark... Zmęczona tym, że ciągle ktoś mnie obserwuje.

Mały, pomarańczowy prostokąt okna w ścianie domu, ciągle brzęczący dzwonek, zrzędzący głos matki...

– Jesteś teraz ze mną – powiedział – a mnie nikt nie obserwuje. – Zazwyczaj był dość powściągliwy, ale jej bliskość pozbawiła go skrzepowania i przywołała samcze instynkty. Nim

mógł się powstrzymać, zażądał: – Uśmiechnij się do mnie.

Jej palce zacisnęły się na jego ramionach, niezbyt mocno czy zapalczywie, ale z lekką, ponętną mocą. Spojrzenie jej oczu było puste, jedynie drżenie półprzymkniętych powiek zdawało się być dla niego zaproszeniem.

– Uśmiechnij się...

Został wynagrodzony. Obserwując jej wygięte w uśmiechu usta, wziął ją wolno w ramiona i szczęśliwy pocałował.

– Nie tutaj – szepnęła. – Chodźmy dalej. Tam jest ciemno.

Była stanowcza, a mimo to miękka i uległa. Słowa wypowiedziane przy jego wargach, wpłynęły do środka jak wino i wypełniły go ciepłem.

Ścieżka wiła się obok. Drayton przytulił ją mocniej i prawie przeniósł w głęboki cień lasu. Igły sosen szemrały nad ich głowami przypominając odległe głosy gołębi. Zdjął płaszcz i rozłożył go na piaszczystej ziemi. Dziewczyna szeptała mu słowa, których nie rozumiał, ale wiedział, że nie są wypowiedzane obojętnie. Jej ręce wyciągnęły się, aby go objąć i przyciągnąć do siebie.

Ciemność była prawie absolutna i wyglądało na to, że dziewczyna potrzebuje tej anonimowej, sekretnej czerni, podobnie jak on potrzebował jej uśmiechu. Kokieteria i wstydlive milczenie ustąpiły miejsca gwałtownej namiętności. Czuł, że nie udawała, kiedy otuliła jego twarz swoimi długimi i silnymi palcami. Całował jej szyję i piersi, a ona wzdychała z rozkoszą. Ciemność była mroczną rzeką i łatwo było pogрузić się w jej odmętach. Nazywają to „małą śmiercią”, pomyślał, po czym zdolność logicznego myślenia opuściła go.

## ROZDZIAŁ X

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Jasne promienie słońca padły na czarno-fioletowy fartuch i ostrą, przekrwioną twarz.

– Cóż za miłe spotkanie! – powitała go pani Penistan.

– Nie spodziewał się pan mnie tutaj zastać, co?

Burden był rzeczywiście zdziwiony.

– Zobaczyłam ogłoszenie pana M. i zrobiło mi się go żal. Pomyślałam sobie, że pomogę, zanim ona wróci – wyjaśniła swoim przenikliwym głosem. Trzymając w wysoko uniesionej ręce miotłę wyglądającą jak szpada, nachyliła się w jego stronę szepcząc: – Jeżeli kiedykolwiek wróci...

Odsunęła się od drzwi przepuszczając go do środka.

– Proszę uważać na wiadro! – krzyknęła. – Nie wiadomo, od czego zacząć, taki tu bajzel. Dobrze, że moi chłopcy nie wiedzą, w co wdepnęłam. Gdyby tylko zobaczyli to okropne miejsce, od razu wzięliby mnie stąd, zanim by się pan obejrzał. Zakazane miejsce...

Burden tylko pokiwał głową przypominając sobie bykawatych „chłopców” pani Penistan, nie okazujących specjalnie silnej miłości synowskiej. Ich matka przybliżyła się do jego twarzy i chichocząc wesoło powiedziała:

– Nie zdziwiłoby mnie, gdyby tutaj był gdzieś podsłuch, rozumie pan? Ściany mają uszy.

– Jej świdrujący, rozweselony głos towarzyszył mu w drodze do pracowni Margolisa.

Wyglądało na to, że albo pani Penistan dopiero przyszła, albo po prostu nie dawała sobie rady z zalegającym wszędzie brudem i bałaganem. Nic nie zostało jeszcze sprzątnięte, poukładane czy odkurzone. Do znanego nieprzyjemnego zapachu doszedł teraz kwaśny odór pochodzący najprawdopodobniej z gnijących fusów zapełniających kilkanaście filiżanek stojących na podłodze i stołach. Właśnie tutaj, bardziej niż gdziekolwiek indziej, przydałby się zapal i wigor Ruby. Margolis stał przy sztalugach. Obok niego leżały tubki farby olejnej i wiele małych pojemniczków z niezidentyfikowaną zawartością. W jednym był chyba piasek, w innych opiłki żelaza i inne. Kiedy Burden wchodził do pracowni, artysta podniósł oczy i spojrzał na niego.

– Postanowiłem o tym wszystkim nie myśleć – powiedział stanowczym tonem. – Muszę dalej pracować. Ann wróci. Pani Penistan zgadza się ze mną – dodał tak, jakby to był



ostateczny argument.

Po tym dziwnym powitaniu Burden bez komentarza wyciągnął w jego kierunku rękę z zapalniczką.

– Widział pan to już kiedyś?

– To zapalniczka – odpowiedział Margolis odkrywco. W podobny sposób mógłby zareagować jakiś uznany archeolog identyfikujący nieznane znalezisko w starożytnym grobowcu.

– Rzecz w tym, że chciałbym wiedzieć, czy należy do pańskiej siostry.

– Nie wiem. Nie widziałem tej zapalniczki wcześniej. Ona dostaje mnóstwo prezentów. – Wziął zapalniczkę do ręki i obróciwszy ją, przeczytał dedykację. – Niech pan spojrzy, tu jest wypisane jej imię. – Tu jest napisane: „Dla Ann”.

Uniesiona miotła uprzedziła wejście pani Penistan. Nie przejmowała się specjalnie swoim chlebobdawcą. Stojąc za nim, podczas kiedy rozmyślał nad zapalniczką, zawadiacko puściła oko w kierunku Burdena.

– Niech na to spojrzę – powiedziała wyjmując złoty przedmiot z rąk Margolisa. Wystarczył jej rzut oka. – Nie – stwierdziła – na pewno nie.

Tym razem wyglądało na to, że śmieje się z Burdena, jego naiwności i podejrzania Margolisa o zdolność identyfikowania czegokolwiek i logicznego myślenia. Inspektor zazdrościł jej tej szczególnej ignorancji. Nie miała dylematów typu: „jak postępować z geniuszem”. Dla niej był człowiekiem nie dającym sobie rady z rzeczami praktycznymi, dziwakiem wysławiającym się niejasno. Pewnie dlatego też uważała go za wariata zasługującego na współczucie i żal.

– Ann nigdy nie miała niczego takiego – stwierdziła stanowczo. – Ona i ja miałyśmy w zwyczaju pić kawę w południe. Siedziałyśmy wtedy w kuchni. Zawsze paliła papierosa. „Przydałaby ci się zapalniczka”, powiedziałam jej kiedyś widząc, jak zużywa pełno zapalek. „Namów jakiegoś młodzieniaszka, żeby ci dał jedną taką”. To było gdzieś koło Bożego Narodzenia, a ona miała w styczniu urodziny.

– Więc mogła to dostać na urodziny?

– Jeżeli dostała, to nigdy mi nie pokazała. Zapalarki do gazu też nie miała. „Mój chłopak mógłby ci załatwić taniej, pracuje w handlu”, powiedziałam jej. Ale ona...

– Muszę już iść. – Burden przerwał krótko chcąc uniknąć jej bolesnego dla uszu śmiechu na końcu opowieści. Mimo iż to co mówiła, nie było wcale zabawne, to niewątpliwie wywołałoby u niej atak śmiechu.

– Niech pan uważa na wiadro! – zawołała za nim wesoło pani Penistan.

Wyszedł przed dom. Tego ranka wszystko było złote: promienie słońca, wiosenne żonkile rosnące w ogrodzie i mały przedmiot w jego kieszeni.

Samochód Kirkpatricka stał na podjeździe. Burden przeszedł obok niego ocierając

płaszczem o fioletowe kwiatki i reklamowy slogan.

– Mówi, że jest chory – pani Kirkpatrick powiedziała głośno i dobitnie.

Inspektor pokazał jej swoją legitymację. Równie dobrze mógłby to być folder jakiejś firmy czy broszurka reklamowa, jako że kobieta nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

– Podobno jest przeziębiony. – W jej głosie brzmiała pogarda i niedowierzanie, tak jakby przeziębienie jej męża było ostatnią rzeczą mogącą mu się przydarzyć. Wpuściła Burdena do środka i pozostawiając go samego z dwójką wielkookich dzieci rzekła: – Może pan równie dobrze usiąść. Powiem mu, że pan przyszedł.

Kirkpatrick zszedł na dół dwie lub trzy minuty później. Miał na sobie jedwabny szlafrok, wyglądało jednak na to, że pod spodem jest kompletnie ubrany. Inspektor kojarzyło się to z podobnymi, jednakże weselszymi i jowialniejszymi gagami ze starych komedii. Do tej pory odgrywano takie przedstawienia w lokalnych kółkach dramatycznych i zdarzało się, zaciągała go tam jego żona. Wystrój wnętrza tego pokoju – perkalowe obicia krzeseł, drewniana boazeria, potęgowały to wrażenie. Kirkpatrick wyglądał jednak nieszczególnie. Jeżeli rzeczywiście stałby teraz na scenie, to widownia podejrzewałaby go o nieznamość tekstu. Miał nieogoloną twarz. Zdobył się na słaby uśmiech w kierunku dzieci.

– Idę posłać łóżka – poinformowała pani Kirkpatrick. Trudno byłoby interpretować tę informację jako groźbę, jej natomiast udało się włożyć w to tak złowieszczą nutkę, że aż przeszedł go dreszcz.

Mąż pokiwał jej zachęcająco.

– Przykro mi słyszeć, że czuje się pan kiepsko.

– Przypuszczam, że to niedomaganie psychiczne – odrzekł Kirkpatrick. – Wczorajsze popołudnie było wyjątkowo nieprzyjemne.

„Psychiczne przeziębienie”, pomyślał Burden, „to jakaś nowość”.

– Przykro mi – powiedział na głos, ale obawiam się, że będzie pan musiał znowu przez to przejść. Czy nie sądzi pan, że dobrze byłoby przerwać tę farsę o pańskim zainteresowaniu panną Margolis jedynie z powodu obrazów jej brata?

Kirkpatrick uniósł wzrok w kierunku sufitu. Z góry dało się słyszeć głośne hałasy przywodzące na myśl łamanie mebli, a nie sianie łóżek.

– Doskonale wiemy, że był pan jej kochankiem – powiedział szorstko. – Groził pan nawet, że ją zabije. Sam pan potwierdził to, że był pan w Stowerton we wtorkowy wieczór.

– Nie tak głośno – Kirkpatrick był przerażony. – W porządku, to wszystko prawda. Myślałem już o tym i pewnie dlatego czuję się tak fatalnie... Otóż wiem, że będę musiał z wami porozmawiać. To nie o nią chodzi, tylko o dzieciaki – powiedział patrząc na chłopca i dziewczynkę. – Nie chcę ich stracić. Sądy zawsze powierzają opiekę matce, bez względu na to, jaka ona jest.

Burden był niecierpliwy. Pokazując zapalniczkę spytał:

– Widział to pan już kiedyś?

Twarz mężczyzny zapłonęła, ale inspektor nie potrafił określić, o jakie emocje chodzi. Wina? Przerazenie? Czekał.

– To jest Anny.

– Jest pan pewien?

– Widziałem to u niej. – Po czym dodał z pretensją w głosie: – Chwaliła mi się tym przedmiotem.

Mimo iż było w biurze ciepło, Kirkpatrick nie zdejmował płaszcza. Burden poinformował Wexforda, że przyszedł tu z własnej woli, aby porozmawiać we względnym spokoju, z dala od własnej żony.

– Czy to pan podarował tę zapalniczkę panie Margolis? – spytał główny inspektor.

– Ja? Nie stać mnie na takie prezenty.

– Proszę w takim razie powiedzieć, skąd pan wie, że należy do niej?

Kirkpatrick pochylił głowę.

– Jakiś miesiąc temu – zaczął prawie szeptem – pojechałem do niej, ale ona wyszła. Margolis nie wpuścił mnie, więc siedziałem na zewnątrz w samochodzie czekając na jej powrót. Nie w tym samochodzie – w jego głosie był ból – tylko w moim poprzednim, czarnym. – Westchnął i cicho kontynuował. – Przyjechała po pół godzinie. Wracła ze stacji samochodowej, gdzie grzebano w jej aucie. Wsiadłem i podszedłem do niej. Ta zapalniczka, którą pan trzyma, leżała na półeczce wewnątrz wozu. Podniosłem ją. Wiedziałem, że nie miała jej wcześniej i jak przeczytałem tą dedykację: „Dla Ann, która opromienia moje życie”, to znając ją domyśliłem się, jakiego rodzaju kontakty łączyły ją z ofiarodawcą tego przedmiotu. Zdążyłem ją wystarczająco dobrze poznać. – W jego głosie słychać teraz było histeryczną nutkę. – Krew uderzyła mi do głowy. Mogłem wtedy zabić... Boże, nie to miałem na myśli! – Ręką przesłonił usta, jakby tym gestem mógł wymazać nieprzemysłane słowa. – Nie to miałem na myśli! – powtórzył. – Rozumiecie chyba, prawda?

Wexford odpowiedział łagodnie:

– Niewiele wiem o panu, panie Kirkpatrick, ale wygląda na to, że mamy tu klasyczny przypadek rozdzielenia osobowości. Jednego dnia mówi pan, że panna Margolis była jedynie kluczem do galerii brata, drugiego natomiast, że był pan o nią chorobliwie zazdrosny. W takim razie proszę mi powiedzieć, która z tych osobowości jest dominująca?

– Kochałem ją – powiedział głucho – i byłem zazdrosny.

– To już wiemy. Proszę mówić dalej o zapalniczce – wtrącił Burden.

Kirkpatrick zamiast kontynuować, powiedział nieszczęśliwym głosem:

– Moja żona nie może się o tym dowiedzieć. O Boże, byłem szalony zbliżając się do tej dziewczyny. Naprawdę nie powinienem był tego robić.

Zauważył, że Wexford nie obiecuje mu dyskrecji i zrozumiał chyba, że sprawa jest bardzo skomplikowana. Krzyknął dzikim głosem:

– Nie zabiłem jej! Nic o tym nie wiem!

– Jak na zakochanego, nie wykazuje pan specjalnie głębokiego żalu, panie Kirkpatrick. Ale wróćmy do zapalniczki.

Kirkpatrick trząsł się, mimo iż w pokoju było ciepło.

– Byłem zazdrosny jak diabli. Ann wzięła ode mnie tę zapalniczkę i przyglądała się jej w dziwny sposób.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o dziwnym sposobie patrzenia?

– Tak, jakby było tam coś szczególnie zabawnego. – Kirkpatrick był wściekły. – Można było sądzić, że to cholernie zabawny kawał. – Przetarł ręką czoło. – Teraz jeszcze stoi mi przed oczyma jej widok: pięknej, młodej, niczym nie skrępowanej... – Ja nigdy nie byłem tak wolny. Trzymając w ręku ten kawałek złota przeczytała na głos tamte słowa i wybuchnęła śmiechem. – „Kto ci to dał?”, spytałem, a ona na to: „Niezły gest ma ten twój hojny przyjaciel, nieprawdaż? Tobie, Alan, nigdy nie przyszłoby coś takiego do głowy. Ty potrafisz jedynie dodać dwa do dwóch i wychodzi ci mniej więcej szesnaście”. Doprawdy nie wiem, co miała na myśli.

Jego palce zostawiły białe ślady w miejscach, gdzie naciskał skórę. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania.

– Mówicie o żalu – ciągnął. – Bardzo ją kochałem, albo tak mi się wtedy wydawało. Jak się kogoś kochało, to raczej powinno być smutno jeśli ten ktoś nie żyje, prawda? Ale, mój Boże, skoro nie mogłem jej mieć tylko dla siebie, to wolałem już, żeby nie żyła!

– Co pan robił w Stowerton we wtorek wieczorem? – wycedził Wexford.

– Nie muszę wam tego mówić – powiedział Kirkpatrick wyraźnie załamany. Tym razem jego słowa nie brzmiały wyzywająco czy butnie. Rozpiął płaszcz, tak jakby poczuł falę gorąca.

– Nie postępowałbym tak na pana miejscu – odezwał się Burden – skoro zamierza pan stąd wyjść. Jak pan wczoraj trafnie zauważył, nie możemy pana zatrzymać.

Kirkpatrick wstał. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

– Więc mogę już iść? – mocował się z paskiem od płaszcza, wyginając palce. – I tak nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

– Może pan sobie jeszcze coś przypomni? – rzekł Wexford. – Wie pan co? Wpadniemy do pana później.

– Jak dzieci będą już spały w łóżeczkach – dodał Burden. – Może pańska żona będzie wiedziała, co pan robił w Stowerton.

– Jeżeli to zrobicie – powiedział gwałtownie Kirkpatrick – to pozbawicie mnie moich dzieci! – oddychając ciężko, zwrócił się twarzą ku ścianie.

– Pozwólmy mu ochłonąć w towarzystwie Draytona – powiedział Wexford pijąc kawę w „Carousel Cafe”, kawiarni znajdującej się naprzeciw posterunku. Często przychodził tutaj z Burdenem, woląc ten lokal od policyjnej kantyny. Jego wejście zawsze powodowało opuszczenie tego miejsca przez mniej pożądane elementy. Siedzieli teraz sami przy maszynie

do kawy espresso, sztucznych, plastikowych roślinach i szafie grającej, z której dochodziły dźwięki muzyki Montovaniego.

– W dziwny sposób rozpoznała go Ruby – mówił Burden – nie będąc przecież pewna, że to Geoff Smith.

– Naprawdę nie wiem, Mike... Zgodnie z moim kodeksem moralnym, a sędzę, że twoim też, jego zachowanie nie było specjalnie etyczne, ale nie było też podejrzane. To dziwne, że zwróciła na niego uwagę...

– Wiemy, że był niski, młody i ciemnowłosy. Kirkpatrick nie jest specjalnie niski, ma przynajmniej metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. A najbardziej zastanawia mnie to przewisko. Nic dziwnego, że Smith, ale dlaczego Geoff? Dlaczego nie John albo William, na litość boską?

– Może Geoffrey jest drugim imieniem Kirkpatricka? Będziemy musieli go o to zapytać.  
– Wexford spojrzał w kierunku drzwi wejściowych.

Szczupła, jasnowłosa dziewczyna weszła do kawiarni kierując się do stolika w przeciwnym kącie sali.

– Mała panna Grover – wyszeptał Burden. – Chociaż raz urwała się ze smyczy. Gdyby jej ojciec był na chodzie, nie miałyby szansy wyskoczyć nawet na pięć minut. Słyszałem, że to straszny tyran – rzekł obserwując dziewczynę. Była zamyślona, myślami zupełnie gdzie indziej. – Ciekawe, co robił, kiedy mu wyleciał ten jego dysk. Nie pracował, zdaje się, fizycznie...

– Oszczędź sobie tych dywagacji na coś, za co ci płacą – powiedział Wexford z uśmiechem na ustach.

Linda Grover zamówiła koktajl malinowy. Burden obserwował, jakssała napój przez słomkę i później rozejrzała się z zażenowaniem dookoła, gdy kończąc głośno zbulgotała. Odrobina różowej pianki przylepiła się do górnej wargi. Miękkie i ałasowe jak u dziecka włosy były kolejnym złotym szczegółem tego złocistego dnia.

– Kirkpatrick jest ich stałym klientem – powiedział. – Kupuje tam wieczorną gazetę. Ciekawe, czy nabył tam również nóż?

– Wróćmy więc i przekonajmy się – rzekł Wexford.

Słońce i ciepło sprawiło, że droga z kawiarni na posterunek była stanowczo zbyt krótka.

– Jak to się może wszystko zmienić dzięki kilku promykom słońca... – powiedział, kiedy wchodzili po schodach.

Drayton siedział po jednej stronie pokoju, a Kirkpatrick po drugiej. Wyglądali jak obcy, obojętni, nieprzychylnie do siebie nastawieni ludzie, czekający na pociąg. Kirkpatrick spojrzał w ich kierunku, kiedy wchodzili, a usta lekko mu drgnęły.

– Myślałem, że już nigdy nie przyjdziecie – zdesperowanym tonem odezwał się do Wexforda. – Jeżeli powiem wam, co robiłem w Stowerton, uznacie mnie za wariata.

„Lepiej za wariata niż za mordercę” pomyślał Wexford.

Przysunął sobie krzesło.

– Niech pan wali.

– Nie chciała ze mną wyjść przez ten cholerny samochód – wymamrotał Kirkpatrick. – Nie wierzyłem, że jedzie na to przyjęcie, więc udałem się do Stowerton, aby to sprawdzić. Dotarłem tam o ósmej i czekałem godzinami. Nie pojawiła się. Mój Boże, siedziałem cierpliwie czekając, a kiedy nie przyszła, wiedziałem już, że mnie okłamała. Pewnie znalazła sobie kogoś bogatszego, młodszego i twardszego. Och, do diabła z nią! – zakaszła ciężko. – To wszystko, co miałem wam do powiedzenia. Nic więcej tam nie robiłem. Czekałem – rzekł. Podniósł wzrok na Burdena. – Właśnie zamierzałem z nią porozmawiać, zapytać, co sobie myśli oszukując mnie, kiedy znalazł mnie pan wczoraj koło jej domu.

Drayton stał przy oknie, patrząc lekceważąco na Kirkpatricka. „Ciekawe, o czym myśli”, zastanawiał się Wexford. Czy sądzi, że on sam, ze swoją, momentami zuchwałą i bezczelną, ciemną aureolą męskości, nigdy nie upadnie tak nisko?

– Ściemniło się – mówił Kirkpatrick – zaparkowałem samochód w cieniu, pod drzewem.

– Robili tam straszny hałas, krzycząc i głośno puszczając muzykę. A ona tam nie dotarła. Jedynym człowiekiem, który się w tym czasie pojawił, był jakiś pijak deklamujący wiersze Omara Khayyama. Siedziałem twardo przez trzy godziny, a chyba nawet dłużej...

Wexford przysunął się bliżej i oparł dłoń na blacie z drzewa różanego.

– Panie Kirkpatrick – odezwał się oschle – ta pańska historyjka może być nawet prawdziwa, ale chyba zdaje sobie pan sprawę z tego, że brzmi mało wiarygodnie? Czy ma pan kogoś, kto mógłby to potwierdzić?

Mężczyzna powiedział gorzko:

– To już moja sprawa, nieprawdaż? Wy zrobiliście, co do was należało. Nie słyszałem nigdy, żeby policja ścigała świadków, mogących wykazać błędność ich własnych podejrzeń.

– W takim razie musi się pan jeszcze wiele nauczyć. Nasza praca nie kończy się na wysuwaniu podejrzeń. Wszystko trzeba doprowadzić do końca. – Wexford przerwał. „Trzy godziny”, pomyślał. To pokrywało się z czasem przybycia do Ruby, wtedy właśnie sąsiadka słyszała podejrzanego odgłosy i dostrzegła dwoje ludzi wychodzących chwiejnym krokiem z domu Ruby Branch.

– Musiał pan chyba widzieć gości przybywających na przyjęcie? Czy nikt z nich pana nie zauważył?

– Zaparkowałem za rogiem, obok pralni, do momentu aż się ściemniło. – Jego twarz spochmurniała. – Widziała mnie ta dziewczyna... – dodał.

– Jaka dziewczyna?

– Dziewczyna ze sklepu Grovera.

– Widział ją pan o siódmej kupując gazetę – powiedział Wexford starając się zachować cierpliwość. – A nas nie interesuje to, co pan robił o siódmej.

Na twarzy Kirkpatricka malowała się złość.

– Widziałem ją po raz drugi – powiedział. – W Stowerton.

– Nie wspomniał pan o tym wcześniej. – Inspektor był już wyraźnie zniecierpliwiony.

– Jest mi już niedobrze od tego wszystkiego. Robię tylko z siebie głupka. – Kirkpatrick był urażony. – Rzygać mi się chce. Jak się to skończy, rzucę swoją pracę. Może ktoś musi sprzedawać mydło, puder i szminki, ale nie ja. Mam dość. Wolę zostać bez pracy – zacisnął pięści. – Jeśli się w ogóle z tego wszystkiego wypłaczę – dodał.

– A ta dziewczyna? – zapytał główny inspektor. – Gdzie pan ją widział?

– Zaparkowałem w bocznej uliczce, na tyłach pralni. Ona nadjechała samochodem i stanęła na światłach. Stałem wtedy przy swoim wozie. Możecie nie pytać, która to była godzina, bo nie wiem – zaczerpnął powietrza. – Spojrzała na mnie i zachichotała. Na pewno nie będzie o tym pamiętać... Stanowiłem jedynie powód do kpin stojąc przy tym pieprzonym pojeździe. Lipdew! Niezły śmiech. Podejrzewam, że myśląc o mnie pęka ze śmiechu za każdym razem, kiedy myje swoje...

Drayton posiniał ze złości i zrobił krok do przodu zaciskając palce w pięści.

– W takim razie ona powinna o tym pamiętać, prawda?... – Wexford przerwał prędko, aby uciąć ostatnie słowo, które mogło być zarówno niewinne, jak i grubo nieprzyzwoite.

## ROZDZIAŁ XI

Słońce doskonale goi rany. Pierwsze promienie wiosny swoim ciepłem paradoksalnie spowodowały ochłodzenie gniewu Draytona. Ochłonął już. Przechodząc przez ulicę mógł znowu myśleć spokojnie, a nawet kpiąco i ironicznie, o Kirkpatricku. Uważał tego człowieka za skończonego idiotę, żalosne i zniewieściałe indywiduum będące na kretyńskiej posadzce i w dodatku wyśmiewane i wytykane przez kobiety. Ten jego handelek i koszmarny, różowo-fioletowym samochód! Pewnego dnia jakiś perfumeryjny plutokrata będzie mu kazał przebrać się za arlekina z pędzelkiem do pudru na głowie, chodzić od domu do domu i rozdawać mydełka wszystkim tym kurom domowym, które będą mieć kupony i potrafią ślicznie wyśpiewać slogan reklamowy. Stał się kukłą i niewolnikiem.

Sklep był pusty. Wszystko wskazywało raczej na czas przerwy obiadowej, ogólnie przyjętą sjęstę. Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał donośnie. Padające przez okno promienie słońca sprawiały, że wewnątrz sklepu wyglądało obskurnej niż zwykle. Kłęby kurzu w dziwnym tańcu przesuwały się po brudnej podłodze. Stał, oczekując pierwszych oznak poruszenia wywołanego przez dzwonek. Mógł to być szmer szurających stóp albo odgłos przypominający upadek pokrywy od garnka, czy też niski, skrzeczący głos nawołujący Lindę. Zbiegła na dół trzymając w ręce ścierkę do naczyń. Kiedy go zobaczyła, niepokój znikł z jej twarzy. Była jednak niezadowolona.

– Przychodzisz za wcześnie – powiedziała. – Dużo za wcześnie.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach było coś, co nie spodobało się Draytonowi. To spojrzenie emanowało triumfem i samozadowoleniem. Sądziła zapewne, że on nie może się już doczekać ich wieczornego spotkania. Było dopiero wpół do drugiej. Tego właśnie chciały, żebyś się czuł słaby, wiotki i podatny na ich wdzięki. Jak kawał miękkiego drutu dowolnie modelowany giętkimi palcami. Potem odrzucały cię jak zgniłe jabłko. Wystarczył przykład Kirkpatricka.

– Nie mogę wyjść – powiedziała – muszę zostać w sklepie.

– Musisz pójść tam, dokąd chcę cię zabrać – powiedział chłodno. Zdawał się nie pamiętać o swojej złości na słowa Kirkpatricka i o uniesieniu poprzedniej nocy, uczuciu, które rodziło się między nimi. Kimże ona w końcu była? Sprzedawczynią ze sklepu... I to jakiego sklepu! Proszą dziewczyną, zastraszoną przez ojca, robiącą za służącą. – Pójdziemy na posterunek



policji – dodał.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Co zrobimy? Wyglupiasz się, czy co?

Słyszał różne historyjki o sklepie Grovera, o rzeczach, jakie sprzedawano tu spod lady.

– To nie ma żadnego związku z twoim ojcem – zapewnił ją.

– To czego ode mnie chcą? Czy chodzi o to ogłoszenie?

– W pewnym stopniu tak. Nie przejmuj się. To tylko formalność.

– Mark – spojrzała mu w oczy – Mark, przestraszyłam się.

Słońce spływało po jej ciele niby rzeka złota. „To sprawa czysto fizyczna”, pomyślał. „Normalna pokusa, może tylko trochę silniejsza niż zwykle”. „Wystarczy raz na jakiś czas powtarzać wypadki poprzedniej nocy”. Podeszła do niego bliżej, uśmiechając się. Była trochę zdenerwowana.

– Wiem, że nie miałeś tego na myśli, ale nie wolno ci mnie straszyć.

Jej uśmiech drażnił go i zarazem podniecał. Stał sztywno, oddzielony od niej promieniami słońca. Pragnął jej w tej chwili tak mocno, że potrzebował wszystkich sił, aby opanować się i rzucić:

– Chodźmy. Powiedz rodzicom, że to potrwa długo.

Zabrało jej to dwie minuty. W tym czasie Drayton rozglądał się po sklepie, próbując znaleźć jakąś rzecz, która nie byłaby tania, krzykliwa, nieprzyzwoita czy też nędzna i brudna. Kiedy zeszała na dół, zauważył, że nie przebrała się i jest bez makijażu. Odczuł dziwne uczucie zadowolenia z tego faktu, ale i pewną irytację. Jej wygląd mógł sugerować arogancję, niedbałość o opinię ludzi, co było przecież zgodne z jego własnym sposobem zachowania. Nie chciał, aby łączyły ich takie cechy. Wystarczyło, że potrzebowali siebie nawzajem i znajdowali wzajemną satysfakcję na pewnym, określonym przez niego, poziomie.

– Jak się miewa twój ojciec? – spytał, po czym zorientował się, że był to tylko pusty, wytarty banał.

Zaśmiała się.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, czy tylko się zgrywasz?

– Naprawdę. – „Niech ją diabli za czytanie w myślach!”

– Ma się dobrze – odparła. – A tak właściwie to chyba nie. Mówi, że to agonia. Trudno powiedzieć. To taka dziwna choroba, nic po nim nie widać.

– Wydaje mi się, że twój tatuś zachowuje się jak dozorca niewolników.

– Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni. Lepiej już, jak to jest własny ojciec niż obcy facet.

Stała w drzwiach wystawiając twarz do słońca. Przeciągnęła się jak giętkie, złote zwierzę.

– Kiedy będą ze mną rozmawiać – odezwała się – to też tam będziesz, prawda?

– Pewnie, że będę – zamknął za nimi drzwi. – Nie zachowuj się tak, bo stracę panowanie

nad sobą i będę chciał zrobić to, co zeszłej nocy.

Ledwo powstrzymał się przed wzięciem jej w ramiona. „O mój Boże, co to za dziewczyna!”, pomyślał.

„Było coś pomiędzy tym dwojgiem”, pomyślał Wexford. Niewątpliwie Drayton podrywał ją po drodze. Tylko to mogło tłumaczyć spojrzenie, które rzuciła mu siadając na krześle, spojrzenie wydające się prosić go o pozwolenie... Cóż, zawsze podejrzewał, że Drayton jest podatny na kobiece wdzięki, a dziewczyna była całkiem ładna. Widywał ją, odkąd była dzieckiem, ale nigdy wcześniej nie zauważył zgrabnego kształtu głowy i wdzięku, z jakim się poruszała. Do tej pory nie patrzył na nią jak na dorosłą kobietę.

– No więc, panno Grover – rzekł – chciałbym, aby pani odpowiedziała na kilka rutynowych pytań.

Uśmiechnęła się słabo. Wexfordowi wydała się pruderyjna w tej swojej skromności.

– Wiem, że zna pani pana Kirkpatricka. Jest waszym klientem.

– Czy rzeczywiście? – obejrzała się do tyłu na stojącego tam Draytona.

Zirykowało to Wexforda. Za kogo ona uważała tego młodzieńca? Może za swojego adwokata?

– Jeżeli nie zna pani jego nazwiska, to może zna pani jego samochód? Prawdopodobnie mijają go pani przed chwilą na zewnątrz.

– Ten śmieszny różowy pojazd w kwiatki? – Wexford kiwnął głową. – Tak, znam go.

– Bardzo dobrze. Chciałbym, żeby się pani cofnęła pamięcią do zeszłego wtorku. Czy była pani tego dnia wieczorem w Stowerton?

– Tak – odparła bez namysłu. – Zawsze tam jeżdżę we wtorki. Zabieram brudną bieliznę do pralni samochodem ojca – przerwała, a na jej świeżej, młodej twarzy malowało się znużenie. – Mój tata jest chory, a mama prawie co wieczór gra w wista z przyjaciółmi.

„Po co szuka u mnie zrozumienia?”, zastanowił się Wexford. Natomiast to napomknięcie o rodzicach wydawało się zrobić duże wrażenie na Draytonie. Jego ciemna twarz zadrżała, a usta ściągnęły się.

– W porządku, Drayton. – Wexford starał się być uprzejmy – nie będę cię już potrzebował.

Kiedy zostali sami, dziewczyna spytała, nim zadał kolejne pytanie:

– Czy ten mężczyzna, jak mu tam, widział mnie? Bo ja go widziałam.

– Jesteś pewna?

– Tak, znam go. Wcześniej tego wieczora kupował u mnie gazetę.

– Czy to na pewno nie był pusty samochód? Czy jesteś absolutnie pewna, że on tam siedział?

Przygładziła ręką włosy.

– Nie znałam tego samochodu. Przedtem miał inny.

Zachichotała nerwowo.

– Kiedy go w nim zobaczyłam, to mnie bardzo rozśmieszyło. Widzi pan, on jest taki zarozumiały i ten samochód...

Wexford obserwował ją. Nie czuła się swobodnie. A tak wiele zależało od jej odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Los Kirkpatricka był teraz w jej rękach. Jeżeli kłamał...

– Która to była godzina? – spytał.

– Późna – odpowiedziała pewnie. Jej wargi były jak migdałowe płatki, zęby miała idealne. Trochę szkoda, że pokazywała je tak rzadko. – Byłam w pralni. Wracałam do domu. To musiało być gdzieś kwadrans po dziewiątej.

Westchnął mimo woli. Ktokolwiek był w domu Ruby, pozostawał tam jeszcze o tej porze.

– Zatrzymałam się przy światłach na skrzyżowaniu – powiedziała cnotliwie.

„Ona jest jak dziecko”, pomyślał. „Nie odróżnia mnie od policjanta z drogówki”. Czy spodziewała się, że inspektor jej pogratuluje?

– Parkował obok warsztatu.

– Cawthorne’a?

Przytaknęła głową.

– Widziałam go w tym samochodzie. To był na pewno on.

– Czy jesteś pewna, że było koło dziewiątej? – Wexford zauważył, że dziewczyna nie nosi zegarka.

– Wracałam właśnie z pralni. Tam spojrzałam na zegar.

Nie mógł zrobić nic więcej. Może to wszystko było prawdą...

Nie mieli przecież ani ciała, ani żadnych niezbitych dowodów przeciwko Kirkpatrickowi. Ojcowski impuls kazał mu się uśmiechnąć i powiedzieć:

– W porządku, panno Grover, może już pani lecieć. Pan Kirkpatrick powinien być już pani wdzięczny.

Trudno było zinterpretować spojrzenie jej dużych, szarych oczu. Mogło oznaczać szczęście i zadowolenie spowodowane zakończeniem przesłuchania. Jej odejście pozbawiło gabinet części jasności i ciepła, mimo iż słońce nadal mocno świeciło. Pozostał jedynie zapach perfum, zbyt intensywnych dla jej czystej niewinności.

– Ta dziewczyna została przekupiona – zauważył gniewnie Burden.

– Może masz rację...

– Nie powinniśmy byli wypuszczać stąd wczoraj tego faceta.

Wexford westchnął.

– Nie było powodów, żeby go tu zatrzymać. Zgadzam się z tobą, że najprawdopodobniej wymyślił sobie alibi po wczorajszej wizycie u nas i poszedł prosto do sklepu Grovera. Ta dziewczyna nie zachowywała się swobodnie.

– Wątpię, czy istnieje jakiś Grover, który nie zrobiłby wszystkiego dla pieniędzy – powiedział Burden. – Jaki ojciec, taka córka...

– Biedne dziecko. Niewiele ma z tego życia. Całymi dniami uziemiona w tej małej, brudnej dziurze, a wieczorem musi jeszcze wozić pranie, bo jej matka gra w wista...

Burden przyjrzał mu się zdziwiony. Wyraz twarzy szefa wyrażał ojcowską dobroć, prawie tkliwość. Zastanawiające... Gdyby Wexford był takim pantoflarzem jak on sam, to jeszcze mógłby uwierzyć w szczerść jego uczuć... Ale istniały pewne granice...

– Sir, jeżeli on był przed domem Cawthorne’a – zaczął Burden – i jeżeli był tam rzeczywiście po dziewiątej, to jest czysty i marnujemy tylko czas przesłuchując go. Zakładając zaś, że dziewczyna kłamała i on to zrobił, to mógł się pozbyć ciała Anity gdziekolwiek po drodze stąd do Szkocji. Może leży gdzieś w rowie i nikt jej nigdy nie znajdzie?

– A tam, gdzie jest ciało, jest narzędzie zbrodni.

– Albo mógł pojechać w znane sobie rejony lasu Cheriton i tam zostawić ją w tych gęstych kniejach sosnowych...

– Ale dopóki nic więcej nie wiemy, Mike, szukanie tego ciała jest bezsensowne. Oczywiście strata czasu.

– Nie miałbym nic przeciwko przesłuchaniu Kirkpatricka jeszcze raz – powiedział Burden z nagłym okrucieństwem w głosie. – I to najchętniej w obecności jego żony.

– Nie. Dajmy mu trochę odpocząć. Najważniejszą rzeczą dla mnie jest to, czy on przekupił tą dziewczynę, czy nie. – Wexford uśmiechnął się krzywo. – Mam nadzieję, że ona będzie skłonna zwierzyć się Draytonowi.

– Draytonowi?

– Wzajemne przyciąganie płci odmiennych. Ten jego ponury wzrok powinien na nią zadziałać – głos Wexforda stał się nieprzyjemny. – Chyba, że widzisz siebie w tej roli? Przepraszam, zapomniałem... Nie podobałoby się to twojej żonie. Ani sobie, ani Martinowi nie powierzyłbym tak romantycznej misji do spełnienia.

– W takim razie zamienię z nim słówko...

– Wydaje mi się, że nie ma takiej konieczności. O ile się nie mylę, możemy tę sprawę spokojnie powierzyć naturze.

## ROZDZIAŁ XII

Zapalniczka leżała w słońcu na biurku. Była przyjemnie ciepła, kiedy główny inspektor wziął ją do ręki. Sploty i liście jej winnego wzoru delikatnie błyszcząły.

– Griswold na mnie najeżdża – powiedział.

Na dźwięk nazwiska ich głównego szefa Burden skwasił się.

– Według niego ta sprawa nie powinna przybrać poważniejszego obrotu. Nie chce, abyśmy ją traktowali jako dochodzenie w sprawie o morderstwo. Nieprzekonujące dowody i tak dalej... Możemy jeszcze trochę powęszyć i to wszystko...

– Całe to zamieszanie tylko po to, żeby wsadzić Monkeya Matthews'a na jeszcze kilka miesięcy? – spytał gorzko Burden.

– Plama na dywanie była wytworem wyobraźni Ruby, Anita Margolis jest gdzieś na wakacjach, zataczająca się para była nachlana, a Kirkpatrick to zastraszony przez żonę biedak. – Wexford przerwał w zamyśleniu podrzucając w rękę zapalniczkę.

– Martin obserwuje dom Kirkpatricka – odezwał się Burden. – Nasz główny podejrzany nie ruszał się dziś z domu. A Drayton przypuszczalnie nadal kręci się koło tej dziewczyny. Czy mam ich odwołać, sir?

– A cóż innego moglibyśmy robić? Nic ciekawego się przecież nie dzieje. A innymi sprawami, na które szukam odpowiedzi, Griswold nie jest zainteresowany. I tak nie sądzę, żeby udało nam się je rozwiązać w ciągu dwóch dni.

Burden wziął do ręki zapalniczkę i przez chwilę przyglądał się jej w ciszy, ściągnawszy usta.

– Ciekawe, czy to te same pytania, które chodzą mi po głowie. Gdzie ta zapalniczka została kupiona i kto dał ją Ann? Kim był pijaczek przed domem Cawthorne'a, który mówił do Kirkpatricka?

Wexford otworzył szufladę biurka i wyjął swój egzemplarz dodatku do „Daily Telegraph”

– Pamiętasz ten fragment o zerwaniu zaręczyn z Richardem Fairfaxem? Założę się, że to był on. Pani Cawthorne powiedziała, że wyszedł z przyjęcia koło jedenastej, a Cawthorne skarżył się, że zostawił jego szklaneczkę do brandy na jednej z pomp paliwowych.

– Rzeczywiście wszystko wskazuje na poetę – ponuro rzekł Burden.

– Pamiętasz, co mówiłem o Goeringu? – Wexford uśmiechnął się zobaczywszy

zmieszaną minę inspektora. – Według Kirkpatricka, tamten recytował fragment poezji Omara Khayyama. Sam kiedyś byłem bardzo zafascynowany tym poetą. Ciekawe, który wiersz cytował?

”Wielokroć rozmyślałem co też winiarze kupują.

Czy choć w połowie tak wyborne jest jak to czym handlują”

– A może „wymachiwał swoim zaczarowanym mieczem mordując wszystko co mu wpadło pod rękę?”

Burden wziął te słowa na serio.

– Raczej niemożliwe... Przybył do Cawthorne’ów o ósmej i nie wyszedł z przyjęcia przed jedenastą.

– Wiem, tak tylko żartowałem. W każdym razie, Griswold nie życzy sobie polowania na nowych podejrzanych bez oczywistych dowodów. To są rozkazy i muszę się ich trzymać.

– Mimo to, myślę, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli udam się na mały rekonesans do kilku jubilerów. Mielibyśmy oczywisty dowód, gdyby któryś z nich pamiętał, że sprzedał tę zapalniczkę Kirkpatrickowi albo nawet samemu Margolisowi. – Burden wsadził złoty przedmiot do kieszeni.

Wexford miał zamyślony wyraz twarzy, był całkowicie pochłonięty myślami. Nagle ożywił się i powiedział:

– Dzisiaj wcześniej zamykają. Trzeba się pospieszyć chcąc jeszcze zdążyć do sklepów.

Kiedy został sam, usiadł wygodnie w fotelu szukając w pamięci odpowiedniego dwuwiersza. Znalazłszy, aż zachichotał z radości. „Jakiej lampy przeznaczeniem jest prowadzić swoje dzieci zagubione pośród ciemności nocy?” Gdzieś tu leżała odpowiedź. W końcu zaczynał rozumieć, ale nie było to nic inspirującego. „Ślepe przeczucie – odpowiedziało Niebo” – rzekł na głos do szklanej figurki stojącej obok. „Tego właśnie potrzebujemy”, pomyślał.

Kirkpatrick opierał się o maskę swojego samochodu zaparkowanego przed barem „Olive & Dove”. Obserwował wejście do sklepu Grovera. Detektyw sierżant Martin od wczesnych godzin rannych miał oko na jego dom i ekstrawagancki samochód. Pani Kirkpatrick wyszła z dziećmi na zakupy i w momencie, kiedy Martin, ukryty w dogodnym miejscu pod lasem, zaczynał tracić już nadzieję, przed domem pojawił się sprzedawca kosmetyków, wsiadł do wozu i odjechał w kierunku Kingsmarkham. Śledzenie nie nastęczało wielkich trudności. Jego samochód był łatwą zwierzyną. Nawet przejeżdżający autobus czy sygnalizacja świetlna zmieniająca się na czerwone w nieodpowiednim momencie, nie mogły na długo skryć Kirkpatricka przed oczami policjanta.

Poranek był ciepły, a powietrze niesło obietnicę nadchodzącego lata. Nad Kingsmarkham

unosila się delikatna, złotawa w promieniach słońca mgielka. Z kwiaciarni wyszedł właściciel, aby ustawić wazon z fioletowymi tulipanami na trotuarze przed sklepem.

Kirkpatrick zajął się czyszczeniem szkieł okularów przeciwsłonecznych używając w tym celu podszewki od swojej sportowej kurtki. Potem ruszył wolno chodnikiem. Martin zdążył przejść przez jezdnię przed nim, wtapiając się w tłum przechodniów robiących zakupy. Zamiast się udać prosto do sklepu papierniczego, mężczyzna przystanął na chwilę przed kwiaciarnią przyglądając się fiołkom, doniczkom z hiacyntami i tanim obecnie żonkilom. Spojrzał na wąską uliczkę dzielącą go od sklepu Grovera i na wąską, zimną ścianę, po czym odwrócił się szybko i skierował w drugą stronę. Powzięcie decyzji zabrało Martinowi jakieś piętnaście sekund. Zdecydowanym krokiem wszedł do środka, a jego przybycie zasygnalizował dźwięk dzwonka.

– Tak? Czym mogę służyć? – Linda Grover stała przy tylnych drzwiach prowadzących do mieszkania.

Mrużąc oczy, aby je przyzwyczać do panującego mroku, Martin powiedział wymijająco:

– Chciałbym się tylko rozejrzeć.

Znał ją ze słyszenia, ale miał pewność, że ona go nie poznaje.

– Szukam kartki urodzinowej – dodał.

Obojętnie wzruszyła ramionami i wzięła do ręki czasopismo. Martin przeszedł w głąb sklepu. Za każdym dźwiękiem dzwonka podnosił wzrok znad półki z kartkami. Wszedł mężczyzna chcący kupić cygara, potem kobieta z pekińczykiem, która pragnęła wypożyczyć jakąś książkę. Udała się do szafki ze zniszczonymi, pobrudzonymi książkami. Martin błogosławił fakt jej przybycia. Jedna osoba ślęcząca w ciemnościach wyglądała podejrzanie, dwie natomiast nie rzucały się w oczy. Miał nadzieję, że wybieranie książki zajmie jej wystarczająco dużo czasu. Pies wsadził pyszczek pod nogawkę jego spodni i mokrym nosem dotykał nagiej skóry jego nogi.

Byli jedynymi klientami w sklepie, kiedy pięć minut później wszedł Alan Kirkpatrick z paczką zapakowaną w czerwonozłoty papier.

Czerwony i złoty były firmowymi kolorami „Joy Jewels”. Podłogę sklepu wyścielała szkarłatna wykładzina, połączone gipsowe figurki przeżyły się na czerwonych kolumnkach poobwieszane sznurkami sztucznych diamentów. Ogromna ilość przeróżnych świecidełek, będących najprawdopodobniej niczym innym, jak umiejętnie przyciętymi szkiełkami, ścigała i odbijała migocące promienie słoneczne. Na ladzie leżała rolka wzorzystego papieru pakowego, czerwonego w złote listki. Kiedy do środka wszedł Burden, sprzedawca odłożył trzymane w ręku nożyczki i przyjrzał się trzymanej przez inspektora zapalniczce.

– Nie sprzedajemy zapalniczek. A poza tym wątpię, czy ktokolwiek w tej okolicy skusiłby się na coś takiego.

Burden pokiwał głową. Podobną odpowiedź otrzymał już w czterech innych sklepach

jubilerskich.

– To dzieło sztuki – powiedział sprzedawca i uśmiechnął się tak jak ktoś, komu pokazano coś pięknego i rzadkiego.

– Osiem czy dziewięć lat temu mogło być nawet nabyte w tym miejscu.

Dziewięć lat temu Anita Margolis była jeszcze dzieckiem.

– Jak to? – spytał Burden bez większego zainteresowania.

– Nim przejęliśmy ten interes od Scatcherda. W tamtym czasie był podobno najlepszym jubilerem między Londynem a Brighton. Stary pan Scatcherd ciągle jeszcze mieszka na górze. Jeśli chciałby pan z nim porozmawiać...

– Obawiam się, że byłaby to strata jego i mojego czasu.

Dziewięć lat temu to stanowczo zbyt dawno. Teraz był kwiecień, a Anita Margolis zapalała swoje papierosy zapałkami jeszcze w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Szedł wzdłuż York Street pod równo przyciętymi drzewami.

Słońce rzucało migotliwe plamki na ich szarżółtą korę, a drobne, młode listki tworzyły podobny migotliwy cień na chodniku. Pierwszą rzeczą, jaką inspektor zauważył wchodząc na High Street, był samochód Kirkpatricka zaparkowany przed barem. Jeżeli Martin go zgubił... Ale nie. Wóz sierżanta stał niedaleko, na skraju żółtej linii. Burden zatrzymał się na moście i przez chwilę obserwował łabędzie, samca i samiczkę symetrycznie sunących po wodzie, okazujących przywiązanie do siebie i swojej rzeki. Brązowa toń wolno przepływała pod jego stopami popychając niewielkie, zaokrąglone kamienie. Burden czekał.

Twarz dziewczyny spochmurniała na widok Kirkpatricka. Zlustrowała go od stóp do głów, po czym zamknęła czasopismo dla dzieci przytrzymując palcem stronę, którą akurat czytała.

– Tak?

– Właśnie przejeżdżałem – odezwał się zakłopotany – i pomyślałem sobie, że wpadnę i pani podziękuję.

Martin wybrał kartkę urodzinową. Zrobił dziwaczną, trochę sentymentalną minę tak, że kobieta z pekińczykiem mogła sądzić, że podziwia wypisane w środku hasło.

– To dla pani, w dowód mojej wdzięczności – Kirkpatrick postawił paczkę pomiędzy gazetami a tacką z czekoladkami.

– Nie chcę od pana żadnych prezentów – powiedziała dziewczyna twardo. – Nic przecież nie zrobiłam. Naprawdę widziałam pana wtedy.

Jej duże, szare oczy były przestraszone. Mężczyzna nachylił się tak, że jego brązowe loki prawie dotykały jej jasnej głowy.

– No tak – powiedział ze zrozumieniem – widziała mnie pani, ale przecież...

Przerwała gwałtownie:

– Już po wszystkim. Załatwione. Nie będą już mnie niepokoić.



– Nie jest pani ciekawa, co jest w pudełku?

Odwrociła się spuściwszy głowę jak wiosenny kwiat na delikatnej łądze.

Kirkpatrick zdjął czerwono-złoty papier i z wyłożonego różową watą pudełka wyjął sznur migoczących koralików. Były to małe, ostre, metalicznie błyszczące kamyczki w kolorach tęczy. „Sztuczne diamenty” pomyślał Martin.

– Niech pan to da swojej żonie – rzekła. Ręką pogładziła się po szyi, nawijając na palce srebrny łańcuszek. – Nie chcę tych koralików. Mam prawdziwą biżuterię.

Twarz mężczyzny stężała. Wrzucił koraliki do jednej kieszeni, a do drugiej wsadził wymiętoszony papier. Kiedy wyszedł zatraskując za sobą drzwi, Martin podszedł do dziewczyny trzymając w ręku kartkę.

– „Dla mojej najdroższej Babci?” – ironicznie i kpiąco przeczytała napis i przypuszczała, że przygląda się jego siwiejącym włosom. – Jest pan pewien, że o tę kartkę panu chodziło?

Przytakująco pokiwał głową i zapłacił. Śledziła go wzrokiem i kiedy na nią spojrzał, zobaczył, że się uśmiecha. Wyszedł ze sklepu. Na moście natknął się na Burdena.

– A to co? – spytał inspektor spoglądając na kartkę. Pomyślał, że Drayton zachowałby się subtelniej. Spoglądał w dół na przepływającą wodę brązowo-bursztynowe refleksy rzucające przez kamienie, podczas kiedy Martin referował mu to, co usłyszał w sklepie.

– Chciał jej podarować okazały naszyjnik – mówił. – Zapakowany w czerwono-złoty papier.

– Ciekawe... – Burden zamyślił się. Zastanawiam się, czy on zawsze robi zakupy w „Joy Jewels”. Może wiele lat temu, wtedy, kiedy ten sklep należał jeszcze do Scatcherda, kupił tam zapalniczkę...

– I ostatnio dał do grawerowania dla tej dziewczyny... – odpowiedział Martin.

– Możliwe. – Przez cały czas rozmowy Burden obserwował Kirkpatricka siedzącego za kierownicą w swoim samochodzie. W tej chwili mężczyzna wysiadł z wozu i wszedł do baru „Olive & Dove”.

– Twój człowiek ruszył się z miejsca – zwrócił się do Martina – i poszedł utopić swoje smutki. Kto wie? Może jak sobie wypije, będzie skłonny zaoferować te błyskotki głównemu inspektorowi... Bo z całą pewnością nie ofiaruje ich swojej żonie.

Mgielka zaczynała się podnosić. Robiło się coraz cieplej. Inspektor zdjął płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię. Postanowił ostatni raz spróbować dowiedzieć się, skąd pochodzi zapalniczka i jeżeli jego dociekanie okazałoby się bezowocne, to podda się i spotka z Wexfordem na lunchu w restauracji „Carousel”. Ale czy to miało sens; czy przypadkiem nie za bardzo się tym wszystkim przejmował? Może lepiej byłoby udać się najpierw na herbatę. Było zbyt wcześnie, nie serwowano jeszcze obiadów w restauracji. Przypomniał sobie małą kafejkę znajdującą się niecałe sto metrów od mostu, za zakrętem. Podawano tam dobrą, mocną herbatę i świeże ciastka przez cały dzień. Przeszedł przez ulicę i udał się wzdłuż Kingsbrook Road.

Zastanowiło go, że w tej części miasta mgła w dalszym ciągu ciężko zalega nawet na wyższych wzniesieniach. Miała ciemny, ochrowy kolor. Przeszedł obok wysokich domów i przystanął za rogiem. Przez tumany czegoś, co okazało się nie być mgłą, tylko pyłem tynkowym, zobaczył tablicę informacyjną przedsiębiorcy budowlanego: „Budynki do rozbiórki. Co pnie się w górę, musi kiedyś opaść”. Z tyłu, w miejscu, gdzie stał dom, w którym znajdowała się jego kafejka, stała połowicznie zburzona, pochyła ściana z wyrwanymi podłogami, fasadą i dachem. Wśród gruzów czegoś, co było kiedyś eleganckim, kamiennym budynkiem, stała prowizorycznie drewniana chatka, na progu której trzech robotników siedziało jedząc kanapki.

Burden pokiwał smętnie głową i ruszył z powrotem. Stare miasto powoli i okrutnie umierało. Piękno i wdzięk były obecnie niemile widziane i niewygodne. Burzono stare budynki, w ich miejsce stawiano nowe – wspaniałe i okazałe, takie jak posterunek policji. Nowe gmachy potrzebowały z kolei nowej kanalizacji i doprowadzenia kabli, a konieczne w tym przypadku przekopywanie ulic zabijało wiekowe drzewa. Na miejscu starych sklepów powstawały nowoczesne butik, sztuczne świecidełka i połączane figurki gipsowe zastępowały najlepszych jubilerów od Londynu do Brighton...

Przypomniawszy sobie, co zamierzał dzisiaj zrobić. Marnowanie czasu na wspominki o przeszłości nie miało sensu. Skoro nie dane mu było wypicie herbaty, to z pewnością nie zamierzał odkładać lunchu. Wcześniej jednak uda się jeszcze w jedno miejsce.

Pan Scatcherd kojarzył się Burdenowi z bardzo starą i bardzo uprzejmą papugą. Ogromny, zakrzywiony nos stanowił najbardziej rzucający się w oczy szczegół jego miłej i wesołej twarzy. Ptasię wrażenie potęgowała jaskrawożółta kamizelka i włochate spodnie wyglądające jak upierzone.

Pokoje nad sklepem, które zajmował, mogłyby być ogromnym gołębnikiem albo też orlim gniazdem, takie były przestrzenne i przewiewne. Z ich okien zobaczyć można było czubki szemrzących gęstą zielenią drzew.

Policjant został wprowadzony do salonu, którego umeblowanie najwyraźniej nie było zmieniane od zeszłego wieku. Zamiast jednak brudno-monotonnych brązów i czerwieni kojarzących się z dziewiętnastym wiekiem, plusze i welwety zaskakiwały żywymi barwami: pawiozielonymi, błyszczącymi purpurami, brązami i niebieskościami. Zwisający z sufitu żyrandol mrugał w słonecznym blasku jak garść diamentów rzucona i zawieszona w bezmiarze kosmosu. Grube, jedwabne poduszki ze złotymi frędzlami połyskiwały zielonkavo-błękitnymi licami. Siadając w brokatowym bujanym fotelu Burdenowi przyszło na myśl, że znajdowały się tutaj przedmioty, za które Cawthorne oddałby wszystko... Nawet swoje przepite oczy.

– Zazwyczaj o tej porze piję szklaneczkę Madery zagryzając ją herbatnikiem – odezwał się pan Scatcherd. – Może zrobiłby mi pan uprzejmość i towarzyszył mi?

– To bardzo miłe z pana strony – odparł Burden.

Był to poczęstunek, jakiego nie miał okazji kosztować, a nadal jeszcze żałował, że pozbawiono go jego herbaty tak, jakby miasto pozbawiono chwały. – Z przyjemnością.

Słodki, uprzejmy uśmiech powiedział mu, że takiej właśnie oczekiwano odpowiedzi.

– To tylko słaby odcień granatu – mówił stary jubiler wnosząc wino na japońskiej tacce. – Nie jest to prawdziwy rubin. – Surowy, dydaktyczny ton konesera wdarł się w jego łagodny głos. – Czerwone, rubinowe wino to zupełnie co innego. Co pan tam dla mnie ma?

– To.

Dłoń, która sięgnęła po zapalniczkę, była szara i szponowata, z długimi, ale nieskazitelnie czystymi paznokciami.

– Czy to możliwe, żeby pochodziła z tych okolic? Czy też rzeczy tego rodzaju można dostać tylko w Londynie?

Pan Scatcherd nie słuchał go. Podeszedł do okna i ze znużeniem kiwał głową dokładnie oglądając zapalniczkę przez małą, kieszonkową lupkę.

– „Les grappes de ma vigne” – odezwał się w końcu. Burden słuchał uważnie. – To nazwa wzoru. Winogrona mojej winorośli... To Baudelair. Być może nie zna pan tego wiersza. Bardzo odpowiednie jak na prezent od kochanka. – Uśmiechnął się delikatnie i z wyraźną rozkoszą, odwracając zapalniczkę. – I była takim prezentem – rzekł czytając wygrawerowany napis. – Śliczna dedykacja dla prawdziwej damy.

Burden nie rozumiał, co tamten miał na myśli.

– Pan to zna? – spytał. – Widział pan już kiedyś tę rzecz?

– Kilka lat temu. – Żyrandol rzucał na ściany różowo fioletowo-zielone refleksy. – Siedem czy osiem... – Jubiler promieniał dumą. Na jego łysej głowie odbijały się tęcze plamki. – Znam ten wzór – rzekł – i doskonale pamiętam inskrypcję.

– Ależ to niemożliwe. Napis został wykonany niedawno!

– Na pewno nie. Nie ma pan racji. Zostało to wykonane, zanim przeszedłem na emeryturę... Przed sprzedażą interesu „Joy Jewels”... – Słaby uśmiech kpiącego ubliżenia wygiął jego usta, a oczy zabłyśły mu, kiedy wymawiał nazwę swoich następców.

– Mój drogi inspektorze – odezwał się – powinienem to wiedzieć. To ja sprzedałem tę rzecz.

## ROZDZIAŁ XIII

– Komu on to sprzedał? Kirpatrickowi?

Burden powiesił swój płaszcz przeciwdeszczowy na biurowym wieszaku i postanowił obejść się bez niego przez resztę dnia. Wexford uważnie studiował raport laboratoryjny siedząc przy biurku.

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – powiedział Burden. – Stary Scatcherd nie sprzedał nic od ponad siedmiu lat, a w tamtym czasie nie było tutaj Anity, ba!, najprawdopodobniej nie wiedziała nawet, że taka miejscowość jak Kingsmarkham istnieje. Kirkpatricka również tutaj nie było, bo te domy, gdzie mieszka, stoją dopiero od roku. Poza tym, jak na człowieka w tym wieku, Scatcherd ma doskonałą pamięć i twierdzi, że nigdy nie miał klienta o takim nazwisku.

– Posłuchaj, Mike – odezwał się Wexford z obrzydzeniem patrząc na raporty leżące na biurku – czy sądzisz, że będziemy w stanie dowiedzieć się, kto zakupił tę cholerną zapalniczkę?

– Scatcherd sprawdza to w swoich księgach. Mówi, że zajmie mu to kilka godzin. Ale wie pan, zaczynam podejrzewać, że Anita po prostu znalazła to gdzieś na ulicy i zatrzymała, bo napis był odpowiedni.

– Znalazła! – ryknął Wexford. – Więc myślisz, że ktoś zgubił tę zapalniczkę, Anita Margolis ją znalazła i potem znowu zgubiła u Ruby? Nie bądź śmieszny! To nie rękawiczka czy stara parasolka, tylko wartościowy przedmiot i mam wrażenie, że jest kluczem do naszej zagadki. A skoro ktoś to zgubił, to dlaczego nas o tym nie powiadomił? Dobrze byłoby, żebyś poszedł z powrotem do starego jubilera i wspomógł go swoimi młodymi oczyma. – Wexford wiedział, że sprawi tym przyjemność Burdenowi i nie mylił się. – Nigdy nic nie wiadomo – mówił. – Może się jeszcze okazać, że kupił ją dla niej Cawthorne albo Margolis lub przynajmniej ktoś, kto ma zielony samochód. W całym tym zamieszaniu musimy pamiętać, że jakkolwiek dziwacznie zachowuje się Kirkpatrick, to nie ma i nigdy nie miał zielonego pojazdu.

Po wyjściu Burdena wrócił do swojej nieciekawej lektury. Te nudne raporty laboratoryjne... W całej swej karierze nie spotkał się z czymś takim. Dowody dostarczone przez dywan mogły zadowolić jedynie producentów detergentów zastosowanych przez Ruby.

Odciski palców zdjęte z samochodu Anity zgadzały się ze znalezionymi w jej sypialni. Były tam wyłącznie odciski jej linii papilarnych. Futro z ocelotów dostarczyło jeszcze mniej informacji. Analityk sugerował, że zapach, którym było przesiąknięte, pochodzi z dobrych, markowych perfum. Wexford, znający się na tym dość dobrze, mógł im sam to powiedzieć, a nawet pokusić się o wymienienie perfum. W kieszeni miała wymięte pokwitowanie za benzynę, prawdopodobnie ze stacji Cawthorne'a. Wexford westchnął ciężko. Kto przyprowadził ten wóz pod dom o pierwszej w nocy i gdzie znajdował się przedtem przez cały wieczór? Dlaczego jej morderca, Kirkpatrick albo ktoś inny, nazwał się Geoffem Smithem, skoro bardziej naturalne i spodziewane byłoby, gdyby pozostał anonimowy?

U stóp pana Scatcherda leżał stos grubych, oprawionych zielonym safianem książek. Burden wykonał krok ponad nimi i usiadł na ozdobnym krześle.

– Bardzo dokładnie przejrzałem trzy ostatnie – powiedział jubiler nie okazując żadnego zniecierpliwienia – i wygląda na to, że musimy się cofnąć do roku pięćdziesiątego ósmego – uśmiechnął się miło, zdejmując oprawione w złoto okulary ze swojego papuziego nosa.

Burden wzdrygnął się. To już była pewna przesada... Dziewięć lat temu Anita Margolis miała czternaście lat. Czy dziewczynki w jej wieku dostawały od wielbicieli drogocenne złote zapalniczki, w ogóle jakiegokolwiek zapalniczki? To niemożliwe... Cokolwiek znaczyła ta sytuacja, było to jedno wielkie nieporozumienie. Wszystko postawione na głowie, jak w złym śnie. Zapalniczka była zakupiona w Kingsmarkham i jej nabywca mieszkał w tym mieście. Tutaj też śmierć spotkała jej właścicielkę. Niby proste, gdyby nie to, że nie zgadzały się ani daty, ani czas akcji i w dodatku ta ogromna ilość niezgodnych ze sobą faktów...

– Sądziłem, że jest nowa – powiedział.

– O nie, dobrze znałem artystę, który ją wykonał. Nie żyje już, co prawda, ale był kiedyś wspaniałym złotnikiem. Nazywał się Benjamin Marks, ale imię Ben kojarzyło mi się zawsze z innym mistrzem, może pan wie, kogo mam na myśli?

Burden spojrzał na niego tępo.

– Celliniego, inspektorze – powiedział pan Scatcherd głosem pełnym czci i szacunku. – Wielki Benvenuto. Mój Ben też był naturalistą na swój sposób. To właśnie z natury czerpał inspiracje. Pamiętam różę, którą kiedyś zaprojektował na damską puderniczkę. Widać było każdy pojedynczy płatek tych maleńkich kwiatków. Zrobił to na zamówienie pewnego eleganckiego pana...

– Na czyje zamówienie, panie Scatcherd? Nic mi to nie da, dopóki nie będę wiedział.

– Znajdziemy i to. Rozmowa na ten temat pomaga mojej pamięci. – Jubiler przewracał grube, zapisane kartki, paznokciem przesuwając po marginesach.

– Zbliżyliśmy się do końca pięćdziesiątego ósmego. Za każdym razem, kiedy zbliżam się do końca książki, robi mi się gorąco. Przypomina mi to Gwiazdkę i prezenty, które ludzie u mnie kupowali. Kiedyś sprzedałem taki pierścień...

Ostatnia strona. Burden zobaczył datę z końca grudnia wypisaną u góry. Miał przerażające wrażenie, że jeśli zapis tej sprzedaży nie znajdzie się ani w tej, ani w następnej księdze, to stary Scatcherd nie przerwie szukania i będzie tę czynność kontynuował godzinami, a może i dniami, aż dotrze do pierwszego wpisu dokonanego w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku przez swojego ojca.

Jubiler spojrział w górę z uśmiechem, ale ponieważ uśmiechał się w zasadzie przez cały czas, to Burden nie dostrzegł jakiegoś specjalnie zachęcającego znaku zadowolenia czy wynagrodzenia za trudy na jego pomarszczonej twarzy.

– No i proszę, jesteście – wymamrotał. – To ten pierścionek, o którym wspomniałem. Pan Rogers z Pomfret Hall zakupił obrączkę wysadzaną diamentami i szafirami. Bez wątpienia dla żony albo swej biednej córki. Pamiętam, że była obłąkana. – Kiwając głową ze smutkiem, kontynuował uważnie studiowanie. – Jestem pewien, że to nie było tego samego dnia. Może następnego... Dobrze, inspektorze, wydaje mi się, że do czegoś dochodzimy.

Z powracającą nadzieją Burden wstał, aby wziąć od niego księgę, ale stary jubiler trzymał ją mocno.

– No i jesteście – tym razem w jego głosie słycać było nutkę cichego triumfu. – „Złota zapalniczka; wzór Les grappes de ma vigne, wykonawca Benjamin Marks; dedykacja: Dla Ann, która opromienia moje życie”. Obawiam się, że niewiele to panu da. Bardzo popularne nazwisko. Ale mam jeszcze adres...

Burden był szalenie zaintrygowany.

– Jakie nazwisko? – spytał podekscytowany.

– Smith. Ta rzecz została sprzedana 15 grudnia 1958 roku panu Geoffreyowi Smith.

Wchodząc do „Carousel Cafe” na lunch, Wexford pomyślał, że bez wątpienia Drayton podchodzi do swoich obowiązków bardzo poważnie. W drugim końcu sali widać było jego płaszcz z kapturem niedbale przerzuconym przez krzesło. Rękawem zahaczał o stojącą obok doniczkę z aloesem. Mimo iż siedział tyłem do wejścia, w jego postawie wyczuwało się skupienie i pewne zaangażowanie. Ich rozmowa była bardzo ożywiona, żeby nie powiedzieć miłosna. Siedzieli bardzo blisko mając twarze nachylone do siebie. Widok Draytona głaszczącego dziewczynę po bladym policzku wywołał jego poważne zdziwienie, dziewczyna natomiast wyglądała na uszczęśliwioną. Nie widzieli go. Wexfordowi przyszło na myśl, że nie byłoby przesadą powiedzenie, że byli całkowicie pochłonięci sobą i nie zwracali uwagi na otaczający ich świat. Trochę zły na dziewczynę rozmyślał, jak długo jeszcze ta symulowana znajomość będzie potrzebna. W tym momencie wszedł do lokalu Burden.

– Co pan będzie jadł? – spytał.

– Placek cygański – odpowiedział Wexford. – Zamówiłem go dziesięć minut temu i już podejrzewam, że najpierw poszli upolować jakiegoś Cygana...

– Znalazłem go – poinformował Burden, a twarz głównego inspektora gwałtownie

zmieniła wyraz na kwaśny sceptycyzm.

Burden wyjaśnił przepaszająco:

– Sam pan powiedział, sir, że niektórzy ludzie rzeczywiście nazywają go Smith.

– To się panu udało – warknął Wexford. – Gdzie on mieszka?

– W Sewingbury.

Przyniesiono placek cygański i Burden zamówił to samo również dla siebie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie ma go w spisie ludności albo na listach wyborców. Mam nadzieję, że jest pełnoletni – zażartował.

– Chyba że mamy do czynienia z małym chłopcem kupującym zapalniczki dla małych dziewczynek.

Wexford podniósł widelec do ust i skrzywił się.

– Spece z naszego laboratorium mogliby trochę popracować nad tą potrawą. Założę się, że wyniki ich badań byłyby bardzo interesujące.

Z obrzydzeniem odepchnął na sam brzeg stolika miskę z surówką z zielonej papryki, którą serwowano w tej restauracji do każdego dania.

– A może nasz Smith jest obcokrajowcem, który zmienił nazwisko, ale nie został naturalizowany?

Burden stwierdził, że lepiej mu będzie rozmyślać z pełnym żołądkiem. Mimo obiekcji szefa miał ogromną ochotę na placek. Smakowity zapach rozchodzący się znad talerza Wexforda zaostrzył jego apetyt.

– Cały czas sugerowaliśmy się tym, że Smith to przezwisko – zaczął, a twarz mu się rozjaśniła, kiedy postawiono przed nim parujące danie. – A teraz wszystko wydaje się być już bardzo proste. Myślę, że wszystko pójdzie nam jak po maśle. Co pan na to, sir? Smith znał Anitę od lat i kiedy sprowadziła się tutaj z bratem, ich przyjaźń została odnowiona. W sobotę udał się swoim czarnym samochodem do Ruby, aby zarezerwować pokój. Samochód ten sprzedał następnego dnia lub w poniedziałek i zmienił na zielony. Podał Ruby swoje nazwisko, ponieważ nie przypuszczał, że będzie miał cokolwiek do ukrycia. Napad na Anitę był ostatnią rzeczą, jaką zamierzał zrobić. – Kiedy Wexford pokiwał głową, kontynuował pewnie: – Ann odwołała randkę z Kirkpatrickiem nie z powodu jego samochodu, ale dlatego, że miała go dosyć i zdążyła się umówić ze Smithem. Spotkała się z nim gdzieś w mieście, zostawiła własny samochód i pojechała jego wozem do Stowerton. Będąc u Ruby pokłócili się, może z powodu Kirkpatricka i on zaatakował ją nożem albo żyletką. Udało mu się wyciągnąć ją z domu i wsadzić do samochodu, ale umarła po drodze. Smith zawiózł jej ciało do swojego mieszkania w Sewingbury. Później, kiedy nikt go nie widział, udał się po jej samochód i odstawił go na Pump Lane.

– Kto wie? – Wexford odsunął na bok pusty talerz. – To nawet pasuje. W tej wersji Kirkpatrick występuje jedynie jako rywal, a wszystkie jego obawy spowodowane są strachem przed zemstą żony.

Sięgając po pieprz, Burden dopiero teraz zauważył Draytona. – W takim razie możemy naszą intrygę zdusić w zarodku.

– Nim rozwinie się za daleko? – Wexford wstał. – Dobrze, na razie zaakceptujemy wersję Kirkpatricka. Ciekawy jestem, czy ta historia spodoba się Griswoldowi i czy uzna on Smitha za naszego głównego podejrzanego?

Drayton był niezwykle zaabsorbowany rozmową z dziewczyną. Wyglądał jakby był w transie.

– Nie wiem, czy chcę, żeby moi ludzie angażowali się w jakieś podejrzone miłosne historie z Groverami... Z wyjątkiem kontaktów służbowych.

Podszedł do kasy, aby zapłacić rachunek. Nagle schylił się, żeby zawiązać sznurowadło. Pod stołem zauważył szczupłą, gołą nogę przyciśniętą do kolana Draytona. „Flirtujemy”, pomyślał sobie. Odebrał resztę i podchodząc do ich stolika kaszlnął. Drayton uniósł twarz i zamiast chłodnej gotowości Wexford zobaczył rozmarzone uniesienie.

– Drayton, co byś powiedział na wycieczkę do Sewingbury? – spytał.

Nim skończył, chłopak zerwał się na równe nogi przybrawszy swój zwykły wyraz twarzy.

– Już idę, sir.

– Możesz skończyć kawę.

„Dziewczyna jest rzeczywiście piękna”, pomyślał Wexford. „Z rodzaju tych, które kwitną przez kilka lat, a potem, przed trzydziestką, kurczą się i więdną jak słoma; jak złote kwiaty zamieniają się w pył”.

Mieszkanie Geoffreya Smitha, wraz z czterema innymi mieściło się w starym domu czynszowym na peryferiach Sewingbury. Budynek ten był bardzo wiekowy, zbudowany prawdopodobnie w tym samym czasie, co klasztor św. Katarzyny znajdujący się na jego tyłach. Okazałe schody zamykał szeroki korytarz, na którym były dwie pary drzwi. Numer drugi znajdował się po lewej stronie. Wexford nacisnął dzwonek. Dostojność tego miejsca nie pasowała do wysnutej przez Burdena „teorii noża”. Z drugiej jednak strony klient pana Scatcherda mógł z całym powodzeniem tutaj mieszkać. Mimo wszystko Burden nie był przygotowany na ujście tak eleganckiego wnętrza. Kiedy drzwi otworzyły się, przez moment patrzył nie na stojącą na progu kobietę, ale na rozciągający się za nią przestronny apartament z ogromnymi oknami. Gdyby nie puste ściany, mogłaby to być galeria obrazów, a nie zwykłe czynszowe mieszkanie. Światło padające przez okna tworzyło na podłodze dwa bliźniacze kwadraty. Pomiędzy nimi w ciemniejszym pasie stała kobieta.

Spojrzawszy jej w twarz Burden zorientował się, że już ją kiedyś widział. To ona próbowała sprzedać swoje klejnoty Knobby Clarkowi.

– Pani Smith? – spytał Wexford.

Właściwie nie spodziewali się, że powita ich radośnie, ale jej reakcja była doprawdy zadziwiająca. W oczach widać było strach i przerażenie. Podobnie mogłaby zareagować torturowana latami osoba w momencie, kiedy odroczonej jej karę ktoś próbował straszyć ją



powtórna udręką.

– O co chodzi? – spytała wymawiając każde słowo wolno i osobno.

– Spytałem, czy nazywa się pani Smith. Czy jest pani żoną Geoffreya Smitha?

Jej zmęczona, niegdyś ładna twarz, stężała.

– Proszę, idźcie stąd – powiedziała oschle.

Wexford spojrział jej prosto w twarz swoim wyuczonym, nieubłaganym wzrokiem i pokazał jej swoją legitymację. Rzadko kiedy wywoływała ona tak radosną reakcję. Kobieta w jednym momencie stała się przyjemnie łagodna. Uśmiechnęła się słabo.

– W takim razie proszę wejść do środka – powiedziała serdecznie, przypominając teraz ową kobietę ze sklepu Clarka. – Ciekawa jestem, co też panów tutaj sprowadza. – Burden by<sup>3</sup> pewien, że nie rozpoznała go. – Ale z pewnością nie muszę się was obawiać. To znaczy, cóż, nim przedstawiliście się, sądziłam, że mam do czynienia z typami, których samotna kobieta w żadnym wypadku nie powinna zapraszać do siebie.

Słabe wytłumaczenie jak na taki pokaz śmiertelnego prawie przerażenia. Mimo iż dzień był słoneczny, w mieszkaniu było bardzo chłodno. W zimie musiało tu być nie do zniesienia. Przechodząc przez frontowy pokój nie zauważyli żadnego pieca ani kaloryferów. Kobieta wprowadziła ich do drugiego pomieszczenia przez podwójne drzwi koloru kości słoniowej. Gdziekolwiek farba łuszczyła się i odpadając zostawiała jaśniejsze plamki. Umeblowanie pokoju nie harmonizowało z eleganckim wnętrzem. Meble były nowe, ale nie wykwiłne czy nowoczesne. Eleganckie, połyskujące okna wybijały się lśniąco pomiędzy skąpymi kawałkami kwiecistego materiału. Wszystko to można było przyrównać do kobiet z towarzystwa staczających się powoli, acz jednostajnie na dno.

– Chciałbym zobaczyć się z panem Smithem. Kiedy się go pani spodziewa?

– Sama chciałabym go zobaczyć. – Jej śniada, owalna twarz wyrażała zarówno ciekawość, jak i żal. Na krótkim nosie osadzone miała okulary. Odkąd wiedziała, kim są, jej strach ulotnił się i wyglądała na kobietę skorą do śmiechu, potrafiącą żartować z samej siebie. – Geoffrey rozwiódł się ze mną pięć lat temu – rzekła.

– A czy wie pani, gdzie moglibyśmy go teraz znaleźć?

– Nie nazywam się już Smith. Mam na nazwisko Anstey. Noreen Anstey. Powtórnie wyszłam za mąż – rzuciła Wexfordowi pełne życiowego doświadczenia i mądrości spojrzenie.

– Sądzę, że mogą mi panowie powiedzieć, dlaczego go szukają.

– To tylko rutynowe pytania, pani Anstey. – Nie widział potrzeby wplątywania tej kobiety w tę historię.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– To musi chodzić o coś delikatnego – powiedziała uśmiechając się łagodnie. Wokół oczu miała małe, ostre zmarszczki. – Geoff jest jednym z najuczciwszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Czy nie uważają panowie, że wygląda na uczciwego?

Wexford chciwie sięgnął po fotografię i kiedy podała mu duże portretowe zdjęcie prawie, wyrwał je z ręki kobiety. Smągała, przyjemna twarz, czarne włosy, w ustach fajka. Główny inspektor był zbyt doświadczony, aby wydawać opinię co do uczciwości w przypadku tego człowieka. Ciągle jeszcze studiował fotografię, kiedy Burden odezwał się:

– Czy widziała pani kiedyś ten przedmiot?

Położył zapalniczkę. Ręce jej się trzęsły, a twarz rozjaśniła, kiedy wzięła ją do ręki i podniosła do oczu.

– Moja zapalniczka! – wykrzyknęła, a Burden patrzył na nią zdziwiony. – A już myślałam, że zginęła na zawsze! – zapaliła płomień i radośnie wzruszyła ramionami. Jej twarz była rozpromieniona. – Gdzie ją znaleźliście? To cudowne! Może napilibyście się herbaty? Pozwólcie, że zrobię wam coś do picia.

Siedziała na skraju krzesła i przypominała Wexfordowi małe dziecko w gwiazdkowy poranek. Na kolanach miała fotografię Smitha, a w ręce zapalniczkę. Musiała mieć około trzydziestu ośmiu lat, ale w tej chwili wyglądała dużo młodziej. Na serdecznych palcach obu rąk miała obrączki. Jedna była cyzelowana i, jak zapalniczka, była ozdobiona delikatnym wzorem, druga natomiast przypominała raczej kółko do firan.

– Wyjaśnijmy sobie kilka spraw – odezwał się Wexford. – Ta zapalniczka należy do pani? Mówiła pani, że ma na imię Noreen.

– Bo tak jest. – Był pewien, że może jej wierzyć. Każde wypowiedane przez nią słowo wypełnione było uczciwością. – Noreen Ann Anstey. Zawsze znano mnie jako Ann. Najpierw nazywałam się Ann Greystock i to było w porządku; później Ann Smith, co brzmi dosyć głucho, ale nie najgorzej. Ale Ann Anstey? Okropnie! Całkiem jakby się ktoś jąkał. Dlatego właśnie używam swego pierwszego imienia.

– Zapalniczkę dał pani pierwszy mąż? – wtrącił pytanie Burden.

– Na gwiazdkę. Chwileczkę... To musiał być pięćdziesiąty ósmy rok... – zawahała się, a jej uśmiech był żałośnie smutny. – Było nam wtedy ze sobą wspaniale. Opromieniałam jego życie.

– W jaki sposób ją pani zgubiła?

– A jak się gubi rzeczy? To było w listopadzie zeszłego roku. Miałam torebkę z zepsutym zamkiem. Zawsze nosiłam przy sobie zapalniczkę, mimo iż nie stać mnie teraz na palenie papierosów.

Wexford tylko rzucił okiem na wytarte, nędzne meble i zaraz tego pożałował. Niewiele umykało jej uwadze i teraz wyglądała na dotkniętą. Zmarszczyła brwi i kontynuowała opowieść:

– Jednego dnia zapalniczka była w torebce, a na drugi dzień już jej nie było. W ten sam sposób tydzień wcześniej zgubiłam srebrny łańcuszek. Niektórzy nigdy nie zmądrzeją... – pieściła w rękach zapalniczkę, a Burden przyglądał się jej badawczo. – Doskonale wiem, że jest dużo warta – powiedziała pospiesznie. – Wszystko, co dawał mi Geoff, było drogocenne.

On nie jest bogaty, ale ma hojną naturę. Byłam jego żoną i nic nie było dla mnie zbyt dobre. Większość innych rzeczy sprzedawałam... – przerywając spojrzała na Burdena i wyglądało na to, że przypomina sobie ich poprzednie spotkanie. – Byłam zmuszona – dodała. – Jestem nauczycielką w szkole przyklasztornej, ale nie wiecie mi się najlepiej. Sama nie wiem, jak udało mi się nie sprzedać i tej rzeczy – wzruszyła ramionami jak ktoś, kto czegoś żałuje, ale jednocześnie uważa żal za stratę czasu i energii. – Może dlatego, że to była zbyt osobista pamiątka. – Uśmiechnęła się filozoficznie. – Cóż, to przyjemnie być kochanym i pamiętać o tym, kiedy miłość już przeminie.

„Nie zgubiłaś tej zapalniczki,” pomyślał Wexford, „nie jestem aż tak naiwny. Mogłaś ją zgubić albo Anita Margolis mogła ją zgubić, ale to niemożliwe, abyście obie zgubiły tę samą rzecz w przeciągu sześciu miesięcy”.

– Pani Anstey – powiedział na głos – jako była żona pana Smitha musi pani znać jego obecne miejsce zamieszkania.

– Nie płacił mi nigdy tych tak zwanych alimentów. Wystarczyło, że zostawił nam mieszkanie – małymi, białymi zębami przygryzła dolną wargę. – Zdaje się, że rozumiem, dlaczego go szukacie. Jakieś sprawy podatkowe? On jest przecież księgowym. Ale jestem pewna, że jeżeli nawet są w jego papierach jakieś nieścisłości, to nie ma to z nim nic wspólnego.

– Gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Tam, skąd przychodzicie. – Wexford spojrzał na nią z niedowierzaniem, przypominając sobie wizyty, które złożyli wszystkim Geoffreyom Smithom w okolicy. – Kingsbrook Road 22. W starej części miasta. Przed naszym ślubem mieszkał w Kingsmarkham i wrócił tam po rozwodzie.

– Czy kiedykolwiek wspominał pani o Anicie Margolis?

Nie zachwyciło jej wspomnienie imienia innej kobiety. Widać to było po niej. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a ręce mocno zacisnęła w pięści. Ale miała antidotum na każdą truciznę:

– Czy to ta dziewczyna zamieszkała w jego papierach? Może uchylała się od podatków?

– Pani Anstey, czy pani ex-mąż ma klucz do tego mieszkania?

Zmarszczyła czoło. Jej oczy były blade, ale tętniące życiem. Bez znaczenia było to, co nosiła na sobie, rozmyślał Wexford; i tak nie zauważyło się tego. Jej osobowość i żywotność powodowały, że ubrania były czymś służącym jedynie do ochrony przed zimnem. Dopiero teraz zauważył stary sweter i fałdowaną spódnice.

– Klucz? – spytała. – Nie zdziwiłoby mnie to. Ale nawet jeżeli ma, to go nie używa. Czasami... – spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs, ale nie skromnie czy wstydliwie, tylko tak, jakby wątpiła w jego zdolność rozumienia tego, co mu chciała przekazać. – Czasami chciałabym, żeby z niego korzystał – dokończyła myśl. – Niektórzy ludzie nie chcą wtrącać się w życie innych. Jest mi to obojętne... W przeciwieństwie do przyjętej opinii uważam, że to przesada twierdzić, że zawsze dostaje się to, na co się zasłużyło. Geoff

zasługiwał na wszystko, co najlepsze, a dostał guzik z pętelką. Chciałabym tylko wiedzieć, że u niego wszystko w porządku.

Była tak pochłonięta swoimi rozmyślaniami, że najwyraźniej zapomniała, z kim rozmawia. Nagle oprzytomniała:

– Myślicie pewnie, że jestem szalona rozmawiając z wami w ten sposób... Rzeczywiście nie chcę panowie herbaty?

– Naprawdę dziękujemy.

– Jak się będziecie z nim widzieli, przekażcie mu ode mnie życzenia... Pozdrówcie go serdecznie. A może nie powinnam was o to prosić... Może on zapomniał już o przeszłości?

Jej doświadczona życiem twarz pełna była małych zmarszczek. Wexford pomyślał, że wygląda jak mapa przeżyć i że nie można było tych dekonspirujących linii zbyć wzruszeniem ramion.

– Dla Ann, która zagmatwała moje życie... – powiedział Burden wsiadając do samochodu. – Czy to możliwe, że wrócił i zwędził zapalniczkę dlatego, że znalazł inną dziewczynę, do której pasowała wygrawerowana na niej dedykacja?

– Nie rozczulajmy się. Sam narobił niezłego bałaganu z dziewczyną, której podarował to cacko. Przypuszczam, że przypomniał sobie o tym, że dał kiedyś swojej żonie prezent, który był bardzo odpowiedni dla innej, nowej Anny. Coś niezbyt uczciwy i wspaniałomyślny jest ten nasz Smith, skoro wkłada się do mieszkania swojej byłej żony i kradnie zapalniczkę.

– W każdym razie wiemy już, że nie dał jej Anicie Margolis dziewięć lat temu. Mógł wręczyć jej ten prezent całkiem niedawno. Prawdopodobnie znali się krótko.

– To się trzyma kupy – stwierdził Wexford. – Zgadzam się z tą wersją, a ty, Drayton?

Burden wyglądał na urażonego faktem, że Draytona pytano o zdanie.

– Może nawet użył do morderstwa noża sprężynowego zakupionego u Grovera – dodał kwaśno.

Drayton jakby zeszywniał. Lekko rozbawiony Wexford chrząknął.

– Pojeżdż drogą do Stowerton – zwrócił się do Draytona. – Pokażemy to zdjęcie Ruby.

Długo kontemplowała zdjęcie, ale Wexford wiedział już, że nie ma to większego sensu. Minęło zbyt dużo czasu i zbyt wiele twarzy przywodzono jej uwadze. Konfrontacja z podejrzanymi na posterunku miała wszystko wyjaśnić, tymczasem jedynie wybiła ją z równowagi. Potrząsając miedzianymi lokami oddała fotografię.

– Ilu was jeszcze tu przybędzie?

– Co to ma znaczyć?

Ruby usiadła na niebiesko-czerwonej kanapie i wpatrywała się w gołą podłogę.

– Ten facet od was, jak mu tam, Martin – odparła – dopiero co wyszedł stąd, jakieś dziesięć minut temu.

Wexford słuchał zdziwiony.

– Najpierw odjechał taki wielki, różowo-fioletowy samochód z jakimiś napisami i wyszedł z niego ten facet...

– Jaki facet? – spytał Wexford. „Przecież nie Martin. Co tu się do diabła dzieje?“, pomyślał.

– No ten z czerwonym krawatem, którego widziałam jak przeprowadzaliście konfrontację na posterunku. Przypomniałam sobie, gdzie go wtedy widziałam, jak tylko zobaczyłam ten wóz. Tamtej nocy widziałam go dwukrotnie. Siedział w tym pojeździe przed domem Cawthorne’a, kiedy przechodziłam tamtędy dziesięć po ósmej, a potem widziałam go jeszcze raz w tym samym miejscu o jedenastej. Gapił się na wszystkich jakby mu odbiło. Ale powiedziałam to już przed chwilą waszemu Martinowi.

Wexford czuł, że chce mu się śmiać. Mocno umalowana twarz Ruby była różowa z oburzenia.

Chcąc, aby głos brzmiał surowo, Wexford powiedział:

– Nie mówiłabyś chyba tego wszystkiego dlatego, że on cię o to prosił? Nie skusił cię chyba tandetny sznurek sztucznych diamentów?

– Mnie? – Ruby gwałtownie zerwała się z krzesła. – Nigdy z nim nawet nie rozmawiałam. Wychodził z tego cudacznego auta, kiedy podjechał wasz człowiek. Jak dziki zajęczek wskoczył z powrotem i szybko odjechał. A ten Martin – Ruby czuła się pokrzywdzona – nie był dla mnie zbyt przyjemny. To, co do mnie mówił, można by nazwać groźbami.

Na skrzyżowaniu ulic, przy stacji samochodowej, nie było nigdzie widać Cawthorne’a, natomiast jego żona usadowiła się na jednej z pomp paliwowych i eksponując kościste kolana flirtowała z pracownikiem.

W pralni przez okrągłe bulaje pralek można było godzinami obserwować wirujące bębny wypełnione brudami.

– Dzisiejszego wieczora możesz się czuć zwolniony z obowiązków pralniczych, Drayton – powiedział Wexford chrząkając znacząco.

– Przepraszam, sir, ale nie rozumiem.

– Zdaje się, że panna Grover przyjeżdża tutaj co wtorek, nieprawdaż?

– Ach, tak. Teraz rozumiem, co pan ma na myśli. – Wexford pomyślał, że chłopak niepotrzebnie się tak rumieni.

Nawet jego szyja stała się ciemnoczerwona.

– No, przynajmniej Kirkpatrick jest już czysty. Jego łapówki trafiły na twardy grunt – Metafora wydała się nie na miejscu, więc szybko dodał: – Obydwie te kobiety widziały go przed domem Cawthorne’a, a on jest po prostu głupcem, który nie potrafi dać sobie z tym wszystkim rady. Bardziej przeraża go wizja rozwodu niż więzienia.

– Prosto na Kingsbrook Road, sir? – sztywno spytał Drayton.

– Tak. Numer dwudziesty drugi jest z drugiej strony.

Kiedy przejeżdżali koło kościoła metodystów, Wexford wychylił się przez okno i poczuł, jak coś tępo i ciężko uciska mu na żołądek. Właśnie tego obawiał się, kiedy pani Anstey podała mu ten adres, ale próbował odegnać te obawy jako zbyt pochopne popadanie w skrajność.

– Spójrz na to, Mike – powiedział słabo. – Wygląda jakby spadła tu bomba.

Burden bez słowa pokiwał głową.

– Takie ładne, stare domy, a oni je wszystkie zrównują z ziemią.

Wyszedł z samochodu, a Burden szedł za nim. W łagodnym popołudniowym słońcu sterczała przed nim ostatnia naga ściana. To, co mieli przed oczyma, było kiedyś wnętrzem domu. U góry, na piętrze, ściany były wytapetowane na zielono, a na parterze na różowo. Cztery metry od góry nadal wisiał kominek przyczepiony do tynku, a w miejscach, gdzie tynk odpadł, widać było gołe cegły. Do tego kominka przymocowany był gruby kabel, którego drugi koniec przywiązany był do traktora kołyszącego się w pyłę. Przez żółtawą chmurę widzieli tablicę z napisem: „Budynki do rozbiórki. Co pnie się w górę, musi kiedyś opaść” Na ocalałym słupku stojącym przed domem Burden zauważył numer 22. Posępnie spojrzął na ścianę, a potem na kabel i traktor. Niezadowolony podszedł do kierowcy ciągnika.

– Policja – rzucił ostro w stronę czerwonej, nieprzyjemnej twarzy.

– O.K. W porządku. Ale jestem zajęty. Muszę pracować, jak wszyscy. A czego chcecie?

Burden zwrócił głowę w stronę słupka z numerem.

– Mieszkał tutaj księgowy, facet o nazwisku Smith. Wie pan, gdzie on jest?

– Tam, gdzie już go nie znajdziecie – uśmiezek traktorzysty nie podobał się Burdenowi.

– Pod ziemią.

– Wróci tu jeszcze?

– On nie żyje. – Mężczyzna był zniecierpliwiony.

## ROZDZIAŁ XIV

– To niemożliwe. – Burden osłupiał ze zdziwienia.

– A dlaczegoż to? Powtarzam panu tylko to, co powiedziała mi ta babka z kafejki.

Wskazując głową miejsce, gdzie jeszcze niedawno była mała kawiarenka, robotnik wyciągnął z kieszeni ogromną, brudną chustkę i zaczął głośno wycierać nos.

– To było jeszcze nim zburzyli ten jej interesik. Mówiła: „Biedny pan Smith, nie zniósłby tego. To mieszkanie było wszystkim, co posiadał. Miał kłopoty z żoną. Zostawiła go i mieszkał zupełnie sam.”

– Co było przyczyną śmierci?

– Coś z sercem. Ta kobieta powie wam więcej.

– A kiedy to było? – wtrącił się Wexford.

– Rok albo półtora temu. Od tamtego czasu nikt tam u niego nie mieszkał. Panował tam straszny bałagan.

Burden wiedział, że to prawda. W miejscu, gdzie w tej chwili leżała sarta gruzu przesiadywał często, popijając herbatę. Po wyjściu stamtąd przechodził później obok odsłoniętych okien, jak się teraz okazało, mieszkania Smitha.

– Na rogu jest przedsiębiorca pogrzebowy. Oni będą wiedzieli. W końcu są najbliżej.

Mężczyzna wsiadł z powrotem do swojego traktora i mocno dymiąc ruszył do przodu przez sterty ceglatego ładu. Burden udał się do przedsiębiorcy pogrzebowego. Kabel napiął się silnie. Wexford obserwował zwałające się mury i słuchał huku kruszonych tynków do czasu powrotu Burdena.

– Rzeczywiście nie żyje – powiedział inspektor próbując przedostać się przez gruzy. – Zmarł w lutym zeszłego roku. Pamiętają ten pogrzeb. Przyszła tylko starsza kobieta, właścicielka kawiarni i dziewczyna, która czasami pisywała dla niego na maszynie. Nasz główny podejrzany leży w grobie na cmentarzu w Stowerton.

– Na co umarł?

– Choroba wieńcowa – odparł Burden. – Miał czterdzieści dwa lata.

Usłyszeli głuchy odgłos, drganie podobne do tego, jakie poprzedza zwykle trzęsienie ziemi. W ścianie domu Smitha ukazała się głęboka szczelina biegnąca wzdłuż zielonej, a potem różowej tapety. Ze środka tego pęknięcia, z tumanów brązowego pyłu wypadały

pojedyncze, stare cegły.

– Wygląda na to, sir – kontynuował – że to całe zamieszanie z Geoffem Smithem to tylko czysty zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności?! Nie, Mike. Nie wierzę. To po prostu niemożliwe. Do domu Ruby przyszedł mężczyzna mówiąc, że nazywa się Geoff Smith, a po jego wyjściu znaleziono tam zapalniczkę, którą człowiek o nazwisku Geoff Smith zakupił osiem lat wcześniej. To przynajmniej wiemy na pewno i chociaż wszystko inne jest dosyć niejasne, to tu mamy absolutną pewność. Zbrodnia miała miejsce w Stowerton, a ten człowiek mieszkał w sąsiednim mieście i znał okolicę tak jak ja czy ty... Ten mężczyzna nie żyje; nie żył już, kiedy zapalniczka zginęła z mieszkania pani Anstey; nie żył, kiedy sprowadziła się tutaj Anita i tym bardziej nie żył w zeszły wtorek. Ale twierdzenie, że nie miał żadnego związku z naszą sprawą jest nienormalne. To czyste szaleństwo.

– W takim razie kłamie pani Anstey. Sprzedała zapalniczkę Anicie i przy okazji opowiedziała jej o swoim pierwszym mężu. To nie byłby już zbieg okoliczności, tylko normalne dla niej zachowanie. Anita podała to nazwisko swojemu chłopakowi i utkwilo mu ono w pamięci...

– Ale po cóż miałyby kłamać? – spytał szydząco Wexford. – Jaki miałby w tym cel? Pytam się ciebie, Mike, czy zrobiła na tobie wrażenie kłamczuchy?

Burden z powątpiewaniem pokiwał głową i ruszył za głównym inspektorem w kierunku samochodu i czekającego w nim Draytona.

– W każdym razie nie wierzę jej, że zgubiła tę zapalniczkę.

– Ja też nie, ale ona jest przekonana, że tak właśnie było – szybko powiedział Wexford. – Prawda jest taka, że ktoś ją zwędził. Tylko kto? Jakiś stary kumpel Smitha? Zdajesz sobie sprawę z tego, co musimy teraz zrobić? Każdy znajomy Smitha, pani Anstey i wszyscy przyjaciele Anity będą ścigani tylko po to, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie istnieje między nimi jakiekolwiek powiązanie...

– Usunąć się! – Krzyk z tyłu spowodował, że przyspieszyli kroku. Traktor zdecydowanie pociągnął i z łomotem, który zmienił się w straszliwy huk, kabel przeciął ścianę. Potem wszystko zniknęło za ogromną, żółtą chmurą. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno stał dom, nie było teraz nic oprócz błotnisto-żółtawej mgły, przez którą widać było czyste, błękitne niebo.

– Koniec Geoffa Smitha – odezwał się Wexford. – Chodźmy już. Mam ochotę na herbatę.

Drayton pomyślał, że ta historia nie ma przed sobą przyszłości. Miał wielkie ambicje i w jego życiu nie było miejsca dla takiej dziewczyny jak Linda Grover. Szkoda było dla niej każdej chwili. Teraz, patrząc z perspektywy na kilka ostatnich dni, zrozumiał, że postąpił karygodnie nawiązując znajomość z dziewczyną, której ojciec nie był raczej ulubieńcem policji, a co za tym idzie, zwierzchników Draytona. Godzien nagany był fakt, że to on



poprosił ją o randkę, a to, że stał się jej kochankiem, było najbardziej wariacką i lekkomyślną rzeczą, jaką mógł kiedykolwiek uczynić. Na samo wspomnienie tych namiętnych chwil udających związek miłosny zadrżał, a drżenie to nie było spowodowane myślą o przyszłości czy karierze.

Wszystko wskazywało na to, że była przekupna i uległa zepsuciu moralnemu. Pewien był, że ona, tak jak i jej środowisko, była zepsuta do cna. Wexford polecił mu zostawić ją w spokoju, nie wiedząc nawet, co znaczył ten rozkaz. I to była jego jedyna szansa: podporządkować się, ustąpić i porzucić tę dziewczynę, a przez to zdjąć z siebie urok, który na niego rzuciła.

Wyszedł z posterunku. Wieczór był ciepły. Przerzucił więc płaszcz przez ramię, nie mając zamiaru z niego skorzystać. Cawthorne będzie się musiał dzisiaj obyć bez zapłaty za wypożyczenie samochodu. Drayton udał się do biblioteki, gdzie wyciągnął książkę dotyczącą nieprawidłowości ludzkiej psychiki. Wyszedł o siódmej, kiedy zamykano czytelnię. O tej porze sklep Grovera był również nieczynny i Drayton uznał, że może bezpiecznie udać się do swojego mieszkania główną ulicą obok sklepu. Kiedy dochodził do przystanku, nadjechał autobus. Poczł dziwną pokusę, aby do niego wsiąść i dać się wywieźć daleko w nieznane. Zdawał sobie sprawę, jakiej intelektualnej koncentracji wymagałby ten gest; za wszelką cenę chciał zgubić siebie i swoją osobowość. Maszerując na świeżym, wieczornym powietrzu pragnął puścić wszystko w niepamięć. Jednocześnie orientował się, że ucieczka ta nie będzie łatwa. Świat jest zbyt mały, aby pomieścić jego i ją z dala od siebie. Zrobiło mu się zimno i przyspieszył kroku.

I wtedy zobaczył dziewczynę. Wychodziła z autobusu, a młody, przystojny mężczyzna pomagał jej nieść kosz z mokrą, wypraną bielizną. Dziękując mu uśmiechnęła się, a Draytonowi ten uśmiech wydał się bardziej kokieterjny i ponętny, niż jakikolwiek z tych, które on sam od niej dostał. Zazdrość chwyciła go za gardło. Nie było możliwości uniknięcia spotkania z nią. Nie miał już nawet sił ani ochoty, aby to zrobić. Słowa Wexforda i jego przycinki na temat obowiązków pralniczych wydały mu się nagle głupim kazaniem, tak nudnym i fałszywym, że aż usypiającym. Nie spał jednak, tylko zachowywał się wyjątkowo lekkomyślnie.

– Pomóc panience? Może poniosę koszyk?

Uśmiechnęła się słabo. Był to tylko cień uśmiechu, którym uraczyła przed chwilą obcego mężczyznę. Ale wystarczyło, aby wrócił czar.

– Mój szef przewidywał, że będę dzisiaj pralniczym – powiedział czując, że plecie głupstwa. Umizgiwał się do niej od nowa tak, jak to czynił za każdym razem, kiedy się spotykali. – I miał rację. Kto opiekuje się sklepem?

– Twój szef musi mieć o tobie wysokie mniemanie – powiedziała władcym tonem z wyczuwalną nutką satysfakcji. – Zauważyłam to dzisiaj w kawiarni. – Jej twarz zachmurzyła się. – Tata wstał. Nadal ma bóle, ale twierdzi, że nie ma do nas zaufania, jeśli chodzi o

interesy.

Drayton poczuł niezrozumiałą chęć spotkania się z jej ojcem. Westchnął ciężko. To nie było to... W tych okolicznościach nie brał pod uwagę konieczności tego spotkania. „Może za dziesięć lat”, rozmyślał, „ładna i miła dziewczyna; wysoki, poważny ojciec ze stopniem naukowym; perły na szyi matki, wyłożona drewnem posiadłość wiejska z ogrodem i wybiegiem dla koni...” Tymczasem Linda otworzyła drzwi sklepu i powitał ich stary, zatęchły zapach.

Za ladą stał Grover zbierając rozrzucone przez nieuważnego klienta cukierki. Miał brudne ręce, a na słoiku były ślady rdzy i tłuste plamy. Drayton spodziewał się, że będzie starszy. Mężczyzna nie wyglądał jednak na więcej niż czterdzieści lat. Na jego matowych, ciemnych włosach nie było śladu siwizny, a jedynie zmęczona, wykrzywiona od bólu twarz zdradzała jego wiek. Zobaczywszy córkę odłożył słoik i poklepał się ręką po krzyżu.

– Twoja mama właśnie pojechała na wista – odezwał się głosem, który wydał się Draytonowi okropny. – Życzy sobie, żeby te rzeczy zostały dzisiaj wyprasowane – absolutnie nie zwracał uwagi na obecność Draytona.

– Powinieneś być w łóżku – odezwała się Linda.

– I pozwolić, żeby interes stoczył się na dno? – zachowywał się grubiańsko. – Niezły bałagan macie w tych księgach.

Mimo iż on był brunetem, a ona blondynką, podobieństwo między ojcem a córką było tak silne, że Drayton musiał spuścić wzrok, aby powstrzymać się od gapienia na nich oboje. Pomyślał, że nie umiałby powstrzymać krzyku męki i przerażenia, gdyby Grover uśmiechnął się teraz. Ale było to mało prawdopodobne...

– Kończę z tym wylegiwaniem się – powiedział ojciec dziewczyny. – Za długo już to trwa. Od jutra do harówki.

Wyszedł zza lady i skierował się w jej stronę tak, jakby chciał się na nią rzucić i porwać w swoje szpony. Jego krzywy chód przypominał ruchy kulawego, rogatego zwierzęcia.

– Później wyciągnę samochód – burknął – bo nie sądzę, żeś go czyściła, odkąd mnie zmogło...

– O tym zadecyduje lekarz – w jej głosie słychać było znużenie. – Wróc lepiej do łóżka. Poradzę sobie tu sama.

Wzięła go pod ramię tak, jakby rzeczywiście był wiekowym, połamanym stworzeniem, jak to sobie Drayton wyobrażał. Poczucił się opuszczony, kiedy poszli na górę. Nie było to miejsce dla niego. Jak zwykle tutaj, poczuł konieczność umycia rąk. Przypuśćmy, że zapomniałaby, że się tutaj znajdował, pochłonięta jak zwykle obowiązkami domowymi i zostawiłaby go na pastwę losu pomiędzy podejrzanymi czasopismami i ukrytymi nożami. Aż przyszyłaby noc i pogłębiła tę ciemność... Zdawał sobie sprawę z tego, że jest więźniem, który nie może odejść stąd bez niej. Całe wieki upłynęły, nim wróciła. Spojrzała na niego i poczuł, że twarz jego wyrażać musi totalne ujarzmienie i tęsknotę przemieszana z pragnieniem. Cóż

za paradoks!

– Musiałam powiesić pranie – powiedziała. – Ale wątpię, żeby dzisiaj wyschło. Powinnam była załatwić to po południu, tak jak w zeszłym tygodniu.

Kiedy podeszła blisko niego, objął jej twarz rękoma dotykając chciwie jak ślepiec.

– Mamy dzisiaj samochód? – spytała.

Pokiwał przecząco głową.

– W takim razie weźmiemy wóz taty.

– Nie – odrzekł. – Pójdziemy na spacer.

Wiedział, że dziewczyna umie prowadzić, bo powiedziała o tym Wexfordowi. Jeżeli została mu chociaż odrobina powagi, to niechybnie zniknęłaby całkowicie, gdyby pozwolił jej wozić się po okolicy samochodem jej ojca.

– W takim razie jutro – powiedziała patrząc mu prosto w oczy. – Przrzeknij, że zrobimy to jutro, Mark, nim ojciec zajmie się wozem... i zarekwiruje go.

Pomyślał, że w tej chwili obiecałby jej swoje własne życie, gdyby go tylko o to poprosiła.

– Opiekuj się mną – powiedziała z nagłą rozpaczą w głosie. Nad nimi słyhać było kroki utykającego mężczyzny.

– Och, Mark!

Rzeka nęciła ich swoją cichą, biegnącą wzdłuż brzegu, osłoniętą ścieżką.

Drayton wziął ją w ramiona dokładnie w tym samym miejscu, w którym widział ją całującą się z innym mężczyzną. Ale zapomniał o tym i o wszystkim innym, co zdarzyło się przed ich spotkaniem. Nawet pociąg fizyczny stał się słabszy. Doszedł do takiego stanu, kiedy jego największym życzeniem było znajdować się z nią sam na sam, przytulając ją blisko do siebie i smakując jej usta.

– Sądzę, że przebaczy mi pan to wezwanie – powiedział Burden.

Wstał, aby przepuścić Wexforda na jego stałe miejsce przy oknie. Jak zwykle o tej porze, bar „Olive & Dove” był zatłoczony.

– Przypuszczam, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki – mruknął Wexford. – Nie siadaj. Możesz przynieść piwo, nim zaczniesz swój wykład.

Burden wrócił z dwoma kuflami piwa.

– Obawiam się, sir, że trochę tu tłoczno i głośno.

– Nawet w połowie nie tak tłoczno i głośno jak u mnie. Moja córka Sheila wydaje przyjęcie. – Burden uśmiechnął się. – Myślę, że to się teraz inaczej nazywa.

– Więc jak? – z irytacją w głosie spytał znad kufła Wexford.

– Impreza.

Przenieśli się w spokojniejszy kąt Wexford uniósł zasłonkę i wyrztał na ulicę. Było ciemno i pusto, tylko kilku młodzieńców marudziło jeszcze przy kinowym parkingu popychając się i śmiejąc.

– Spójrz tylko na te cholerne, zielone samochody – powiedział główny inspektor z obrzydzeniem. – Skąd możemy wiedzieć, że nie ma go gdzieś tam w kinie?

– Myślę, że wiem już, kim jest – przemówił cicho Burden.

– Cóż, nie sądziłem, że ściągnąłeś mnie tutaj tylko i wyłącznie na małe piwko. Wal śmiało.

Burden spojrzał niepewnie na ciężką, pomarszczoną twarz. Jej wyraz nie był zbyt zachęcający. Przez chwilę wahał się obracając w rękach kufel. Pomysł przyszedł mu do głowy czy może raczej skrytykował się po trzech godzinach rozmyślań i wahań. Kiedy był już pewny swoich dociekań i poukładał w głowie szczegóły, podekscytował się tak bardzo, że musiał o tym komuś opowiedzieć. Ten ktoś siedział teraz naprzeciwko niego, przyglądając mu się sceptycznie. Był przygotowany na kpiny i szyderstwa. Szef najwyraźniej doszedł do wniosku, że całe to dochodzenie to tylko bezmyślne kręcenie się w miejscu. Tak jak powiedziane jest, że zimne światło poranka rozwiewa nocne złudzenia, tak samo atmosfera baru „Olive & Dove”, śmiechy, hałas i wąpiące spojrzenie Wexforda zniszczyło jego niezwykle pomysłowe rozwiązanie całej tej historii. Wszystkie przekonujące i nieodparte dowody przyblakły, a pozostała jedynie niepewność. Może byłoby lepiej, gdyby dopił swoje piwo i wyszedł stąd bez słowa? Wexford niecierpliwie stukał palcami o blat stolika. Burden chrząknął i powiedział słabo:

– Myślę, że to mąż pani Anstey.

– Smith? Mój Boże, Mike, przechodziliśmy już przez to. On nie żyje.

– Smith nie, ale Anstey żyje. W każdym razie nie ma powodu, aby w to wątpić.

Burden ściszył głos, ponieważ ktoś przechodził obok ich stolika.

– Myślę, że to mógłby być Anstey. Powiedzieć panu, dlaczego?

Krzaczaste brwi Wexforda uniosły się.

– Tak będzie lepiej – odezwał się. – Nic o tym facecie nie wiemy. Ona właściwie o nim nie wspominała.

– I nie wydało się to panu podejrzane?

– Może i tak... – po krótkim namyśle odpowiedział Wexford. – Może masz rację...

Wyglądało na to, że chce kontynuować, ale Burden nie chciał, aby mu odebrano stery, więc szybko powiedział:

– Wszystko wskazuje na to, że ta kobieta serdeczniej myśli o człowieku, który rozwiódł się z nią pięć lat temu, niż o swoim obecnym mężu. Żałuje tego rozwodu i nie widzi przeszkód, aby poinformować o tym obcych ludzi, którzy nawet jej o nic nie pytają. Powiedziała: „To miło być kochanym i pamiętać o tym, kiedy miłość już przeminie.” Czy sądzi pan, że mogłyby to być słowa szczęśliwej mężatki? I co miały znaczyć te jej opowiadania o samotności? Jest nauczycielką. Pracująca zawodowo zamężna kobieta rzadko chyba bywa samotna? Właściwie to chyba wcale nie...

– Sądzisz, że jest w separacji z Ansteyem?

– Tak – powiedział Burden zdecydowanie. Wyglądało na to, że Wexford nie ma już ochoty na kpiny i zaczyna go interesować to opowiadanie.

– My nie wierzymy, że zgubiła zapalniczkę, ale ona jest o tym przekonana. A jeżeli ona jej nie zgubiła, tylko zostawiła leżącą gdzieś na wierzchu albo w torebce, to kto jest teraz jej właścicielem? Oczywiście jej błędny mąż. Prawdopodobnie Smith rozwiódł się z nią z powodu Ansteya. A to oznacza cudzołóstwo, i człowiek, który dopuścił się tego raz, dopuści się i drugi.

– Otóż i nasz surowy moralista – powiedział Wexford śmiejąc się. – Nie wiem, czy zgodzę się z tobą tak do końca. Podejrzewasz, że Anstey kręcił z Anitą i dał jej zapalniczkę. Cóż, Mike, brzmi to nawet niezłe, ale nie masz żadnego prawdziwego powodu, aby sądzić, że Anstey zostawił żonę. Nie zapominaj, że trwają wakacje wielkanocne i zameżna nauczycielka może przeżywać chwile osamotnienia.

– W takim razie, dlaczego mówi, że musi żyć tylko ze swojej pensji? – spytał Burden z triumfem. – To, co opowiadała o sprzedaży swojej biżuterii, też jest prawdą, bo widziałem ją w sklepie Knobby Clarka.

– Postawię ci drinka – rzekł Wexford wyglądając na zadowolonego.

– Szkocka – stwierdził Burden, kiedy tamten wrócił do stolika. – To miło z pana strony. Na zdrowie!

– Za twoje odkrycie! – Wexford podniósł szklanekę. – A gdzie znajduje się teraz Anstey? – spytał.

Burden wzruszył ramionami.

– Gdzieś tutaj. Pewnie pracuje dalej w swoim fachu.

– A tak przy okazji, skoro jesteś już taki bystry, bez wątpienia będziesz wiedział, dlaczego mężczyzna o nazwisku Anstey, idąc na randkę z dziewczyną podaje nazwisko poprzedniego męża swojej żony? Zauważ, że nie tylko Smith, ale wręcz Geoff Smith...

– Tego nie wiem – odparł Burden zbity z tropu.

– Albo dlaczego zabił dziewczynę i co było motywem zbrodni?

– Podejrzewając Kirkpatricka braliśmy pod uwagę zazdrość. Nie wiemy również, co stało się z pięcioma setkami funtów, które Anita miała w torebce.

– W takim razie, mój drogi, dlaczego nie poczekał, aż wróć do samochodu, nie pojechał w jakieś ustronne miejsce i tam jej nie zabił? Nie zabija się kobiety w obcym domu, zostawiając za sobą obciążające ślady, kiedy można na przykład to samo zrobić w ciszy lasu Cheriton. I jeszcze jedno. Ruby i Monkey obydwójce sądzili, że on wróci. Monkey napisał do mnie dlatego, że chcieli, abyśmy go schwytali, nim to zrobi. Dlaczego więc tego nie zrobił?

– Przypuszczam, że się bał. Nie wiemy, gdzie się w tej chwili znajduje. Może wrócił do domu? Kto to może wiedzieć? – Burden pokiwał smętnie głową i powtórzył: – Nie wiem...

– Może pani Anstey będzie wiedziała. Dopij już drinka, bo zamykają.

Na ulicy pachniało późną wiosną. Niebo, przez cały dzień czyste, teraz stało się

ciemnoszare, a chmury przesłoniły księżyc. Doszli do mostu. Spod tunelu wyłonił się łabędź i przepłynął dalej oświetlony blaskiem bijącym z latarni. Na wodzie odbijały się ich rachityczne cienie. Wexford ogarnął wzrokiem prawie pustą główną ulicę miasta, perliste, żółto-białe światła lamp i ciemne dziury nieoświetlonych, wąskich, bocznych uliczek.

W wysokiej ścianie wyrastającej przed nimi przez okno wychylała się dziewczyna machając ręką jakby była w teatralnej łoży. W dole lampa w stalowej oprawie płonęła ciepłym blaskiem, a w jej świetle, gapiąc się w górę, stał młody mężczyzna.

– „Księżycu mój rozkoszy” – zacytował miękko Wexford – „co nigdy nie gaśniesz...”

– Drayton miał ją zostawić w spokoju – powiedział Burden gorzko i spojrzał na żółtawy, częściowo przesłonięty chmurami księżyc.

## ROZDZIAŁ XV

Rano znowu padał deszcz. Z wyglądu nieba można było wywnioskować, że był to jeden z tych dni, kiedy leje od świtu do zmierzchu. Próbując dodzwonić się do Sewingbury, Wexford trzymał słuchawkę w jednej ręce, a drugą wyciągnął, aby opuścić żaluzję. Słuchał sygnału, kiedy wszedł Drayton.

– Przyszła pani Anstey, sir. Mijałem się z nią wchodząc tutaj.

Wexford odłożył słuchawkę.

– Przynajmniej raz góra przyszła do Mahometa.

– Czy mam ją zawołać?

– Chwileczkę, Drayton. – To był rozkaz, wypowiedziany raczej ostro i z pewną naganą w głosie. Młody człowiek stanął i posłusznie odwrócił się. – Dobrze się bawiłeś wczorajszej nocy?

Twarz Draytona stężała, stała się jeszcze bardziej tajemnicza i ostrożna niż zwykle, ale bynajmniej nie niewinna.

– Tak, dziękuję, sir.

Deszcz walił o szybę. W gabinecie zrobiło się całkiem ciemno, tak jakby o wpół do dziesiątej rano nastąpiła noc.

– Zdaje się, że jeszcze nie poznałeś tutaj zbyt wielu młodych ludzi? – Pytanie to wymagało serdecznego, wujowskiego tonu, ale Wexford wypowiedział je groźnie.

– Faktycznie, sir.

– Szkoda. Bóg jeden wie, skąd moja córka bierze ich w takich ilościach. Zawsze urządziła te... – „Jak to było?”. Burden zwrócił mu na to uwagę... Aha. – Imprezy u nas w domu. Ale to całkiem przyzwoita i porządna kompania, jeżeli tylko nie przeszkadza ci hałas. Ale chyba nie przeszkadza ci, co?

Drayton stał i nie odzywał się będąc wcieleniem ciszy.

– Musisz się kiedyś przyłączyć – spojrzał na niego zimno i ponuro. – Sam – dodał.

– Dobrze, sir. Zrobię to.

– W porządku. Powiem Sheili, żeby się z tobą skontaktowała. – Z jego głosu zniknęła surowość i zastąpiła ją ludzka uprzejmość. – A teraz poproś panią Anstey – dodał.

Deszcz wywołał u Wexforda uczucie niemal klaustrofobicznego odosobnienia. Czuł się

jakby został zamknięty w ścianach lejącej się dookoła wody. Słyszał ją płynącą po szybie i parapetach i spadającą na nagie kamienne ciała umieszczone na freskach. Żałował, że mimo wszystko deszcz nigdy nie mył ich dokładnie pozostawiając szaro-blade smugi. Zapalił górne światło, kiedy do pokoju wszedł Burden z kroczącą za jego plecami panią Anstey. Obydwoje przemoknięci byli do suchej nitki. Wyglądali jak niesamowite stworzenia z podwodnych głębin. Pani Anstey miała przewieszony przez ramię parasol, z którego woda ciurkiem spływała jej do butów i na podłogę gabinetu.

– Musiałam przyjść – odezwała się. – To był taki impuls. Często kieruję się nagłym impulsem. Po waszym wyjściu zaczęłam zastanawiać się, o co też mogło chodzić z tą dziewczyną, o której wspomnieliście. – Nawet jej śmiech zabrzmiał jak woda, bulgoczący, ale mimo to niezdecydowany i wahający się. – Przyjechałam tutaj pierwszym autobusem.

Z włosów skapywały jej małe kropelki deszczu, a ona marszcząc nos, strącała je tak, jakby to robił mały piesek.

– Prawda jest taka, że po prostu muszę się z nim zobaczyć. Czekałam już wystarczająco długo. Właśnie się do niego wybieram, ale pomyślałam, że najpierw powinnam porozmawiać z wami. – Bez wyraźnego powodu zaśmiała się znowu, ale tym razem był to śmiech bardzo nerwowy i urywany. – Czy on ma jakąś dziewczynę? – zapytała.

Pytanie to zdawało się tłumaczyć jej nerwowe zachowanie.

Wexford pomyślał, że człowiek obwieszczający złą nowinę znajduje się na z góry przegranej pozycji. Przeważnie dzieje się tak w podobnych przypadkach. Coś w jego głowie brzmiało jak przeciągły, żałobny ton dzwonu, ponury, a zarazem ostrzegawczy. Lecz nie to było najważniejsze. Pozostaje w pamięci pierwszy, dziki ból. Od czasu, kiedy dyskutowali z Burdenem na temat śmierci Smitha, nie miał czasu, aby zastanowić się nad tym. Obecnie rozumiał, że osobliwy obowiązek musi w końcu zostać wykonany. Trzeba jej to powiedzieć. Pewien był, iż fakt że jest ona tylko byłą żoną nie zmienia w sposób zasadniczy nic.

– Ma? – spytała powtórnie.

– Nie miałem możliwości spotkania się z nim. – Żadnych kłamstw ani kręctw. Takie rzeczy nie wchodziły w rachubę w stosunku do kobiety pokroju pani Anstey.

Burden odwrócił się tyłem do pokoju.

– O co chodzi? Czy coś się stało? – wstała nerwowo ściskając dłonie. – Jest chory? Albo...

– Nie żyje. – Nawet będąc na to przygotowanym, zawsze odczuwa się wstrząs. Nadzieja jest niepokonana, dopóki nie wypowie się tych słów. – Przykro mi – dodał szybko. – Bardzo pani współczuję. To efekt choroby wieńcowej. Zawał. Trochę ponad rok temu. Myślę, że nie męczył się długo.

– To niemożliwe! – Jej słowa były echem słów Burdena, dla którego śmierć Smitha była równoznaczna z upadkiem pewnej teorii. Dla tej kobiety jego śmierć również stanowiła zniweczenie pewnych zamierzeń, planów na odbudowę życia.



– Obawiam się, że to prawda.

– On żyje! – krzyczała rozpaczliwym głosem, a nic jej hysterii zamieniała się w palący drut elektryczny.

– Proszę usiąść, zrobię pani coś do picia.

Wexford z przerażeniem obserwował, jak kobieta nieprzytomnie sięga po krzesło, na którym wcześniej siedziała i łapie je odrzucając do tyłu. Gwałtownie przechyliła się na bok. Zaciskając pięści mocno uderzyła o ścianę, po czym swoimi delikatnymi dłońmi zaczęła walić o jej twardą powierzchnię.

Wexford zrobił krok w jej kierunku.

– Zawołaj lepiej jakąś kobietę – zwrócił się do Burdena.

Wtedy ona zaczęła krzyczeć jak szalona.

Policjantka wyjęła jej z ręki filiżankę, a przemokniętą chusteczkę wymieniła na swoją, świeżą.

– Czy czuje się już pani lepiej?

Noreen Anstey potakująco skinęła głową. Twarz miała zaczerwienioną i opuchniętą, a mokre od deszczu włosy sprawiały wrażenie przesiąkniętych łzami. Siedziała pogrążona w bezgranicznym smutku i rozpacz. Widać było, że stopniowo wychodziła z szoku, ponieważ sensownie zauważyła:

– Nie będę już nigdy mogła prosić go o przebaczenie – wystarczyło jej oddechu tylko na to jedno zdanie, po chwili ponownie wybuchnęła płaczem. Jej szloch były krótkie i spazmatyczne jak krew pompowana z serca do żył.

– Zaraz mi przejdzie – siąknęła nosem, lecz mimowolnie szlochała nadal. – Umrę ze świadomością, że nigdy nie dowiedział się, jak bardzo żałuję... – stwierdziła.

Wexford skinął ręką policjantce, żeby wyszła.

– On pani przebaczył – rzekł. – Przecież dał pani mieszkanie.

Wyglądało na to, że go nie słyszy.

– Umarł, a ja o tym nawet nie wiedziałam.

Główny inspektor pomyślał o dwóch kobietach obecnych na pogrzebie Smitha: o starej sąsiadce i dziewczynie od maszynopisania.

– Pan nawet nie wie, co ja mu zrobiłam. Byliśmy małżeństwem przez osiem lat. Stanowiliśmy zgraną, kochającą się parę. Tak mówili ludzie i było to prawdą – pochlipywała, a mówienie przychodziło jej z trudem. – Kupował mi prezenty. Nazywał je „nieurodzinowymi podarkami”. Nie można mieć tylu urodzin. Człowiek zestarzałby się zbyt szybko. – Przymknęła oczy kiwając głową. – Mieszkaliśmy w domu, w którym miał swoje biuro. W sąsiednim budynku mieścił się warsztat samochodowy. Był świetnie widoczny z mojego okna. Z zawodu jestem nauczycielką, ale rzuciłam pracę. Nie musiałam nic robić, skoro opiekował się mną Geoff – wyrzucała z siebie krótkie, szarpane zdania. Wexford

przysunął swoje krzesło bliżej i siedział spuściwszy wzrok na podłogę. – W tym warsztacie pracował Ray Anstey. Często obserwowałam go. Czy widział pan kiedyś, jak taki człowiek leży na plecach z odrzuconą do tyłu głową? Mój Boże! – zadrżała. – Pan na pewno nie chce tego wszystkiego słuchać. Lepiej będzie, jak stąd pójdę. – Jej ubranie nadal było mokre, a ściekająca z parasolki woda utworzyła na podłodze sporą kałużę wyglądem przypominającą duży pęcherz. Zachwiała się lekko na krześle sięgając do tyłu po torebkę.

– Zawieziemy panią do domu, pani Anstey – powiedział łagodnie Wexford. – Ale jeszcze nie w tej chwili. Może zechciałaby pani odpocząć? Chcę zadać pani tylko dwa pytania i może pani później jechać.

– On nie żyje. Nie mógł więc nic zrobić. Dlaczego go szukaliście?

– Myślę – wolno powiedział główny inspektor – że powinniśmy się skontaktować z pani drugim mężem.

– Rayem?

– Gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Nie wiem – odparła zmęczonym głosem – nie widziałam go już od kilku miesięcy. Odszedł pod koniec zeszłego roku.

– Powiedziała pani, że pracował w warsztacie. Czy on jest mechanikiem?

– Tak przypuszczam. Kim innym mógłby być? – Jej rękawiczki spadły na podłogę i leżały teraz przy jej stopach. Podniosła je obojętnie i spojrzała na nie jak na dwa mokre, martwe stworzenia wyciągnięte z dna stawu.

– Więc to o niego chodziło wam przez cały czas?

Wexford przytaknął głową.

– Co on zrobił? – spytała głucho.

– Zaginęła dziewczyna. Przypuszczalnie nie żyje...

– Nóż... – powiedziała, a oczy jej zasły mgłą. Zachwiała się i Wexford złapał ją w ramiona.

– Gdzie pańska siostra oddawała samochód do naprawy? – spytał Burden.

Margolis oderwał wzrok od swojego późnego śniadania składającego się z kawy, soku pomarańczowego i dwóch nieapetycznie wyglądających jaj na twardo. Spojrzał na inspektora bezradnym, apatycznym wzrokiem.

– Do jakiego warsztatu? – powtórzył. – Pewnie Cawthorne'a...

– Proszę się skupić. Musi pan to wiedzieć. Czy pan nie oddaje nigdzie swojego samochodu, kiedy istnieje taka konieczność?

– Ann zajmowała się takimi sprawami. Ona zna się na tych rzeczach lepiej ode mnie.

Malarz odwrócił puste skorupki w kieliszkach jak dziecko robiące głupi kawał.

– Ale coś tam było... – przejechał swoimi długimi palcami po włosach tak, że stanęły nastroszone. – Jakiś problem... Przez mgłę przypominam sobie, jak mówiła, że wybiera się do

kogoś innego. – Odstawił tacę na oparcie kanapy i wstał, aby strzepnąć okruszki ze spodni. – Żałuję, ale nie pamiętam, o kogo chodziło – dodał.

– Ależ panie M., ona wzięła samochód do tego Raya – ostro rzuciła pani Penistan. – Dobrze pan o tym wie. Dlaczego nie weźmie się pan w garść? – Patrząc na Burdena wzruszyła ramionami, po czym znacząco spojrzała swoimi małymi oczkami w kierunku nieba. – Rozpada się na kawałki, odkąd jego siostra odeszła. Nic do niego nie dociera.

Usadowiła się przy Margolisie i spojrzała na niego rozgoryczonym wzrokiem. Przypominała Burdenowi matkę albo opiekunkę zabierającą krnąbrne dziecko na przyjęcie. Wyglądało to raczej komicznie, kiedy schyliła się i ostro go besztając naciągnęła mu szlafrok, aby zakryć wystające nogawki od pidżamy.

– Jaki Ray?

– Proszę mnie o to nie pytać, kochasiu. Wie pan przecież, jakie ona miała podejście do imion. Wiem tylko, że kilka miesięcy temu przyszła do mnie i mówi: „Mam już powyżej uszu cen Russela. Postanowiłam, że teraz Ray będzie naprawiał nasze samochody”. Więc się spytałam: „Jaki Ray?”, ale ona tylko roześmiała się. „Taki jeden, pani P., powiedzmy, że to miły chłopak i ma o mnie wysokie mniemanie. Jeślibym pani powiedziała kim jest, mógłby stracić pracę.”

– Czy on naprawiał samochody tutaj na miejscu?

– Nie, kochasiu. Nie miałby przecież potrzebnych narzędzi. – Pani Penistan ogarnęła wzrokiem pracownię i okno, jakby chcąc dać do zrozumienia, że ani w domu, ani w ogrodzie nie znalazłoby się nic przydatnego dla człowieka będącego o zdrowych zmysłach. – Zawsze sama odstawiała wóz do niego. Zdaje się, że mieszkał gdzieś tutaj w okolicy. Widywałam czasem, jak tam jechała, ale wracała do domu już po moim wyjściu – lekko pchnęła łokciem Margolisa między żebra. – On był na miejscu, ale buja w obłokach i nigdy nie słucha, co się do niego mówi.

Burden wyszedł zostawiając ich siedzących obok siebie. Pani Penistan przymilając się namawiała Margolisa, aby dokończył swoją kawę. Ostry deszcz spowodował, że ścieżka była śliska. Wszędzie leżały płatki kwiatów. Drzwi od garażu były otwarte i Burden zobaczył stojący w środku samochód malarza. Wóz ten był zielony. Wszystko zaczynało się rozjaśniać. W głowie układał sobie tę łamigłówkę. Sądził, że nareszcie można wytłumaczyć, dlaczego używano dwóch samochodów, czarnego i zielonego, i gdzie znajdował się tamtej nocy wóz Anity. Podniecony zamasyście podszedł do furtki. Otworzył ją, a wstrząśnięty krzak głogu zmoczył go tak, jakby ktoś dla kawału ukrył w nim wiadro pełne wody.

Wexford pomyślał, że tak właśnie wygląda praca psychiatry. Noreen Anstey leżała na tapczanie patrząc się w sufit, a on siedział obok pozwalając jej mówić.

– Zawsze miał przy sobie nóż – mówiła. – Ujrzałam go już tego dnia, kiedy przyszedł po raz pierwszy. Geoff pracował na dole. Miałam zwyczaj zanoszenia mu kawy i kiedyś

zaczęłam nosić ją również Rayowi. Pewnego dnia on sam przyszedł na górę – przez chwilę milczała kiwając głową. – Mój Boże! Wydawał mi się taki piękny. Nie przystojny, ale właśnie idealnie piękny. Tak jak ludzie powinni być, a ja nigdy nie byłam... Niezbyt wysoki, ciemnowłosey, usta czerwone jak kwiat... – Wexford nie był prawdziwym psychoanalitykiem. Mimo iż wiedział, że nie powinien jej przerywać, spytał:

– Ile ma lal?

– Jest dziesięć lat młodszy ode mnie – odpowiedziała.

Czuł, jak mówienie o tym sprawia jej ból.

– Tamtego dnia przyszedł do mnie. Byliśmy całkiem sami, a on wyjął z kieszeni mały, sprężynowy nóż i położył go na stole. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam i nie orientowałam się, co to może być. Mówiliśmy niewiele. O czym mogliśmy rozmawiać? Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Siedział uśmiechając się i robiąc przez cały czas takie małe, ale dużo znaczące aluzje. – O mało się nie roześmiała, ale Wexford usłyszał jedynie głośne westchnięcie. – Prawie wariowałam z pożądania. Wszystko oddałabym, aby go mieć – odwróciwszy twarz do ściany, kontynuowała: – Miałam już wtedy tę zapalniczkę i pamiętam, jak podawałam mu ogień. Wtedy on powiedział, żebym zapaliła mu papierosa w swoich ustach. Spojrzał na zapalniczkę i spytał: „On ci to dał? Czy dlatego daje ci zabawki, że nie może dać ci nic więcej?” To nie było prawdą, ale chyba takie sprawiało wrażenie. Potem powiedział, że też ma ładną zabawkę, podniósł nóż i przyłożył mi do gardła. Wskoczyło ostrze i stałam nieruchomo, żeby się nie skaleczyć. Mój Boże! Byłam tylko nauczycielką francuskiego w szkole dla dziewcząt. Nie znałam dobrze życia... Nie krzyknęłam wtedy. Wie pan co? Chyba pozwoliłabym mu się wtedy zabić. Później, kiedy już poszedł, zauważyłam na szyi ślad krwi wokół zadrapanego miejsca. Zdałam sobie sprawę z tego, że patrzył na tę krew cały czas, kiedy się ze mną kochał.

– Smith rozwiódł się z panią? – spytał Wexford, aby przerwać głąchą ciszę, jaka nastąpiła po jej opowieści.

– Zorientował się. To nie było trudne. Nigdy nie potrafiłam ukrywać swoich uczuć. Ale chciał mi przebaczyć i zacząć wszystko od nowa. Nie mógł uwierzyć, że chcę poślubić mężczyznę młodszego o dziesięć lat ode mnie, pomocnika z warsztatu... Coś mnie wtedy opętało. Szalałam na punkcie tego chłopaka. Wiedziałam, że to sadysta i prostak. Męczył mnie, naprawdę mocno mnie później kaleczył... – odpięła górne guziki sukienki i nad jej lewą piersią ujrzał głęboką, długą, białą szramę. Mimo że dość długo pracował w policji i był świadkiem wielu dziwnych rzeczy, to patrząc na tę bliznę Wexford poczuł ścisk w gardle. Tak jakby w tej chwili był obserwatorem makabrycznego rytuału wrywania paznokci.

– Czy zawsze czuła się pani nieszczęśliwa?

– Nigdy nie byłam z nim szczęśliwa – powiedziała prawie z wyrzutem. – Nie przypominam sobie żadnej takiej chwili, którą mogłabym nazwać „szczęśliwą”. On czuł wstręt do Geoffa. Brzydził się nim. Wie pan, co robił? Często podawał się za Geoffa, udawał,

że jest Geoffem.

Wexford przytaknął głową, mając przecucie, że w końcu to usłyszy.

– Kiedy dzwonił telefon, podnosił słuchawkę mówiąc, niby w roztargnieniu: „Geoff Smith, słucham?” Później poprawiał się i mówił, że to pomyłka. Pewnego razu oddał do czyszczenia ubrania, swoje okropnie brudne kombinezony. Kiedy poszłam je odebrać, nie mogli znaleźć kwitka. Otóż nic dziwnego, bo wypisany był na nazwisko Smith. Jeżeli kiedykolwiek zamieszany był w jakąś nieprzyjemną albo hańbiącą aferę, to zawsze podawał się za Smitha. Kiedyś przyszła do mnie dziewczyna, nie sądzę, aby miała więcej niż siedemnaście lat, i spytała, czy zastała Geoffa Smitha. Rzucił ją, a ona pragnęła odzyskać jego względy, chociaż z nią również zabawiał się nożem. Pokazała mi bliznę na szyi. Powiedziałam mu wtedy, że pewnego dnia posunie się za daleko, że zabije którąś z tych dziewczyn, i że wcześniej czy później policja dowie się o jego sadystycznych praktykach.

– Rzeczywiście posunął się za daleko – wycedził Wexford.

– On chciał, czy wręcz musiał widzieć ich krew – mówiła spokojnie, bez zgrozy czy obrzydzenia. Nie po raz pierwszy Wexford zwrócił uwagę na to, jak bardzo przyzwyczajenie, nawet do rzeczy najbardziej okrutnych, z czasem wyzwała w człowieku mechanizm obojętności na zadawany mu ból. Tym samym nieświadomie przesunięta zostaje granica szoku i przerażenia. – Kiedyś myślałam – mówiła dalej pani Anstey – iż pewnego dnia natrafi na dziewczynę, która nie da mu się omotać, nie ulegnie temu zezwierzęceniu, tylko będąc pod wpływem strachu, zdoła obrócić ostrze noża w jego stronę. On nie był duży ani też specjalnie silny fizycznie. Jego moc objawiała się inaczej. Przez jakiś czas miałam zwyczaj zabierania mu tych noży, ale on zaraz sprawiał sobie następny. A później zostawił mnie.

– To musiało być w tym samym czasie, kiedy zgubiła pani zapalniczkę...

Noreen Anstey uniosła się na łokciu, obróciła, po czym postawiła nogi na ziemi.

– Myślałam o tym – rzekła. – Ray musiał ją wziąć. Zabierał rzeczy Geoffa i moje, jak jeszcze byliśmy małżeństwem. Nie mogłam i nadal nie mogę tego udowodnić, ale tak sądzę. Przywłaszczał sobie biżuterię i inne cenne przedmioty – westchnęła, przesłoniła dłońmi twarz, po czym opuściła ręce. – Przypuszczam, że Geoff również domyślał się tego. Tyle było tych rzeczy... Obydwoje wiedzieliśmy, ale nigdy nie ubraliśmy tego w słowa. Och, jak mi przykro! – wykrzyknęła zaciskając kurczowo pięści i tłukąc nimi w pierś. – Tak strasznie mi przykro. Muszę dowiedzieć się, gdzie jest pochowany i leżąc na grobie błagać o przebaczenie.

Wexford pomyślał, że coś za dużo było kobiet, które czegoś żałowały. Noreen Anstey tego, że odrzuciła prawdziwą miłość dla brzydkiego jej cienia; a Anita Margolis...? Umarli niczego już nie żałują... Nie może żałować także ten, kto prowadził ryzykowną grę zbyt długo, tym bardziej, jeśli gra toczyła się zarówno z mężczyzną, jak i jego nożem.

## ROZDZIAŁ XVI

– Czy ma pani kogoś bliskiego, kto mógłby się panią zaopiekować? – spytał Wexlord. – Matkę, siostrę albo przyjaciółkę?

Noreen Anstey jakby się skurczyła. Pozbawiona swojej witalności była jedynie prostą kobietką w średnim wieku.

– Moja matka nie żyje – odpowiedziała – a Ray skutecznie odstraszył większość moich przyjaciół.

– Policjantka odwiezie panią do domu. Postara się znaleźć pani kogoś do towarzystwa.

– A kiedy go już odnajdziecie... – zaczęła głosem przepelnionym goryczą, ale i trochę rozmarzonym.

– Będziemy z panią w kontakcie, pani Anstey. Poinformujemy o wszystkim. Dlaczego sądzi pani, że on przebywa teraz w Kingsmarkham?

Wzruszyła ramionami opatulając się ciasno płaszczem przeciwdeszczowym. Teraz każdy jej nawet najmniejszy ruch był drżący, ciało kurczyło się i przygarbiło w powolnym procesie.

– Pewnie pomyślicie, że oszalałam... Może po to, aby go prześladować? Poszedłby do... do Geoffa przyznać się, że zniszczył dwa życia... Że zostawił mnie i cała ta okropna, śmiertelna prawie męka była niepotrzebna. Ray jest sadystą. A potem zacząłby od początku podawać się za Geoffa i nabierać na to dziewczęta.

– Proszę powiedzieć szczerze, czy kiedy przyszliśmy i wymieniliśmy nazwisko Smith, to sądziła pani, że jesteśmy przyjaciółmi jej męża, nieprawdaż? Myślała pani, że to Anstey nas nasłał?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Przypuszczam, że orientował się, że Smith nie żyje. Czy podawałby się za niego wiedząc o tym?

– Mógł tak zrobić. Ale chyba nie dziewczynie. Postąpiłby tak planując coś złego albo niezgodnego z prawem. Dla niego byłby to dobry kawał, gdyby zhańbił pamięć Geoffa. Mogłoby to również wynikać z przyzwyczajenia...

– Ciekawe, dlaczego został?

– Pewnie mu się tutaj podobało albo miał dobrą pracę, która mu odpowiadała. Rajem na ziemi byłby dla niego układ z nie przejmującym się niczym pracodawcą, który płaciłby

dobrze i jeszcze przymykał oko na lewe roboty. Ray miał zwyczaj proponowania klientom taniej naprawy na boku. W ten sposób poznawał swoje nowe dziewczyny...

Wexford nie miał zamiaru bardziej jej ranić, lecz sądził, że dalsze wymienianie wykroczeń Ansteya nie wywoła u kobiety większego zdenerwowania.

– Odwiedzając je w domach podczas nieobecności mężów? – spytał. – Przesiadując z nimi w samochodach i osobiście przeprowadzając naprawy?

– Niezbyt dobrze mu szło w Sewingbury – powiedziała. – Ludzie zbyt wiele o nim wiedzieli. Niektórzy właściciele warsztatów dają swoim pracownikom samochód albo przynajmniej pożyczają. I kiedy Ray rozbił jeden z takich wypożyczonych samochodów, jego szef zdenerwował się nie na żarty. Jestem pewna, że znalazł sobie później niezłą pracę – odwróciła głowę i zamknęła oczy. – Gdyby żył Geoff – szeptała – och, gdyby tylko żył... Ray nie mógłby już nas krzywdzić. Geoff usłyszałby, że on odszedł i na pewno wróciłby do mnie. Często myślałam sobie, że prędzej czy później dowie się. Kiedyś czytaliśmy w swoich myślach. Kochający się ludzie potrafią to robić. Mówiłam sobie, że przecież on też jest samotny... Nawet dłużej samotny niż ja – zaczęła znowu cicho płakać. Po jej twarzy spływały łagodne, delikatne łzy żalu, którego w żaden sposób nie można było pocieszyć. – A jednak to czytanie w myślach jest tylko pustym frazesem, bo on już nie żył. – Jej słowa były wyraźne, pomimo że mówiła i płakała jednocześnie.

– Siedziałam tak i czekałam na niego. Byłam całkiem zadowolona i spokojna. Nie była to jakaś wielka tęsknota czy coś w tym rodzaju. Po prostu spokój i myśl o tym, że pewnego dnia, wcześniej czy później... Ale wszystko przepadło. Nigdy nie nadejdzie... – Palcami starła z policzków łzy. – Czy mogę dostać swoją zapalniczkę? – spytała.

Przecząco pokiwał głową.

– Może ją pani potrzymać, ale oddamy ją pani później, jak się wszystko wyjaśni.

– Nazwa tego wzoru pochodzi z wiersza Baudelairda. Geoff wiedział, jak bardzo on mi się podobał. „... et tes seins” – cytowała – „Les grappes de ma vigne”.

Wexford słabo znał francuski, ale tym niemniej zrozumiał ten fragment. Pokazała mu bliźnię po cięciu, którą Anstey – złodziej i sadysta – zrobił jej nożem. Odwrócił oczy.

Wyglądało na to, że Russel Cawthorne podejmuje właśnie w swoim biurze jakąś młodą dziewczynę. Siedziała tyłem do drzwi i miała na sobie płaszcz nieprzemakalny koloru błyszczącej, gorącej czerwieni. Taki kolor można spotkać tylko w dwóch przypadkach: na wozach strażackich albo po świeżym malowaniu tą farbą, kiedy jest jeszcze mokra. Burden podjechał blisko wejścia. Wyskoczył z Wexfordem z samochodu i szybko wbiegli do środka. Dziewczyna odwróciła się i ich złudzenia rozwiały się. Pomiędzy szkarłatnym kołnierzem a szopą złotych włosów ujrzeli twarz pani Cawthorne. Zobaczywszy ich, właściciel warsztatu rzekł:

– Przejdźmy lepiej do domu – podniósł się ciężko chrząkając. – Ciekaw jestem, co też

panów do nas sprowadza.

W salonie wisiał stary, średniowieczny obraz przedstawiający zamyśloną Madonnę z lilią. Jej twarz wyrażała żalną pogardę. Wydawała się mówić, że wiele już w tym pokoju widziała, a większość tych rzeczy była raczej mało budująca. Pani Cawthorne zdjęła czerwony płaszcz i stała wystrojona w sukienkę z cytrynowej wełny. Jej ogromne choinkowe kolczyki zwisały aż do ramion. Czerwone i błyszczące, kojarzyły się one Wexfordowi z polerowanymi, woskowymi jabłkami.

– Ray Anstey pracował u mnie przez sześć miesięcy – powiedział Cawthorne. – Był dobrym chłopakiem, znał się na rzeczy.

Siedzieli wśród przeróżnych pseudoantycznych stolików, koszyków ze sztucznymi owocami i kandelabrow. Wexford, zdziwiony, zastanawiał się, czy chęć posiadania takich bibelotów przychodzi z wiekiem. Czy jego Sheila urządzi w ten sposób swój dom, kiedy przyjdzie na to czas?

– Pamiętam, jak przyszedł do mnie i oznajmił, że szuka tylko chwilowego zajęcia. Opowiedział historię, jak to zjawił się w tym mieście, aby odnaleźć przyjaciela. Potem okazało się, że ten jego znajomy nie żyje, więc został na trochę dłużej.

„Geoff Smith”, rozmyślał Wexford, „Smith... skrzywdzony, zraniony, udręczony – wiecznie fascynujący...”

– Miał pewnie duże skłonności do kobiet? – spytał.

– Tego bym nie powiedział. – Cawthorne spojrzał przeciągle na Burdena przypominając sobie chyba niedawne dociekanie w sprawie jego osobistych osiągnięć w tej dziedzinie. Wzdrygnął się i dodał tonem pułkownika dyskutującego z oficerem równej rangi o nieposłuszeństwie podwładnego:

– Mimo że był z niego przystojny młody diabeł.

Pani Cawthorne niespokojnie kręciła się w miejscu. Wexford spojrzał na nią. Widywał już podobne reakcje u swojej siedemnastoletniej córki Sheili, kiedy z zadowoleniem opowiadała o nieudanych zalotach swoich kolegów. Twarz jej przyoblekał wtedy taki sam kpiąco-złośliwy półuśmieszek. Ale to było przecież absurdalne... Nie chciała chyba, żeby pomyślał...

– Ty nie powiedziałabyś tego? – napadła na męża. – W takim razie w ogóle nie słuchasz tego, co do ciebie mówię!

Zdziwione spojrzenie Cawthorne’a mówiło samo za siebie.

– Boże! Czasem to tak na mnie patrzy! – zwróciła się do Wexforda. – Jestem, naturalnie, przyzwyczajona do takich rzeczy. Dobrze wiedziałam, o co temu chłopczkowi chodzi. Nic, co prawda, nie mówił, ale widać było, że ma na mnie chrapkę. Pewnie szkoda mu było stracić pracę, ponieważ bardziej nie nadskakiwał żonie swojego szefa.

Jej mąż wznosił oczy do sufitu.

– Mój Boże... – westchnął słabo.



– A kiedy odszedł? – szybko wtrącił pytanie Wexford.

Insynuacje żony najwyraźniej wytrąciły Cawthorne'a z równowagi, bo podszedł do kredensu i nalał sobie pełną szklaneczkę whisky.

– Niech pomyślę – rzekł wypiwszy połowę swojego drinka. – To było chyba w sobotę w zeszłym tygodniu.

Wexford skojarzył, że był to dzień, w którym Ray zarezerwował pokój u Ruby.

– Pamiętam, jak pomyślałem, że ma cholerny tupet.

– W jakim sensie? Dlatego, że pana zostawił?

– Nie tylko o to chodziło, ale i o sposób, w jaki to zrobił. Mam zwyczaj pożyczania samochodów swoim pracownikom, ale pod warunkiem, że mnie o tym wcześniej uprzedzą. To normalne, że młody chłopak chce gdzieś zabrać swoją dziewczynę. – Uśmiechnął się jak dobry ojciec, przyjaciel młodzieży i opróżnił szklaneczkę. – Co wieczór zabierał jeden samochód i było mu wszystko jedno, czy o tym wiedziałem, czy też nie. No, a w tę sobotę mieliśmy kupę roboty i zauważyłem, że nigdzie nie ma Ansteya. W chwilę potem nadjechał jednym z moich samochodów, cały w skowronkach i nawet słowa przeprosin. Powiedział tylko, że odwiedzał kolegę w interesach.

– A jaki to był samochód?

– Czarny morris, jeden z trzech, które mam do wypożyczenia. Musiał pan je widzieć przed wejściem.

Cawthorne uniósł do góry brew przypominającą pasek z futra niedźwiedzia polarnego i spytał:

– Może drinka?

Wexford podziękował w swoim i Burdena imieniu.

– Ale nie będą panowie mieli mi za złe, jeżeli sobie naleję, prawda?

Powtórnie napełnił swoją szklankę i kontynuował:

– „W interesach?”, spytałem go. „Twój interes jest moim interesem, kolego” mówię mu, „więc wbij to sobie do głowy”. A on mi na to odpowiada bardzo niegrzecznie: „Ciekawe, jak wyglądałyby pana interesy, gdybym nie miał skrupułów”. Tego już było za dużo. Przesadził. Powiedziałem mu, żeby się stąd czym prędzej wynosił.

Pani Cawthorne westchnęła teatralnie, aż jej kolczyki zakołysały się.

– Biedny żuczek... – rzekła. Wexford nawet przez moment nie sądził, że odnosiło się to do jej męża. – Żałuję, że nie byłam dla niego miłsza. – Nie było wątpliwości, co miała na myśli. Zachowywała się groteskowo.

„Niech mu Bóg dopomoże”, pomyślał Wexford. Miał tylko nadzieję, że nie będzie ona kolejną, pełną skruchy kobietą odczuwającą potrzebę wyłakania się w jego obecności. Jak one się cenią, wszystkie żałujące, za wszelką cenę pragną cofnąć czas...

– Skrupuły? – spytał. – Co miał na myśli?

Po raz kolejny Cawthorne obrzucił ich dziwnym wzrokiem, zwiężając oczy.

– Czyżby podbierał panu klientów? – wtrącił Burden przypominając sobie słowa pani Penistan.

– Był dobrym mechanikiem – odparł mężczyzna. – Zbyt dobrym...

Ostatnie słowa przypomniały mu widać o whisky, bo nalał sobie ponownie, najpierw napełniając szklaneczkę do połowy, po czym szybko, nie zważając na następstwa, przechylił butelkę mocniej i nalał po brzegi. Westchnął, przypuszczalnie z zadowolenia albo z rezygnacji z powodu swoich słabości i łatwego ulegania kolejnej pokusie.

– Mam na myśli to – powiedział – że zbyt pewnie brał się za prywatne roboty.

Ostatnie słowo zagłuszył głośny wybuch śmiechu pani Cawthorne, przypominający jęk piły tarczowej.

– Wkradał się w łaski klientów – kontynuował Cawthorne, ignorując zachowanie żony. – Łaskawa pani to, łaskawa pani tamto, a potem otwierał przed nimi drzwiczki samochodów i obsypywał komplementami na temat sposobu prowadzenia przez nie wozu. Do diabła z tym wszystkim! Lekka przesada, niepotrzebny luksus na takiej stacji jak moja.

– Ale to przecież nieszkodliwe.

– Pan to nazywa nieszkodliwym, kiedy taki pętał zabiera panu interes? Następną rzeczą, jaką zauważyłem, czy może zasłyszałem z siebie tylko znanych źródeł... – Spojrzał na nich groźnie jak oficer wywiadu. – Mam swoich szpiegów – rzekł zupełnie absurdalnie. – „Dlaczego nie miałbym zrobić tego dla pani prywatnie?”, pytał. „Biorę tylko dyszkę.” – Pociągnął dużego łyka. – A ja nie mogłem nic na to poradzić. Prowadząc ten warsztat, mając na głowie podatki i koszty handlowe nie wyszedłbym na swoje biorąc mniej niż dwanaście i pół funta. Straciłem przez niego kilku starych, dobrych klientów. Zarzuciłem mu to, ale on przysięgał, że nie jest winien, bo tamci jeżdżą teraz do stacji Missala. Ale wśród tamtych była między innymi pani Curran i państwo Margolis...

– Aha! – rzekł Wexford łagodnie.

Cawthorne zaczerwienił się i odparł, unikając wzroku żony:

– Może pan pomyśleć, że panna Margolis była niestała i niepewna, ale nie znał jej pan. Z nią nie było tak lekko. Liczyła każdy grosz, a nie tak: „łatwo przyszło, łatwo poszło”. Mimo iż przez prawie rok byliśmy bliskimi przyjaciółmi, nie zastanawiała się dwa razy nad przejściem na lewiznę do Ansteya. Ale i tak nadal kupowała u mnie benzynę. – Cawthorne beknął próbując zamienić to w nagły atak kaszlu.

– Czy oni się przyjaźnili?

– Anita z młodym Rayem? Nie znajdzie pan mężczyzny poniżej pięćdziesiątki, z którym ona by się nie przyjaźniła. Musiałby mieć garb albo zajęczką szczękę.

Cawthorne miał więcej niż pięćdziesiąt lat i zdawał sobie sprawę, że wiek może już być ułomnością.

– Odszedł w sobotę... – zaczął wolno Burden. – Jak pan sądzi, gdzie mógł się udać?

Było to pytanie czysto retoryczne, nie spodziewał się nawet, że otrzyma na nie

odpowieź.

– Czy pan wie, gdzie on mieszkał?

– Gdzieś w Kingsmarkham. Może któryś z moich chłopców będzie wiedział.

Jego przepita twarz zmizerniała. Wyglądało na to, że nie pamięta już wcześniejszych ostrych słów dotyczących charakteru Anity Margolis.

– Myślicie, że to on ją zabił? Zamordował małą Ann...

– Poszukajmy lepiej tego adresu.

Kolczyki pani Cawthorne podskoczyły.

– Ścigacie go? – spytała podekscytowana. Jej oczy błyszczały. – Biedna, zagoniona idiotka.

– Och, zamknij się w końcu! – powiedział jej mąż i wyszedł z pokoju.

## ROZDZIAŁ XVII

Stali w przedsionku, kiedy Cawthorne wypytywał swoich ludzi. Deszcz już przechodził i chmury przerzedzały się. Nad Kingsmarkham pomiędzy kłębiastymi obłokami od czasu do czasu pokazywały się skrawki czystego, błękitno-zielonkawego nieba.

– Sto osiemdziesiąt sześć High Street, Kingsmarkham – rzucił nadchodząc Cawthorne. – To jego kwatery. Tam mieszka czy też mieszkał.

– Sto osiemdziesiąt sześć – prędko powtórzył Burden. – Pomyślmy... Redakcja gazety zajmuje budynki od 158 do 174, potem apteka i kwiaciarnia... – odliczał numery na palcach. – Ależ to musi być...

– Cóż, to sklep Grovera. – Właściciel warsztatu wyglądał tak, jakby się tego spodziewał. – Oni wynajmują pokój na poddaszu. Kilku moich pracowników już tam poprzednio mieszkało i jak Ansteyowi wypowiedziano jego pierwsze mieszkanie niedaleko stąd, ktoś zasugerował, że może tam spróbować. Proszę pamiętać, że kwaterywał tam tylko miesiąc.

– Tuż pod naszym nosem! – powiedział gniewnie Wexford wsiadając do samochodu. – Widać to miejsce z mojego okna. Niezłe obserwatorium, szkoda gadać!

– Wiadomo, że oni przyjmują lokatorów, sir – głos Burdena brzmiał przeprasząco, ale nie bardzo wiedział, za kogo i za co ma przepraszać, dodał więc we własnej obronie: – Ośmielę się twierdzić, że wszyscy widywaliśmy młodego, ciemnowłosego faceta wchodzącego i wychodzącego stamtąd. Ale nie mieliśmy przecież powodów, aby kojarzyć go z tą sprawą. Ileż tysięcy takich niskich, ciemnych typów mieszka w samym Kingsmarkham?

– Nie musiał daleko chodzić, żeby natknąć się na ogłoszenie Ruby, co? – stwierdził ponuro Wexford. – To również dobre miejsce na ewentualne kupno następnego noża. A co z naszą teorią dotyczącą samochodów? Anstey nie miał żadnego, nie mówiąc już o zamianie czarnego na zielony.

– Dzień przed wyprawą do Ruby Anita miała pięćset funtów, a pani Penistan twierdzi, że była hojna. Może kupiła mu autko?

Zajechali na dziedziniec posterunku policji. Burden zwrócił głowę w kierunku sklepu Grovera i zobaczył wychodzącego stamtąd mężczyznę z wieczorną gazetą. Kiedy wchodzili do budynku, z szerokiego, białego daszku nad schodami skapywała woda mocząc kołnierze ich płaszczy.

– Może kupiła mu wóz – powtórzył Burden. – Za pięćset funtów można by kupić całkiem przyzwoity samochód.

– Wiemy już, że była osobą o hojnej naturze – rzekł Wexford – ale wiemy również, że miała twardą głowę i uważała na pieniądze. Nie tak, jak te stare kobiety utrzymujące swoich kochasiów. Młode dziewczęta raczej nie kupują swoim chłopakom takich prezentów.

W gabinecie Wexforda było ciepło i przytulnie. Krzesła ustawione były pod ścianą, a papiery na biurku z różanego drzewa były porządnie poukładane. Nic nie przypominało tragedii, która rozegrała się wcześniej w tym pokoju. Burden zdjął płaszcz i powiesił go przy kaloryferze.

– Kirkpatrick widział się z nią dwadzieścia po siódmej – powiedział. – U Ruby była o ósmej. Z tego wynika, że miała czterdzieści minut na zmianę palta, dojechanie do Grovera, pozostawienie tam swojego wozu do późniejszej naprawy i jazdę do Stowerton. Z łatwością mogła tego dokonać...

– Kiedy Kirkpatrick ją widział, miała na sobie futro z ocelota. W domu mogła się przebrać w płaszcz przeciwdeszczowy, ale futro znajdowało się przecież na przednim siedzeniu jej samochodu. Może to jest drobiazg bez znaczenia, a może też cholernie ważna dla nas informacja. Bo jeżeli spojrzemy teraz na kwestię czasu, to twoja teoria będzie pasowała jedynie w wypadku, gdyby Anita i Anstey mieli dostęp do zielonego samochodu. Jest to oczywiście prawdopodobne. Zobaczymy... Ale jeśli w tym czasie musieli jeszcze pożyczyć lub wynająć samochód, to ta teoria upada.

– Byłoby to możliwe w wypadku użycia samochodu Margolisa.

Drayton i Martin przerwali im swoim wejściem i zostali włączeni do dyskusji. We czwórkę usiedli przy biurku i Wexford wprowadził nowo przybyłych w szczegóły. Widział, jak twarz Draytona stężała, a spojrzenie stało się kamienne na wzmiankę o sklepie Grovera.

– W porządku – rzekł patrząc na zegarek. – Pozwólmy im zamknąć interes. Wtedy wkroczymy. O ile mi wiadomo, Grover jest teraz obłożnie chory, nieprawdaż? – Ostro, a zarazem wyczekująco spojrzał na Draytona.

– Jest już znowu na nogach, sir.

– To dobrze. – Wexford pokiwał głową. – A o co chodzi z tym samochodem Margolisa? Przecież on był wtedy w Londynie.

– Zostawił go przy stacji kolejowej. Jego wóz jest zielony. Czyż Anita nie przeszła by tych kilkuset metrów do stacji, aby pożyczyć samochód brata? Mogliby go odstawić na czas przed jego powrotem.

– Nie zapominaj, że myśleli, że on wróci o dziewiątej, a nie o jedenastej. Nikt nie wiedział, że zostanie zaproszony na obiad przez szefa galerii.

– I co z tego? – Burden wzruszył ramionami. – Jeżeli kogokolwiek moglibyśmy nazwać beztroską parą, to byłby to z pewnością Margolis ze swoją siostrą. Nie znalazłszy tam samochodu pomyślałby, że pewnie zostawił go gdzieś indziej, albo że po prostu został

skradziony. Nie zrobiliby również nic do czasu pojawienia się siostry. Anstey pozbył się jej ciała, odprowadził wóz Margolisa na parking przy dworcu. A kiedy wszyscy już słodko spali, napełnił chłodnicę samochodu dziewczyny biorąc ze sobą na wszelki wypadek pojemnik z wodą i pojechał nim do Quince Cottage.

Spodziewał się zobaczyć na twarzy Wexforda wyraz aprobaty i zadowolenia podobny do tego, jakim szef obdarzył go poprzedniego wieczora w barze „Olive & Dove”. Wszystko zaczynało do siebie pasować i to właśnie on, Burden, tak znakomicie powiązał ze sobą te fakty. Dlaczego w takim razie usta szefa zwięźły się w powątpiewającym grymasie? Czekał na komentarz lub też stwierdzenie, że jego rozumowanie jest prawdopodobne, tymczasem główny inspektor odezwał się spokojnie:

– Mam inną teorię.

Sklep był już zamknięty. W wąskiej uliczce pomiędzy domem Grovera a kwiaciarnią błyszczały kałuże wody odbijając zielonkawe światło latarni. Dwa pojemniki na śmieci wystawione były przed drzwiami garaży czekając na poranną wizytę śmieciarzy. Błąkający się kot obwąchiwał kubły zostawiając mokre ślady łap na porzuconej przez kogoś gazecie.

Drayton nie chciał iść z nimi. Wiedział już, że Ray Anstey był tym mężczyzną, który całował wtedy Lindę na moście. To on mieszkał w ich domu i pożyczał samochody swego szefa, aby jeździć z nią na randki. Kto wie, czy nie używali tego samego wozu, którym on sam zabrał ją do lasu Cheriton. Ten facet zdradził ją z Ann Margolis, a Linda jego z młodym policjantem. Było to karuzela, która raz na jakiś czas zatrzymywała się na dłuższą przerwę. Czuł, że właśnie teraz stanęła i że muszą wysiąść z niej razem, przypuszczalnie raz na zawsze.

Nie chciał tam iść. Zostaną mu objawione niepożądane brudne historie, a ona w trakcie przesłuchań mogłaby zacząć mówić o miłości, którą on wołałby teraz wymazać i zapomnieć. Podczas kiedy Burden pukał w szybę, siadł z tyłu. Zorientował się nagle, że w gruncie rzeczy to, czy Wexford chciał, aby tutaj był czy też nie, nie miało większego znaczenia. Bo gdzie mógłby udać się tego wieczoru? I tak przyszedłby pod sklep, tak jak to czynił codziennie.

Otworzył im Grover we własnej osobie. Drayton spodziewał się, że mężczyzna będzie niechętnie widzieć ich w swoim domu. Tymczasem był przymilny, a sztuczna uprzejmość jego powitania była bardziej odpychająca niż wrogość, której się spodziewali. Jego czarne włosy były gładko zaczesane do tyłu, aby zakryć niewielką łysinę i pachniały olejkiem fiołkowym. Jedną rękę trzymając z tyłu na plecach, wpuścił ich do środka i zapalił światło.

– Ray był tutaj przez miesiąc – odpowiadał na pytanie Wexforda – Cawthorne wyrzucił go w sobotę i pewnie dlatego wyjechał we wtorek. Tak przynajmniej mówi Lin i moja żona. Osobiście się z nim nie widziałem, bo byłem przykuty do łóżka.

– O ile wiem, wynajmował pokój na poddaszu?

Grover skinął głową. Mimo iż nie był starym człowiekiem, ubierał się jak ktoś w bardzo podeszłym wieku. Drayton usiłował wyglądać na twardziela i nie ruszać się, ale uwadze jego

nie umknął porozpinany sweter, stara koszula bez kołnierza i workowate spodnie, które wyglądały jakby nigdy nie były czyszczone czy prasowane.

– Jego pokój jest ogarnięty – powiedział szybko właściciel sklepu. – Lin już go wysprzątała. On zresztą nic po sobie nie zostawił, więc nie ma sensu, żebyście tam szli.

– Mimo to rzucimy jednak okiem – stanowczo rzekł Burden.

Chłodno rozglądał się dookoła, zatrzymując wzrok na półce z czasopismami, po czym wolno skierował się w ciemny kąt, gdzie znajdowała się biblioteczka. Grover utykając poszedł za nim.

– Nie mam panu nic do powiedzenia, panie Burden – rzekł. – On nie zostawił żadnego adresu, zapłacił czynsz z góry za przyszły miesiąc... zostały mu jeszcze trzy tygodnie.

Burden z kamienną twarzą wziął z półki książkę i otworzył ją w środku. Nie zmieniając wyrazu twarzy powiedział:

– Opowiedz mi o zeszłym wtorku.

– Co mam powiedzieć? Nie mam nic do dodania. Przez całe popołudnie Lin gdzieś latała. Nie było w domu chleba, a sklepy zamykają we wtorki wcześniej... ale nie my. Mamy otwarte do siódmej... Lin skoczyła więc do Stowerton. Około siódmej moja żona pojechała do przyjaciół na wista, a Lin też gdzieś wtedy zniknęła... Aha, była w pralni – przerwał uśmiechając się cnotliwie.

Drayton poczuł, jak wzbiera w nim złość. Drażnił i denerwował go sposób, w jaki Grover wykorzystywał swoją córkę do wszystkich nadarzających się prac. Nie mógł liczyć na zmieszanie czy zażenowanie ze strony tego człowieka, bo niby dlaczego, skoro nie miał należytego uznania dla córki.

– W ogóle Raya tego dnia nie widziałem – mówił Grover. – Widzi pan, byłem w łóżku. Pewnie myślicie, że wstąpił do mnie, aby się pożegnać i podziękować za wszystko, co dla niego zrobiłem.

– Jak na przykład... – wysyczał Burden – zapewnienie mu posiadania śmiercionośnej broni i temu podobne rzeczy?

– Nigdy nie dałem mu tego noża. Miał go już, kiedy się tutaj pojawił.

– Proszę mówić dalej.

– Co mam jeszcze mówić, panie Burden? – Grover dotknął krzyża ostrożnie napinając mięśnie. – Mówiłem już panu, że ostatni raz widziałem go w poniedziałek. Lekarz zjawił się przed wyjściem mojej żony i kazał mi zostać w łóżku...

– I nikt inny tego wieczoru nie przeszedł?

– Tylko ta dziewczyna – odparł Grover.

Burden starł kurz z trzymanej w ręku książki i odłożył ją na miejsce. Podszedł do mężczyzny i stanął obok niego.

– O jakiej dziewczynie pan mówi? Jak to było?

– Leżałem w łóżku, kiedy usłyszałem walenie do drzwi sklepu – spojrzał na Wexforda

ponuro, ale z filuternym błyskiem w oku. – Nie wiem czemu, ale pomyślałem sobie, że to pewnie wy, policja... – rzekł. – To bardzo piękne, jak lekarz zaleca, żeby pod żadnym pozorem nie wstawać z łóżka, ale co miałem robić, jak ktoś tłucze mi w szybę tak, że aż się wszystko trzęsie? – zadrżał być może na wspomnienie wcześniejszego, bardziej dotkliwego bólu. – To była jedna z tych jego klientek. Widywałem ją już wcześniej. Wysoka, trochę starsza od mojej Lin, niezła sztuka. Chcecie wiedzieć, jak wyglądała?

– Oczywiście, nie przyszliśmy tutaj na towarzyską pogawędkę.

Stojącemu przy półkach z książkami Draytonowi zrobiło się prawie niedobrze. Odpowiedź Burdena nie zbiła mężczyzny z tropu. Przymknął oczy rozciągnawszy wargi w szerokim uśmiechu, jednocześnie nie rozwierając ich. Ten kpiący, a zarazem pochlebny uśmieszek był jakby odbiciem, pierwowzorem i kopią uśmiechu Lindy. Drayton obserwując go poczuł, jak zbiera mu się na wymioty.

– Była naprawdę w porządku – powtórzył Grover porozumiewawczo mrużąc oko. – Miała białą skórę i czarne włosy, a dwa takie zabawne loczki spływały jej na policzki. – Zastanowił się zwilżając wargi językiem. – Była w czarnych spodniach i futrze w kropki. „O co chodzi? Czemuż pani tak wali?“, spytałem. „Nie widzi pani, że zamknięte?“ A ona na to: „Gdzie Ray? Jeśli jest u siebie w pokoju, to pójdę tam i wyciągnę go“. „Nic z tego“, mówię jej: „Nie ma go tam“. Wyglądała na bardzo zdziwioną, więc spytałem, po co go szuka. Nie wiem, czy nie spodobało jej się moje pytanie, czy też po prostu wymyśliła taką wymówkę, bo odparła, że idzie na przyjęcie. A potem dodała: „Jestem już cholernie spóźniona, a do tego wszystkiego wysiadła mi jeszcze chłodnica“. Ale ja nie widziałem tam żadnego samochodu i w ogóle byłem trochę zdziwiony. Dziewczyna sprawiała wrażenie zbyt pewnej siebie, tak jakby ona i Ray... Sądziłem, że on ma poważne zamiary co do mojej Lin...

Drayton zakaszłał boleściwie. Brzmiało to jak jęk w ciszy, która nastąpiła po słowach Grovera. Wexford spojrzał na niego chłodnym wzrokiem.

Po krótkiej przerwie sklepikarz kontynuował:

– „W takim razie może lepiej by było pojechać do warsztatu?“, poradziłem i wyszedłem na chodnik w szlafroku. Stało tam to białe sportowe cacko. Na podjeździe. A pod nim kałuża wody. „Nie pojedę tym wozem“, powiedziała. „Boję się, że wybuchnie ze mną w środku.“

– Czy ona potem odeszła? – spytał Burden z wyraźną nutką triumfu w głosie.

– Tak myślę, ale nie czekałem, żeby to zobaczyć. Zamknąłem drzwi i poszedłem do łóżka.

– I nic więcej pan nie słyszał?

– Nic, do czasu powrotu żony. Pamiętam jak jeszcze myślałem, że dobrze by było, gdyby ona zabrała ten swój samochodzik z podjazdu, bo w przeciwnym razie Lin nie mogłaby wprowadzić mojego wozu do garażu. Ale szybko zasnąłem i następną rzeczą, jaką pamiętam jest, jak żona kładła się spać mówiąc, że Lin wróciła przed pół godziną. Czy chcielibyście teraz zobaczyć jego pokój?



Burden zmarszczył brwi. Wyszedł z ciemnego kąta i stanął pod oświetloną ladą. Spojrzał w kierunku bocznych drzwi wychodzących na wąską uliczkę. Przez chwilę Draytonowi zdawało się, że widzi tam nadchodzącą jakąś postać, być może była to Linda. Spiał się, aby być przygotowany na jej wejście. Tymczasem Burden zwrócił się do właściciela sklepu z pytaniem:

– Gdzie on przeprowadzał te swoje naprawy?

– W moim zapasowym, nie używanym garażu – odparł Grover. – Bo widzi pan, ja mam dwa. Swój własny wóz trzymam w jednym, a drugi zazwyczaj odnajmowałem. Ale od jakiegoś czasu nie miałem nikogo chętnego, więc kiedy Ray powiedział, że go wynajmie, to zgodziłem się. – Pokiwał głową. Wyglądało na to, że była to jedna z uprzejmości, za jaką spodziewał się wdzięczności Ansteya. – Brałem od niego tylko piąta. Musicie wiedzieć, że miał wielu klientów. Podejrzewam, że w poprzednim miejscu zamieszkania robił dokładnie to samo.

– Chciałbym zobaczyć oba garaże – rzekł Burden. – Klucze?

– Ma je żona. – Grover poszedł do przedsionka i zdjął z wieszaka stary płaszcz. – Albo Lin. Doprawdy nie wiem. Z moim krzyżem było tak źle, że nie wyprowadzałem samochodu od prawie dwóch tygodni. – Zaczął z trudnością wkładać płaszcz, wykrzywiając z bólu twarz.

– Drayton, klucze! – lakonicznie rzucił Wexford.

W połowie schodów Drayton natknął się na schodzącą w dół panią Grover.

Spojrzała na niego bez większego zainteresowania. Pomyślał, że obędzie się bez zbędnej wymiany zdań.

– Czy mógłbym panią prosić o klucze od garażu? – spytał.

Najwyraźniej Linda powiedziała jej, kim był.

– W kuchni – odparła. – Lin zostawiła je na stole – przyglądała mu się wzrokiem krótkowidza. Jej oczy były tak szare jak córki, ale zdawały się być wypłukane z wszelkiego wyrazu. A jeśli nawet kiedykolwiek trzymały łzy, to dawno już je wypłukały.

– Nie myślę się chyba sądząc, że jesteś jej nowym chłopaczkiem, prawda?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

– Mówiła, że chcieliście wziąć dzisiaj samochód – powiedziała sucho. – Byłoby lepiej, żeby ojciec nic o tym nie wiedział.

– W takim razie pójdę na górę.

Pani Grover obojętnie skinęła głową. Drayton obserwował ją, jak powoli schodzi po schodach i wychodzi z domu bocznym wyjściem. Drzwi do kuchni były otwarte, więc wszedł do środka. Z dala od jej rodziców poczuł się trochę lepiej, ale serce biło mu boleśnie. Klucze leżały na stole, po jednym od każdego garażu i jeden kluczyk od stacyjki, wszystkie razem przytwierdzone do skórzanego breloczka. Obok leżał stos bielizny do prasowania, na widok której ponownie poczuł oszołomienie i zamieszanie doświadczone wcześniej w sklepie. Włożył klucze do kieszeni i ruszył w kierunku schodów. Z przeciwnej strony otworzyły się

drzwi i ukazała się w nich Linda. Po raz pierwszy ujrzał ją w rozpuszczonych włosach. Przesłaniały jej ramiona jasnym, lśniącem welonem. Uśmiechnęła się lekko i wstydliwie, bez kokieterii.

– Przychodzisz za wcześnie – powiedziała tak samo jak tego dnia, kiedy zabrał ją do Wexforda. – Nie jestem jeszcze gotowa.

Dotarło do niego, iż ani ona, ani jej matka nie zdawały sobie sprawy po co tutaj przyszedł i z tego, że inni czekają na niego na dole w sklepie. A może nie musiała o niczym wiedzieć i poznanie prawdy o tym, co prawdopodobnie znajdowało się w jednym z tych garaży będzie mogło być jej zaoszczędzone?

– Poczekaj na mnie – rzekła. – W sklepie. To nie potrwa długo.

– Przyjdę później – odparł. Sądził, że będzie mógł zejść na dół bez okazywania żadnych czułości. Ale patrząc na nią nie był w stanie ani się ruszyć, ani oderwać oczu od czaru jej lekkiego, łagodnego uśmiechu i złotej zasłony włosów.

– Mark – rzekła z zapartym tchem. Podeszła do niego drżąc cała. – Mark, pomożesz mi, prawda? Wyciągniesz mnie z tego wszystkiego?

Bielizna na stole, sklep, cała ta ciężka i nieprzyjemna robota... Pokiwał głową nie wiedząc, w co właściwie się angażuje. Nieprzemysłana pomoc? Małżeństwo?

– Kochasz mnie?

Tym razem odpowiedź na to pytanie była nie do uniknięcia i mogła stać się sygnałem do ostatecznego odwrotu. To, że ona go kochała i pragnęła jego miłości uważał za cud, obdarzenie niezwykłą łaską i przywilejami. Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie ustami dotykając jej włosów.

– Kocham cię – szepnął. Użył zakazanego słowa i odczuł ogarniającą go ze wszystkich stron chęć krzyku, wrzasku z całych sił. – Zrobiłbym dla ciebie wszystko – powiedział, po czym puścił ją i zbiegł po schodach w dół.

Z drzwi garażu odpryskiwała wyblakła zielona farba. Rynny były prawdopodobnie zatłakane, ponieważ woda tryskała z góry tworząc pokrytą szumowinami kałużę tuż obok kubłów na śmieci. Drayton wyszedł na wąską uliczkę przez tylne drzwi. Ręce drżały mu silnie z powodu tego, co zaszło przed chwilą w kuchni. Zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym stał Grover i policjanci, pocałował ją po raz pierwszy. Podniósł kaptur, aby ochronić się przed deszczem i wręczył klucze Wexfordowi.

– Sporo czasu ci to zajęło.

– Musieliśmy ich poszukać – wymamrotał Drayton.

Nie wiedział czy to „my”, czy też ewidentne kłamstwo spowodowało chłodne spojrzenie szefa. Podeszedł do kubłów i stanął tam obserwując ich wszystkich.

– Nim otworzymy drzwi – rzekł Wexford – chciałbym wyjaśnić do końca jeden mały szczegół.

Mimo iż nie było zimno, Grover zacierał dłonie i przestępował z nogi na nogę.

Niezadowolony spojrzął na głównego inspektora.

– Inspektor Burden zamierzał zadać panu pytanie dotyczące pory, o której panna Margolis, ta dziewczyna z białym samochodem, zjawiała się tutaj. Pragnął zapytać o to, ale w międzyczasie wypadło coś innego i zapomnieliśmy o tym.

– Pozwolę sobie przypomnieć to panu – szybko wtrącił Burden. – Pomędzy pół do ósmej a ósmą, prawda?

Grover przygarbiony i trzęsący się z zimna ożywił się niespodziewanie.

– Wpół do ósmej? – powtórzył z niedowierzaniem w głosie. – Pan żartuje. Mówiłem przecież, że żona i Lin wróciły zaraz po tym. Wpół do ósmej, jak rany! Była już co najmniej dziesiąta.

– Ona nie żyła o dziesiątej! – desperacko wykrzyknął Burden i zwrócił się do Wexforda, aby zaprotestować, ale tamten stał uśmiechając się dziwnie łagodnie, kompletnie pogrążony w swoich myślach.

– Ona już nie żyła! Myli się pan, pomylił pan godziny!

– Otwórzmy drzwi – odezwał się Wexford.

Drayton otworzył pierwszy garaż, który okazał się być pusty. Na betonowej podłodze widać było jedynie czarną plamę po rozlanym oleju.

– Czy to tego garażu używał Anstey?

Grover przytaknął głową, podejrzliwie rozglądając się dookoła.

– W drugim jest tylko mój samochód.

– Mimo wszystko rzucimy okiem.

Drzwi zacięły się i Drayton musiał pchnąć je mocno ramieniem. Kiedy puściły, Burden zapalił latarkę i strumień światła padł na oliwkowozielonego mini.

Wexford otworzył przymknięty bagażnik i wyciągnął stamtąd dwie walizki i płócienną torbę z narzędziami. Szemrząc coś pod nosem, Grover zaczął obmacywać torbę. Widząc to Burden szorstko odepchnął jego rękę. Przez tylnią szybę dostrzegli coś leżącego na przednim siedzeniu samochodu. Sztwywny tłumok, z którego sterczała ręka w płaszczu przeciwdeszczowym. Widać było też wystające kępki czarnych włosów, które straciły już swój naturalny, żywy połysk.

Wexford precyzyjnie przycisnął swoje masywne ciało pomiędzy samochodem a ścianą garażu. Nacisnął klamkę i otworzył drzwiczki najszerzej, jak to było możliwe. Zaciśnawszy mocno usta, czując nawrót mdłości, Drayton też podszedł bliżej i zajrzał do środka przez ramię głównego inspektora. Leżące przed nimi ciało miało na piersiach szerniałą plamę zaschniętej krwi, która znajdowała się również na trzonku i ostrzu leżącego obok noża. Kiedyś młoda i piękna twarz nadal miała w sobie coś urodziwego i symetrycznego. Lecz jedno stało się pewne: trup nie był kobietą.

– Anstey – zwięźle zauważył Wexford.

W kąciку ust zmarłego przyschła ciemna strużka krwi. Drayton przyłożył do twarzy

chusteczkę i wybiegł z garażu.

Nadeszła z tyłu, a jej rozpuszczone włosy lekko poruszały się na wietrze. Na nagich rękach i twarzy widać było gęsią skórę, białą i szorstką, wyglądającą na okropną wysypkę. Niesamowitym zdawał się fakt, że jej usta jeszcze nie tak dawno śmiały się i całowały.

Drayton zobaczywszy ją zatrzymał się. Na deszczu i wietrze stała przed nim śmierć. Spod naciągniętej skóry przeraźliwie gapiała się na niego biała czaszka. Widok ten był dużo straszniejszy niż to, co przed chwilą ujrzał w samochodzie.

Rozsunąwszy wargi, które śmiały się dla niego i były jego fetyszem, wydała z siebie przerażający krzyk.

– Miałeś mnie ocalić! Kochałeś mnie, zrobiłeś dla mnie wszystko! Miałeś obronić!

Wyciągnął ręce, ale nie po to, żeby ją przytulić, tylko odepchnąć daleko od siebie.

– Po to tylko spotykałam się z tobą! Mówiłeś, że mnie ocalisz! – krzyczała i rzuciwszy się na niego próbowała drapać mu policzki poobgryzanymi paznokciami, które nie mogły go zranić. Na szyi poczuł dotyk czegoś zimnego. Był to srebrny łańcuszek, który Anstey ukradł swojej żonie.

Burden odciągnął Lindę Grover do tyłu i trzymał mocno, podczas kiedy ona płacząc i wierzgając próbowała kopnąć stojącego z zamkniętymi oczami Draytona. Z jej ostrych, wzburzonych słów nie rozumiał nic oprócz tego, że nigdy go nie kochała. Było to dla niego czymś, czego nigdy by się nie spodziewał, niewypowiedzianą prawdą, która powoli niby nóż wbijała mu się w głowę. Odwrócił się od wpatrzonych w niego surowych oczu mężczyzny i nieznośnego wzroku dziewczyny. Chwiejąc się odszedł do tyłu, gdzie zwymiotował.

## ROZDZIAŁ XVIII

Czekała w gabinecie Wexforda. Dwie minuty wcześniej, w holu posterunku powiadomiono go o jej obecności, wobec czego mógł wcześniej stłumić swoje zdziwienie i spotkać się z nią z należytym opanowaniem oraz pewnością siebie.

– Zdaje się, że panna Margolis?

Musiała już być w domu. Po przybyciu do Kingsmarkham najprawdopodobniej udała się prosto do Quince Cottage po swoje futro z ocelota, które miała narzucone na ramiona. Pod spodem ubrana była w mieniący się jak pawie pióra, zielonawo-niebieski z odcieniem purpurowo-brązowym kombinezon.

Z miejsca zauważył jej opaleniznę i brązowy połysk włosów, spowodowane niewątpliwie przez cieplejsze słońce niż to, które świeciło w okolicach Kingsmarkham.

– Rupert powiedział mi, iż sądzicie, że nie żyję – odezwała się. – Ale nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. On ma tendencję do gmatwania faktów. Pomyślałam więc, że przyjdę i wyjaśnię. – Siedziała na brzegu jego biurka, skąd wcześniej odepchnęła zalegające blat papiery. We własnym pokoju czuł się jak gość i nie zdziwiłby się, gdyby ona tym samym władczy i stanowczy, ale równocześnie łaskawym tonem poprosiła go o zajęcie miejsca na jednym z krzeseł.

– Sądzę, że już to rozgryzłem – odrzekł stanowczo. – Może więc ja będę mówił, a pani poprawi moje ewentualne błędy.

Uśmiechnęła się do niego z kocią radością.

– Była pani w Hiszpanii lub we Włoszech. Może na Ibizie?

– W Positano. Wróciłam dzisiaj rano – założyła nogę na nogę. Jej spodnie były poszerzone u dołu i wykończone różowymi frędzlami. – Dickie Fairfax przepuścił sporo mojej forsy w ciągu jednego tygodnia. Patrząc na mnie, odnieść można inne wrażenie, ale w głębi duszy jestem bardzo drobnomieszczańska. Miłość jest w porządku, ale to tylko abstrakcja, rozumie pan? A pieniądze to konkret i jak ich nie ma, to koniec, kropka. – Po chwili namysłu dodała: – Więc zostawiłam go i wróciłam do domu. Obawiam się, że będzie zmuszony zdać się teraz na łaskę konsulatu. – Czarne brwi spotkały się nad jej ślicznym, orlim nosem. – Ale panu zapewne nazwisko Dickiego nic nie mówi, prawda?

– Cóż, mogę się jedynie domyślać, że jest on tym młodym człowiekiem, który nie

spotkawszy pani na przyjęciu u Cawthorne'ów, wyruszył na poszukiwanie, głośno deklamując ustępy z poematu Omara Khayyama.

– Doskonale! To właśnie on. – Wexford pomyślał, że jeżeli w ten sam sposób patrzyła na innych mężczyzn, schlebując im i pociągając, to nic dziwnego, że pozwalali się tak omotać i pożyć w całości.

– Widzi pan – kontynuowała – naprawdę miałam zamiar pójść na to przyjęcie, ale zepsuło się to moje kretyńskie auto. Nie miałam najmniejszego pojęcia, że coś nie gra aż do wpół do dziesiątej, kiedy chciałam już tam jechać. Całą drogę gotowało się w nim jak w czajniku, więc pomyślałam o Rayu. Wiedziałam, że zrobiłby to dla mnie... No tak, ale to przecież pan miał mówić!

Wexford niezbyt entuzjastycznie odwzajemnił jej uśmiech. Męczyły go już te młode kobiety, ich sposób bycia, te sztuczki i chwytły.

– Mogę tylko zgadywać – odrzekł. – Nie zastawszy Ansteya spróbowała pani dojechać do Cawthorne'ów, ale samochód wysiadł zupełnie. Tak?

– Coś pan pominął. Widziałam Raya. Próbowalam właśnie odjechać stamtąd, kiedy nadjechała ta dziewczyna od Grovera. Ray siedział z przodu obok niej i wyglądał przerażająco. Ona powiedziała mi, że jest pijany, ale moim zdaniem wyglądał raczej na konającego. Nie pozwoliła mi się do niego zbliżyć, więc wycofałam samochód i zostawiłam ich.

– On rzeczywiście umierał – rzekł Wexford – albo już nie żył.

Zdziwiona uniosła brwi aż do grzywki, lecz nic nie powiedziała.

– Trzeba było przyjść do nas, panno Margolis. Był to właściwie pani obywatelski obowiązek.

– Ale przecież powiedziałam o tym – odparła łagodnie. – Powiedziałam Rupertowi. Czy może raczej poinformowałam go. Odjechałam spod sklepu Grovera zaledwie około stu metrów, kiedy wóz nawalił. Cóż, miałam w pojemniku trochę wody, więc napełniłam chłodnicę. W pewnym sensie pełzłam w stronę Stowerton, a w połowie drogi siedząc w tym diabelskim pudle i przeklinając swój los zauważyłam idącego Dickiego. Śpiewał z całych swoich sił o radościach i szczęściu, owocach... zdaje się winogronach, czy coś w tym stylu. Jakieś pół roku temu mieliśmy ze sobą tak zwany romans. Siedzieliśmy sobie w samochodzie rozmawiając o tym i o owym. Miałam w torebce przy sobie kupę forsy. I chyba to podziałało jak lep na muchy. On jak zwykle tkwił w tym swoim cholernym dołku finansowym, a kiedy dowiedział się, że jestem nadziana, zaproponował, żebyśmy udali się do Włoch. No i w sumie spodobał mi się ten pomysł, bo przecież zgodzi się pan chyba ze mną, że klimat tutaj jest nie do zniesienia.

Wexford westchnął. Nie było wątpliwości, że dziewczyna ulepiona jest z tej samej gliny co jej brat.

– Dickie był strasznie nawalony – dodała niezbyt kulturalnie i z naturalną dla siebie

swobodą.

Wexford dziękował Bogu, że Burden zajęty był chwilowo czymś innym.

– Siedzieliśmy tak dość długo. Kiedy już w końcu trochę wytrzeźwiało, poszedł z powrotem do Cawthorne'ów po samochód, a ja odwiozłam swój do domu. Musiało być koło pierwszej. Rupert spał już, a ponieważ nie znosi, jak mu się przeszkadza, napisałam mu wiadomość, gdzie się wybieram. Przypomniałam sobie jeszcze o Rayu i dopisałam, żeby poszedł do Grovera i sprawdził, czy wszystko w porządku, bo coś mi się nie podobało.

– Gdzie to pani zostawiła?

– Co zostawiłam?

– Tę informację.

– Ach, informację! Napisałam ją na dużym kawałku brystolu i ustawiłam przy kupie starych gazet leżących w kuchni. Podejrzewam jednak, że się później gdzieś zapadła.

– Wyrzucił ją – odparł Wexford. – Nawaliło oświetlenie i wyrzucił ją po ciemku razem z gazetami na dwór. Proponował, żebyśmy przysłali kogoś do posprzątania tego bałaganu. – Po chwili namysłu dodał: – Uważaliśmy, że to poniżej naszej godności. Może powinniśmy być bardziej uczynni na przyszłość?

– Cóż, niewątpliwie zaoszczędzilibyście sobie wielu kłopotów – stwierdziła Anita Margolis. Nagle roześmiała się, kołysząc się w przód i w tył tak, że stojąca na biurku szklana figurka zatrzęsała się ostrzegawczo. – To tak charakterystyczne dla Rupcia. Uważa, że świat winien mu jest cały regiment niewolników na jego usługi. – Przypomniała sobie, że rozmowa dotyczy mało zabawnego tematu, szybko uspokoiła się i spoważniała. – Umówiliśmy się z Dickiem na High Street – kontynuowała – i pojechaliśmy prosto na londyńskie lotnisko.

– Dlaczego zmieniała pani palto?

– Zmieniłam palto?

– To, które ma pani teraz na sobie, znaleziono na siedzeniu w samochodzie.

– Już sobie przypominam. Straszliwie padało, więc włożyłam na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, jedyny jaki posiadam, z czerwonego plastiku. Widzi pan, samochód Dickiego robi taki hałas, że nie chciałam, aby zburzył spokój i obudził Ruperta. Dlatego właśnie umówiłam się z nim w mieście. – Spojrzała na niego diabolicznie. – Siedział pan może kiedyś przez trzy godziny w przesiąkniętym wodą futrze?

– Nie przypominam sobie.

– Czuję się jak przysłowiowa zmokła kura.

– Przy okazji wzięła pani z domu paszport?

Potaknęła, a on spytał trochę rozgoryczony:

– Czy pani nigdy nie przysyła widokówek swemu bratu, panno Margolis?

– Och, proszę mi mówić Ann. Wszyscy tak do mnie mówią. A wracając do kartek, to może i bym to zrobiła, gdybym się dobrze bawiła, ale jak Dickie pozbywa się dosłownie milionów tych okropnych małych lirów, to nie mogłam się po prostu w tym wszystkim

połapać. Biedny Roo! Chcę go jutro wywieźć na Ibizę. On jest taki wytracony z równowagi, a poza tym, nie mogę tutaj nosić swoich ślicznych nowych ciuchów, nieprawdaż?

Apetycznie ześliznęła się z biurka. Niestety, zbyt późno, aby zapobiec tragedii, Wexford zauważył, jak jedna poła jej futra zahaczyła o delikatne i kruche szkło. Niebieska figurka zanurkowała w dół, ale to raczej gwałtowny skok dziewczyny w celu uratowania jej spowodował, że roztrzaskała się o nogę jego biurka.

– O Boże! Tak strasznie mi przykro! – wykrzyknęła Anita Margolis.

Schyliwszy się szybko pozbierała kilka większych kawałków szkła i chociaż nie wyglądała na specjalnie mocno przejętą, dodała: – Tak mi głupio, co za wstyd.

– Mówiąc szczerze, nigdy jej nie lubiłem – odparł Wexford. – Ale mam jeszcze jedno pytanie, nim pani stąd wyjdzie. Czy kiedykolwiek posiadała pani zapalniczkę?

– Jaką zapalniczkę?

– Taką złotą z dedykacją dla Ann opromieniającej czyjeś życie.

Z namysłem przechyliła głowę tak, że kosmyki czarnych włosów opadły jej na policzki.

– Czy chodzi o zapalniczkę, którą pokazałam kiedyś Alanowi Kirkpatrickowi? – Wexford potwierdził skinieniem głowy. – Ona nigdy nie należała do mnie – odparła. – Była Raya.

– Naprawiając samochód zostawił ją przez przypadek?

– Uhmhm. Aha. Oddałam mu ją następnego dnia. Ale przyznam, że pozwoliłam Alanowi myśleć, że jest moja. – Kręciła stopami w swoich pozłacanych sandałach, wciskając drobinki szkła w dywan. – On był zawsze tak strasznie zazdrosny, aż mnie korciło, żeby go podenerwować. Widział pan jego samochód? Chciał mnie w nim zabrać na randkę. Trochę mnie to oburzyło i spytałam, za kogo mnie bierze. Nie jestem żadnym okazem wartym objazdowego pokazywania. Obawiam się, że poczuł się tym urażony. Czasem drażnię ludzi...

– Narobiła nam pani niezłego bigosu – surowo stwierdził Wexford.

List z rezygnacją leżał wśród innych papierów na jego biurku. Jeszcze nie otworzył. Gruba, biała koperki z nazwiskiem głównego inspektora wypisanym czystym, prostym pismem. Drayton użył dobrego papieru i atramentu. Wexford wiedział, że lubił on dobre strony życia, wszystko to, co najlepsze i najpiękniejsze. Ale trzeba być zawsze ostrożnym, bo nawet piękno potrafi być zwodnicze i zatrute.

Wexford pomyślał, że go rozumie, lecz to nie zdoła powstrzymać go przed przyjęciem tej rezygnacji. Dziękował jedynie Bogu, że wszystko zdążyło wyjaśnić się na czas. Jeszcze dzień, a zaproponowałby Draytonowi wzięcie udziału w organizowanej przez Sheilę wyprawie z grupą jej młodych znajomych do teatru w Chichester. Następnego dnia...

Anita Margolis zostawiła za sobą intensywny zapach perfum. „Chant d’Amores”. Wexford znał się na tym dość dobrze. Była to woń frywolna i wykwinna. Dojrzała, taka jak ona sama. Otworzył okno, aby wywietrzyć pokój przed nadchodzącym spotkaniem.

Drayton zjawił się pięć minut przed umówionym czasem, w chwili kiedy główny



inspektor klęczał na podłodze zbierając odłamki szkła. Pomimo niezbyt wygodnej pozycji Wexford nie zmieszał się. Wykonując zajęcie odpowiednie dla sprzątaczk, uważał, że każda konkretna robota jest lepsza od ciskania się w tę i z powrotem, tak jak to robił detektyw konstabl. Drayton po prostu zrobił z siebie głupka.

– Więc składasz rezygnację? – spytał. – Uważam, że to najmądrzejsza rzecz, jaką możesz zrobić.

Twarz Draytona, trochę bledsza niż zwykle, nie drgnęła. Cztery czerwone smugi płonęły na każdym policzku, lecz paznokcie dziewczyny były zbyt krótkie, aby uszkodzić skórę. Wyraz jego twarzy nie był ani wyzywający, ani też pokorny. Wexford spodziewał się, że chłopak będzie zakłopotany. Nie zdziwiłby go nagły i gwałtowny wybuch długo powstrzymywanej emocji. Może to jeszcze nadejdzie... Jednak w tej chwili był zimno opanowany. Wyglądał na wręcz spokojnego.

– Słuchaj, Drayton – zaczął ciężko – nikt z nas nie sądzi, żeś rzeczywiście tej dziewczynie cokolwiek obiecywał. Znam cię na tyle dobrze, aby w to nie wierzyć. Lecz cała ta sprawa śmierdzi i ty chyba również zdajesz sobie z tego sprawę.

Wąski uśmiezek mógł uchodzić za replikę ostrożnego żartu.

– Smród korupcji – powiedział Drayton tonem chłodniejszym od śmiechu. Pomiędzy nimi zalegał w powietrzu zapach francuskich perfum.

– Właściwie to sądzę, że nikt nie ma prawa czynić nikomu żadnych wyrzutów. – Cóż innego można było powiedzieć? Mdlilo go na myśl o pompatycznym kazaniu, które przygotował na tę okazję. – Mój Boże, Mark! – wybuchnął wychodząc zza biurka i stając nad Draytonem. – Dlaczego nie posłuchałeś rady i nie skończyłeś z tym, kiedy ci nakazałem? Znałeś ją przecież, rozmawiała z tobą. Czy nie było to dla ciebie jasne? Nie wiedziałeś, o co jej chodzi? To alibi, które zapewniła Kirkpatrickowi, to było jej alibi! My sądziliśmy, że ją przekupił, a ona siebie w ten sposób osłaniała! Widziała go o ósmej, a nie o wpół do dziesiątej...

Zacisnąwszy usta Drayton pokiwał głową.

Chodząc po pokoju Wexford miażdżył pod butami drobinki szkła.

– Widziałeś go jadąc do domu Ruby i Anstey był wtedy z nią w samochodzie. Lecz Kirkpatrick nie zauważył go. Grover powiedział nam, że wyszła we wtorek po południu, ponoć na zakupy. To wtedy właśnie pojechała do pralni, a nie wieczorem.

– Zaczynałem się tego domyślać – wymamrotał Drayton.

– I nic nie powiedziałeś?!

– To było tylko przecucie. Nieprzyjemne odczucie niepokoju, świadomość, że coś jest nie w porządku.

Wexford zacisnął zęby. Prawie dyszał. Był zmęczony dręczącą i dokuczliwą sytuacją. Jego kaprysem było to, że mimo iż nie pochwalał tego związku, z pewną romantyczną i konspiracyjną rozkoszą wtrącał się w romans Draytona.

– Bóg wie, jak długo węszyłeś, w tamtym miejscu i przez cały ten czas ciało faceta leżało sobie w garażu. Znałeś ją... Cholernie dobrze ją znałeś... – ton jego głosu stał się wysoki. Prawie krzyczał. Zdawał sobie sprawę z tego, że próbuje wywołać w chłopaku podobny wybuch gniewu. – Czy nie byłeś ciekawy, kim był jej poprzedni chłopak? Byłoby to przecież naturalne. Przez cztery tygodnie mieli lokatora, niskiego i ciemnowłosego, który zniknął w dniu morderstwa. Nic mogłeś nam o tym powiedzieć?

– Nie wiedziałem – odparł Drayton. – Nie chciałem wiedzieć.

– Ty musisz chcieć wiedzieć, Mark. – Wexford był już wyraźnie zmęczony. – To jest pierwsza i zarazem główna zasada tej gry. – Zapomniał już, jak to jest być zakochanym, wyraźnie natomiast pamiętał oświetlone okno, wychylającą się przez nie dziewczynę i stojącego poniżej w cieniu mężczyznę. Dręczyła go świadomość tego, iż pasja, zapał i żal mogą egzystować tak blisko siebie; zżerając człowieka od wewnątrz, nie ukazując nic na jego twarzy. Sam nie miał syna, ale istnieją okoliczności, w których od czasu do czasu każdy mężczyzna staje się ojcem innego.

– Uciekłbym stąd – rzekł. – Już teraz. Nie ma potrzeby, abyś stawiał się w sądzie. W końcu o tym zapomnisz. Uwierz mi...

– Co ona zrobiła? – bardzo cicho spytał Drayton.

– Anstey przyłożył jej nóż do gardła. Polegał na swojej magicznej mocy. Liczył, że strach i jego osobisty wdzięk spowodują, iż mu ulegnie. Ale stało się inaczej. Wyrwała mu jego zabawkę i ugodziła w klatkę piersiową.

– Czy on już nie żył, kiedy dojechali do domu?

– Nie wiem. Myślę, że ona również tego nie wie. Może nigdy się nie dowiemy. Zostawiwszy go pobiegła do domu, ale na drugi dzień nie potrafiła tam wrócić. Myślę, że to ty miałeś być tym cudem. Miałeś pomóc jej pozbyć się zwłok, ale my dotarliśmy tam pierwsi.

– Przygotowała już dla mnie kluczyki od samochodu – szepnął cicho spuściwszy głowę w dół.

– Przyszliśmy pół godziny za wcześnie, Drayton.

Chłopak wyprostował się gwałtownie.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

– Nie, kiedy przyszłoby co do czego, prawda? Nie, nie zrobiłbyś tego. – Wexford przełknął ślinę i odchrząknął. – Jakie masz teraz plany?

– Poradzę sobie – odparł Drayton. Podchodząc do drzwi nadepnął na okruch szkła.

– Zbił pan swój ornament – rzekł współczująco. – Przykro mi.

W holu założył swój długi, włochaty płaszcz i podniósł kaptur. Tak ubrany, z lokiem czarnych włosów spadającym na czoło, wyglądał jak średniowieczny giermek, który zgubił swojego rycerza i zrezygnował z dalszego uczestnictwa w krucjacie. Pożegnał się z sierżantem Cambem, który nie wiedział nic, oprócz tego, że młody Drayton popadł w tarapaty. Wyszedł na mokrą, wietrzną ulicę kierując się w stronę swojego mieszkania.

Mógłby ominąć sklep Grovera nadrabiając niewiele drogi, ale nie zrobił tego. Miejsce to pogrążone było w absolutnej ciemności, tak jakby wszyscy wymarli albo wyprowadzili się stąd. W wąskim zaułku okrągłe płytki, którymi wybrukowano ścieżkę były mokre, lśniąco-brunatne, jak kamienie na dnie wilgotnej jaskini.

Dwa, trzy miesiące albo może rok i najgorsze minie. Od czasu do czasu ludzie umierali, zżerało ich robactwo, lecz miłość nigdy nie była tego powodem...

Świat pełen był dziewcząt i roboty... Znajdzie sobie po jednej z tych dwóch rzeczy, lecz tym razem zrobi to z rozmysłem. Żonkile w oknie kwiaciarni były nieskalanie piękne i biła z nich dziewicza świeżość. Zawsze będzie o niej myślał widząc coś pięknego w brzydkim otoczeniu.

Ostatecznie, przez wszystko można przejść. Żałował tylko, że jest mu tak niedobrze... Był jeszcze przecież taki młody...

Ostatni raz czuł się tak mając czternaście lat, kiedy umarła jego matka. Wtedy też po raz ostatni płakał...